

CAROLYN
McSPARREN

Nasz dom wśród
drzew

Rozdział 1

Nocną ciszę zakłócił przeszywający dźwięk alarmu. Pete Jacobi, wytracony ze snu, przetarł oczy. Alarmowe światelko przy jego łóżku było zapalone. Zerknął na zegar. Wpół do trzeciej. Spał zaledwie niecałe trzy godziny.

Jęknął i uniół głowę. Lodowaty deszcz bębnił o szyby; w blasku halogenów oświetlających wejście na teren posesji jego krople wyglądały jak diamentowe kryształki.

Jeśli to jakiś tutejszy nastolatek postanowił wśliznąć się do rezerwatu i zobaczyć słońce, to wybrał niewłaściwy moment. „Dziewczeta” śpią pewnie spokojnie w swojej zagrodzie; na pewno spały jeszcze niedawno, bo podobny hałas obudziłby umarłego. Jeśli zaś się obudziły, mogą okazać się niezbyt uprzejme wobec nieoczekiwanego gościa.

W letnie noce dziewczęta często zapuszczały się na odległe wzgórze rezerwatu, chłodu jednak zdecydowanie nie lubiły. Gdy nastawały pierwsze przymrozki, Pete próbował je skłonić do noszenia kłapek na uszy, ale w tym przypadku okazywały się nieprzejednane. Zrzucały je jednym ruchem i wdeptywały w błoto.

Wstał z łóżka, sięgnął po leżące na podłodze spodnie, włożył buty na gołe nogi i głęboko westchnął, czując w stopach przenikliwie zimno.

Potem wyłączył alarm. Intruz pewnie już umknął, spłoszony światłami i hałasem. Teraz jednak Pete usłyszał wyraźnie brzęczenie domofonu, zainstalowanego przy bramie wjazdowej kilka miesięcy wcześniej.

- Tak? Słucham - odezwał się lekko schrypniętym głosem.

Głos, który usłyszał w odpowiedzi, należał do kobiety, i to do bardzo zdenerwowanej kobiety.

- Niech jej pan pomoże, ona strasznie krwawi! - usłyszał poprzez szum ulewy.

Teraz obudził się już zupełnie.

- Ale ja nie jestem lekarzem, tylko weterynarzem.

- Potrzebny mi właśnie weterynarz. Proszę nas wpuścić. Ona już i tak bardzo zmarzła, boję się, że nie dojedzie żywa do miasta. Chyba ktoś ją postrzelił.

Pete przeczesał ręką włosy.

- Dobrze, tylko spokojnie. Proszę poczekać, zaraz otworzę bramę.

Narzucił na ramiona pelerynę wiszącą na gwoździu przy drzwiach, wziął głęboki oddech i wyskoczył prosto w lodowate strugi deszczu. Biegając ku furtce, czuł, jak błoto bryzga mu spod nóg na wszystkie strony.

Złapał uchwyt żelaznej bramy obiema rękami i mocno przyciągnął do siebie. Drobną postać oderwała się od furtki, podbiegła do małej półciężarówki i wskoczyła za kierownicę, głośno zatrzaskując drzwi.

Pete uchylił bramę.

- Zaraz jutro zamówię automat do otwierania tego cholerstwa - mruknął głosem człowieka przyzwyczajonego do przemawiania do samego siebie.

Wiedział, że tego nie zrobi. Nie przelewa mu się i każda dodatkowa suma zostanie przeznaczona na utrzymanie dziewcząt, a nie na ułatwianie sobie życia.

Samochód ruszył naprzód tak szybko, że Pete ledwo zdążył się usunąć. Nie zauważył twarzy kierowcy ani tego, czy ktoś siedzi na miejscu pasażera, bo rozprysnięte błoto zalało mu oczy.

- Stokrotne dzięki! - krzyknął i na oślep zamknął bramę. Potem wytarł dłonią twarz i poszedł w stronę budynku. Drobną postać wyskoczyła już z samochodu i stała teraz obok, drżąc z zimna i niecierpliwości. Miała na sobie kurtkę z kapturem zakrywającym twarz.

- Proszę mi pomóc, jest strasznie ciężka. Podszedł od tyłu do półciężarówki, spodziewając się,

że ujrzy rannego psa, kota albo jakieś inne zwierzę, które kobieta potrąciła na szosie. Kiedy jednak zajrzał do środka, dosłownie opadła mu szczęka,

- Ona... należy do pani? - zapytał z niedowierzaniem.

- Nie. Znalazłam ją na drodze. Ona nie umarła, prawda? - W głosie kobiety brzmiał strach.

Pete z wahaniem wyciągnął rękę i ostrożnie dotknął boku zwierzęcia. Wyczuł dygotanie.

- Żyje, ale nie wiem, czy to długo potrwa - I nie patrząc na kobietę, dodał: - Proszę obejść budynek i iść do garażu, z tamtej

strony są takie niewielkie drzwi, w środku jest światło. Proszę je zapalić, a ja tam podjadę.

Dopiero gdy to powiedział, zdał sobie sprawę, że nic o tej kobiecie nie wie; nie ma nawet pojęcia, jak wygląda. Zupełnie jakby przemawiał do cienia. Cień zresztą natychmiast zniknął.

Pete wszedł do półciężarówki i zapalił silnik. Samochód z wolna ruszył w stronę zapalonego właśnie światła. Wprowadził go do wielkiego pomieszczenia przypominającego piwniczne lochy, wyłączył silnik i wysiadł.

- Proszę zamknąć drzwi - polecił kobiecie. Nacisnęła przycisk i drzwi powoli zaczęły opadać.

Pete sięgnął po wiszący na ścianie telefon.

- Nie mamy czasu - rzekła niecierpliwie kobieta. - Niech pan nikogo nie wzywa, ona...

Przerwał jej ruchem ręki. Niemal natychmiast usłyszał w słuchawce zaspany męski głos.

- Tato - powiedział - ubieraj się, ale szybko. Jesteś mi potrzebny. Nie, nie, z dziewczętami wszystko w porządku. - Rzucił okiem na półciężarówkę. - Nie uwierzysz, jak zobaczysz, kogo tutaj mamy. Jakaś wariatka właśnie mi przywiozła młodą afrykańską lwicę.

- No i co z tą lwicą, synu? - Mace Jacobi wsunął się do garażu, zamknął za sobą drzwi, zdjął rękawice, rozpiął kurtkę i skierował się w stronę samochodu.

- Sam zobacz. - Pete powiesił pelerynę na drzwiach i włożył na siebie bluzę. - Niezłe, co? Zupełnie nie do wiary.

Mace chwycił go za ramię.

- Jasna cholera!

Dopiero w tej chwili spostrzegł kobietę, szczupłą dłonią głaszczącą płowe futro drapieżnika.

- To pani własność? - zapytał.

- Nie. Leżała na szosie. O mało jej nie przejechałam. Najpierw myślałam, że to duży pies, ale kiedy zwróciła ku mnie oczy i one w świetle reflektorów stały się... zupełnie purpurowe... - Nabrała powietrza. - Zahamowałam i na szczęście udało mi się zatrzymać tuż przed nią. Droga nie jest dobra.

Pete zmarszczył brwi.

- Droga do Hollow jest okropna, dlatego nie ma co jeździć nią po nocy, zwłaszcza w taką pogodę.

- Nieraz się musi. Mieszkam tam. Ale teraz nie tracimy czasu na rozmowy. Trzeba ją ratować.

- W takim razie musimy ją przenieść na stół operacyjny. Sam nie dam rady. Nie mam pojęcia, jak pani ją wtaszczyła do tego samochodu.

- Zawsze mam kawał dykty w bagażniku. Wepchnęłam ją na nią, a potem wciągnęłam na górę za pomocą podnośnika - wyjaśniła kobieta.

Mace skłonił się przed nią szarmancko.

- Wyrazy uznania.

Pete wzruszył ramionami.

- Mogła odgryźć pani głowę. Waży co najmniej ze sto kilogramów.

Mace przytaknął.

- Mniej więcej. Gdyby pani mogła przesunąć nieco samochód, tak żeby można ją było przeciągnąć bezpośrednio na stół... To nam oszczędzi niepotrzebnego dźwigania naszej pacjentki.

Kilka minut później osobliwa pacjentka leżała już na operacyjnym stole. Była nieprzytomna. Kości i mięśnie rysowały się pod zmierzwionym futrem jak stalowe pręty i liny.

- Jak mogę pomóc? Co mam robić? - zapytała nagle kobieta.

Pete zwrócił ku niej głowę.

- Pani już swoje zrobiła. Tato, przygotuj lepiej zastrzyk usypiający, na wypadek gdyby odzyskała przytomność. Może być bardzo niespokojna, jak się ocknie.

- Jeśli w ogóle... - Mac starannie osłuchał klatkę piersiową zwierzęcia i spojrzał na syna. - Jakże odniosła obrażenia?

Pete rozgarnął zakrwawioną sierść.

- Kość chyba nie jest uszkodzona, krwawienie prawie ustało, to pewnie od tego zimna. Widać, że ktoś do niej strzelał. Kula utkwiała w ciele. Trzeba zrobić prześwietlenie.

Odwrócił się gwałtownie i zderzył ze stojącą tuż obok kobietą.

- Dlaczego gdzieś pani nie usiądzie i nie pozwoli nam spokojnie pracować? - spytał ze złością w głosie.

Odsunęła się, Pete zaś podszedł do dużej szafy w kącie i po chwili wyciągnął z niej ciężki metalowy sprzęt.

- Jak pani na imię? Nie mogę stale zwracać się tak oficjalnie...

- Tala. Tala Newsome.

Tala? Dziwne imię, ale nazwisko znajome. Do rodziny Newsome'ów należały wielkie posiadłości w okolicy i liczne zakłady w samym mieście. Irene Newsome była członkiem rady miejskiej i Mace miał z nią do czynienia, kiedy razem z synem zakładali rezerwat i potrzebowali na to zezwolenia.

Tala Newsome zsunęła kaptur z głowy i rozpięła kurtkę. Czarne włosy opadły na jej zaczerwienione policzki, usta miała fioletowe od zimna, a oczy...

Odniósł wrażenie, że jej spojrzenie uderzyło go z siłą wiejącego na dworze wiatru. Dopiero głos ojca sprowadził go na ziemię.

- Nie stój tak, chłopcze. Pacjentka robi się coraz cieplejsza. Nie czekajmy, aż skoczy i odgryzie nam głowy.

Tala opadła na kuchenne krzesło stojące w ogromnym pomieszczeniu, rozdzielonym na dwie części ciężką żelazną kratą. Dopiero kiedy usiadła, uświadomiła sobie, jak bardzo jest zmęczona. W głowie miała pustkę, w ramionach rozdzierający ból.

Droga powrotna z pracy, nawet bez młodej afrykańskiej lwicy w bagażniku, zawsze była koszmarem. Zwłaszcza w zimie. Tala nieraz żałowała, że nie mieszka w mieście z Irene, Vertie i dziećmi.

To jednak było niemożliwe, przynajmniej na stałe. Od dwóch lat próbowała mieszkać sama na wielkiej opuszczonej farmie. Tkwiała tam od śmierci Adama, wmawiając sobie, że w ten sposób nie zrywa ostatniej nici łączącej ją z życiem, które nieodwołalnie minęło. Nie mogła opuścić Bryson's Hollow, nie teraz, jeszcze nie teraz.

A zresztą, gdyby dzisiejszej nocy nie wracała z pracy do swojego domu na odludziu, nigdy nie znalazłaby prawdziwego lwa.

Zamrugnęła zaczerwienionymi powiekami, przetarła dłonią czoło i spojrzała na dwóch mężczyzn pochylonych nad stołem operacyjnym. Dalsza część sali zabiegowej pogrążona była w mroku. Ciekawe, co to właściwie jest, pomyślała. Klinika, szpital czy przychodnia...

Młodszy z weterynarzy operował. Znała go ze słyszenia. Wszyscy w mieście słyszeli o rezerwacie dla słońi doktora Jacobiego, ale jego samego nigdy nie widziała. Nie zachodził do sklepu.

Miał przystojną, męską twarz, wyraziste rysy, w kącikach oczu drobne zmarszczki. Wyczuwało się, że nie śmiech je wyłobił, tylko kłopoty, ale można sobie było wyobrazić, że kiedy Pete zdecyduje się na uśmiech, jest to bardzo ładny widok.

Nic dziwnego, że teraz się nie uśmiecha. Komu byłoby do śmiechu, gdyby go wyrwano z łóżka w środku lodowatej, deszczowej nocy? Nic dziwnego, że gdera.

Jego ojciec jednak zachowywał się zupełnie inaczej. Jego też wyrwano z ciepłego łóżka w środku nocy, a jednak potrafił być miły. Nawet więcej; był uprzedzająco grzeczny. Spojrzała z sympatią na siwą głowę starszego mężczyzny. To dzięki niemu czuła się całkiem dobrze w tym nowym, nie znanym jej otoczeniu.

Tacy różni, a jednak bardzo do siebie podobni. Syn był o wiele większy. Bardzo wysoki i barczysty, zupełnie jak zawodowy piłkarz. Albo wielki, brązowy niedźwiedź grizzly. Silny, dobrze umięśniony, o owłosionej klatce piersiowej. Dostrzegła to, kiedy zdjął tę okropną pelerynę.

Ocknęła się z zamyślenia. Powinna zaraz wstać i wyjść tylnymi drzwiami, spełniła już przecież swój obowiązek. Lwica jest bezpieczna, a ona - kompletnie wykończona po wielogodzinnej pracy w Food Farm.

Jeszcze chwila, a zaśnie na siedząco. Musi stąd wyjść, otworzyć wielką kłódkę wiszącą przy bramie, zamknąć ją za sobą, i ruszyć w noc. Pete Jacobi ani jego ojciec nawet by nie zauważyli, że zniknęła. Gdyby tylko trochę mniej wiało, i gdyby tak strasznie nie lało...

Wszystko to tylko wymówki. Tak naprawdę musi tu zostać, żeby się dowiedzieć, czy operacja się udała i czy wielki kot będzie żył. Nie chciała nawet przez chwilę myśleć o tym, że zwierzę może umrzeć. Ostatnio zbyt dużo było wokół niej śmierci.

Oparła głowę o kraty i przymknęła oczy. Twarz Adama natychmiast wypłynęła z jej podświadomości. Ostatnio nieczęsto tak bywało. Prawie już zapomniała, co to znaczy mieć męża, nie słyszała jego śmiechu, nie czuła obejmujących ją ramion...

Delikatne dotknięcie sprawiło, że otworzyła oczy. Ktoś lekko gładził ją z tyłu po głowie. Stwierdziła, że mężczyźni nadal tkwią pochyleni nad stołem.

Dotknięcie powtórzyło się, na włosach poczuła ciepły oddech. Wiedziała, że za plecami ma tylko kraty, wyczuła je dłonią. To wszystko pewnie tylko złudzenie. Jest przemęczona i wyobraźnia płata jej figle. Znowu przymknęła oczy i poprawiła się na krześle. Niemal w tej samej chwili coś pociągnęło ją za włosy. Odwróciła się i...

Tłumiąc okrzyk, zerwała się na równe nogi. Zza żelaznej kraty wysuwała się ku niej trąba słonia. Trąba leciutko dotknęła jej twarzy, jakby badała nieznany ład, przesunęła się po policzkach i musnęła ramię. Czyżby słoń chciał ją pocieszyć?

Przełknęła ślinę i rozejrzała się. Za żelazną kratą ujrzała trzy szarawe pagórki, i... trzy pary wlepionych w nią czarnych oczu. Słonie stały obok siebie, lekko poruszając trąbami. Nie słyszała, jak podchodziły. To, co pewnie było ich klatką, zostało wyłożone jakąś wyciszającą materią. A może cały czas tak stały, tylko nie spostrzegła ich z powodu mroku panującego w tamtej części pomieszczenia?

Poczuła na twarzy powiew. Dochodził z przesłoniętego plastikową kurtyną wielkiego otworu. Niemal się roześmiała. Widywała już drzwi dla psów i kotów, ale nigdy dla... słoni.

Stojące pośrodku zwierzę, największe i chyba najstarsze ze wszystkich, sądząc po chropawej niczym miękka skała skórze, ponownie skierowało ku niej trąbę. Tala wysunęła rękę; na zmarzniętych palcach poczuła ciepły oddech. Wyciągnęła drugą dłoń i ostrożnie dotknęła długiego nosa słonicy.

Poczuła, że łzy napływają jej do oczu.

- Nareszcie! Mamy to świństwo!

Podniesiony głos Pete'a przerwał magiczny moment. Słonica odsunęła trąbę i wycofała się w cień.

Tala zwróciła się w stronę, skąd dochodził głos i padało światło. Pete trzymał w stalowych nożyczkach okrągły metalowy przedmiot.

- To chyba musiało być magnum kaliber 9, strzelano z dużej odległości. W przeciwnym razie rana byłaby poważniejsza i kula nie utkwiałaby w ciele. Na szczęście, nie strzelał do niej z karabinu. Swoją drogą, co za kretyn strzela do lwa z broni krótkiej?

Mace uniósł głowę znad zszywanej właśnie rany.

- Najpierw się zapytaj, kto w okolicy miał prawdziwego lwa, żeby móc do niego strzelać z czegokolwiek.

Pete spojrział w stronę Tali i uśmiechnął się. Jej serce mocno zabiło. Rzeczywiście miał piękny uśmiech, i bardzo piękne usta. Już miała odwzajemnić mu się takim samym uśmiechem, kiedy spostrzegła, że patrzy gdzieś dalej, ponad jej głową.

- Cześć, dziewczęta - rzekł żartobliwym tonem. - Mam nadzieję, że się nie przestraszyłyście?

Odpowiedziało mu posapywanie i lekki poświst.

- Poczekajcie, zaraz skończę i dokonam prezentacji. Tala nie bardzo zrozumiała, czy Pete zamierza słońce przedstawić jej, czy ją słońcom. Wyczuwała jednak, że Pete na pierwszym miejscu stawia zwierzęta, a istoty ludzkie plasują się w ustalonej przez niego hierarchii nieco dalej.

Wiedziała o nim tylko tyle, ile wiedzieli wszyscy w Hollendale w stanie Tennessee. Jego ojca nieraz widywała w sklepie, ale nigdy z nim nie rozmawiała; Irene знаła Mace'a i lubiła go. O jego synu mówiła tylko tyle, że założył rezerwat i rzadko widuje ludzi. Nazywała go odludkiem.

Tala niezbyt uważnie słuchała tego, co teściowa mówiła o dwóch panach Jacobich. Teraz mogła sobie tylko pogratulować. Widząc ich przy pracy, czuła, że postąpiła słusznie, zatrzymując się tutaj i nie wioząc lwicy do miasta, do kliniki doktora Wiskowskiego. Ranna lwica nie mogła trafić lepiej.

Sposób, w jaki Pete uśmiechał się do słońca, świadczył o tym, że ten odludek naprawdę kocha zwierzęta. Z zamyślenia wyrwał ją głos Mace'a.

- Pomyślałeś już o tym, co z nią zrobimy, synu? U nas nie ma warunków dla tak dużego drapieżnika. Ona musi cały czas być pod kontrolą.

- Nie mogę myśleć o wszystkim naraz, tato. Lepiej podaj jej teraz antybiotyk, a potem się zastanowimy.

- Racja.

Mace podszedł do szafek i małym kluczykiem otworzył jedną z nich. Przez chwilę grzebał w buteleczkach i fiolkach. W końcu wybrał jedną z nich i podniósł do zakrytych okularami oczu.

- To powinno być odpowiednie.

Napełnił strzykawkę białawym płynem, odstawił buteleczkę na półkę i starannie zamknął drzwi szafki. Klucz powiesił z tyłu.

Potem podszedł do lwicy, rozgarnął sierść na jej karku i wbił igłę. Zwierzę nawet nie drgnęło.

- Czy nie powinna już się obudzić? - W głosie Tali zabrzmiał niepokój.

- Nie wypowiedz tego w złą godzinę - powiedział cichym głosem Mace. - Lepiej niech jak najdłużej śpi.

- Tak jest bezpieczniej dla nas wszystkich - dodał Pete. - Zresztą sen ją wzmocni, ma bardzo słaby rytm serca. Wielkie drapieżniki

mogą stracić nawet sporo krwi bez specjalnego uszczerbku dla zdrowia, ale w tym przypadku, po pierwsze, nie wiemy, jak dużo krwi straciła, po drugie, była bardzo wyziębiona, a o transfuzji nawet mowy być nie może.

Mace spojrzał na leżące nieruchomo zwierzę.

- Dobra robota - pochwalił syna. - A co teraz? Pete przez chwilę się namyślał.

- Mam jeszcze tę starą klatkę bez dachu, w której trzymałeś psy do polowania - powiedział w końcu. - Dla lwicy to nie problem wydostać się z czegoś takiego, ale na razie jest ranna i przez kilka dni pewnie będzie spokój. Możemy przygotować wszystko w kilka minut, podłożyć jej kilka koców, dać miskę z wodą i dobrze zaryglować.

- I modlić się, żeby zbyt szybko nie wróciła do formy, bo gotowa wszystko rozwalić.

Mace powiedział to zupełnie serio i Tala spojrzała na niego z wyrzutem.

- A ty miałas w stosunku do niej jakieś plany? - Pete pytającym wzrokiem obrzucił Talę.

- Nie... Wcale o tym nie myślałam, chciałam ją tylko ratować. I chyba dzięki wam mi się udało. Nie wiem tylko, jak wam się odwdzięczę.

Mace spojrzał na nią znad okularów.

- Nie żartuj. Dla weterynarza to prawdziwa gratka. Nieczęsto mamy okazję operować lwa. Człowiek gotów wyjść z wprawy. - Oderwał od niej wzrok i zwrócił się do syna. - Chodź, chłopcze, lepiej weźmiemy się za szykowanie legowiska dla królowej sawanny.

Tala podeszła bliżej.

- Będę mogła jakoś pomóc? - zapytała.

- Nie. Wskakuj do swojego samochodu, zamknij za sobą drzwi i okna i siedź cicho jak myszka, na wypadek gdyby ten kotek przed czasem się obudził.

Tala z uporem pokręciła głową.

- Ona nigdy by mnie nie zraniła - oświadczyła. Pete spojrzał na nią z powątpiewaniem.

- Lepiej zdejmijmy ją ze stołu - powiedział, zwracając się do ojca. - Jak się zacznie budzić, może spaść. Podłożymy jej koc, a potem wciągniemy ją na nim do klatki.

W pół godziny później we trójkę umieścili drapieżnika w klatce. Była żelazna i dość solidna, ale nie miała dachu i zdrowa lwica mogłaby bez trudu się z niej wydostać.

Na razie jednak była chora i nieprzytomna. Pete wstawił jej do środka plastikową miskę z wodą i zarygłował drzwi.

- Teraz możemy tylko trzymać kciuki, żeby się udało - oświadczył z westchnieniem.

Mace z sympatią spojrzął na Talę.

- A ty lepiej wracaj już do domu. Dochodzi czwarta. Rodzina pewnie umiera ze strachu, że coś ci się stało. Może chcesz zadzwonić?

- Nikt się o mnie nie martwi - odparła bez zastanowienia i dopiero wtedy zdała sobie sprawę, jak jej wyznanie żałośnie zabrzmiało. - To znaczy - dodała pośpiesznie - chwilowo mieszkam sama...

Urwała, czując, że jeszcze chwila, a upadnie. Była do cna wyczerpana i kolana uginały się pod nią. Poczowała, że obejmuje ją jakieś silne ramię, i uniosła oczy.

- Tylko nam tu nie zemdlej! - powiedział sucho Pete.

- Ona ledwo się trzyma na nogach. - Głos jego ojca był cichy i łagodny. - Nie możesz teraz jechać sama, kochanie. Droga jest okropna, a ty ledwo żywa. Lepiej będzie, jak się tutaj prześpisz.

- Tutaj?

Uwolniła się z obejmujących ją ramion.

- Nic mi nie będzie.

- Nie, ojciec ma rację. Nie możesz jechać w takim stanie. Dojechałabyś najwyżej do furtki. Prześpisz się tutaj na kanapie. Odstąpiłbym ci łóżko, ale jest nie posłane. Zresztą na kanapie będzie ci dobrze, nie jesteś zbyt duża.

- Aleja... ale wy... przecież...

- Nikt cię nie będzie napastował. Mace delikatnie dotknął jej ramienia.

- Posłuchaj go, córeczko. A ja rano przyjdę i zrobię ci moją superkawę. Po jej wypiciu nie zaśniesz do Bożego Narodzenia.

Tala zerknęła na uśpioną lwicę.

- Myślisz, że się obudzi, zanim wyjadę? - spytała z wahaniem.

- Niewykluczone.

To zadecydowało. Tala potakująco skinęła głową.

- W takim razie wszystko w porządku. - Mace wydawał się uspokoiony. - Teraz wyprowadzę twój samochód przed bramę i zostawię go z kluczykami w stacyjce, na wypadek gdyby nasza pacjentka zbyt szybko się rozbudziła.

- Dobrze.

Mace spojrział na syna uważnie.

- A ty, synku, wyśpij się dobrze i nie zrywaj zbyt wcześnie. Przyjdę i wyprowadzę twoje dziewczynki na spacer, zajrzę też do naszej pacjentki i w razie czego cię obudzę.

Pete stał przez chwilę wpatrzony w cudowne, uśpione zwierzę, leżące bez ruchu z różowym jęzorem widocznym w rozchylnym pysku. Dwa rzędy długich białych zębów wyraźnie nie dawały mu spokoju.

- Myślę, że nie pozwoli nam zbyt długo spać - powiedział wreszcie. - Kiedy zaczniesz gryźć te kraty, będzie hałas, jakby dom się walił.

Mace skrzywił się lekko i otworzył drzwi półciężarówki Tali.

- Cokolwiek się stanie, odwaliłeś kawał dobrej roboty, chłopcze.

Pete odwrócił się i poprowadził Talę korytarzem w głąb domu, tam gdzie mieściła się część mieszkalna.

- Masz uroczonego ojca - oświadczyła z podziwem w głosie. - Naprawdę jest niezwykły.

- Powiedz to tym wszystkim studentom, których terroryzował przez całe lata.

- Wykładał na weterynarii?

- Owszem, i to jak. Przez dwadzieścia pięć lat nie robił nic innego, to było całe jego życie. Teraz, odkąd jest na emeryturze, próbuje terroryzować mnie. Tylko to mu pozostało.

Pete otworzył szafę w ścianie i wyjął koce, poduszki i prześcieradła.

- Będziesz musiała zdjąć mokre ubranie i przebrać się w coś suchego - oświadczył.

Tala rozejrzała się niepewnie. Pomieszczenie, w którym się znajdowali, najwyraźniej pełniło jednocześnie funkcję salonu, kuchni i gabinetu pana domu.

- Myślę tylko o jednym: położyć się na czymś, zanim upadnę.

Kanapa była stara, ale wyglądała wygodnie i Tala nie zamierzała się martwić o to, czy ma się przebrać, czy nie.

- Możesz wziąć jedną z moich starych koszul - nie ustępował Pete, obrzucając ją uważnym spojrzeniem. - Pewnie będzie ci sięgać do kolan, ale to dobrze, będzie ci cieplej. Zapasowe szczoteczki do zębów są w łazience.

Dla nieoczekiwanych gości płci żeńskiej, którzy bynajmniej nie śpiąją na kanapie, pomyślała Tala. Chociaż, dodała natychmiast, jeśli on jest w stosunku do nich tak samo „miły” jak wobec mnie, pewnie nieczęsto ktoś tu zagląda.

- Dziękuję za wszystko - rzekła cicho.

Pete nie odpowiedział. Poszedł do swojego pokoju i wrócił z ciemnozieloną koszulą w rękę.

- To dla ciebie. Łazienka jest na końcu korytarza. Czyste ręczniki leżą nad umywalką.

- Dziękuję - powtórzyła.

- Dobranoc - rzucił i wyszedł zamykając za sobą drzwi. Dość głośno, ale nie trzaskając.

Tala poszła sobie na kanapie, poszła do łazienki, zdjęła mokre ubranie i włożyła darowaną koszulę. Była nawet dość krótka, ale za to tak szeroka, że Tala miała wrażenie, że musi w niej przypominać jedną z dziewcząt Pete'a. Stała przed lustrem i zamachała długim ciemnozielonym rękawem jak trąbą; przez chwilę miała nawet ochotę wydać z siebie podobny dźwięk jak słonice, ale postanowiła tego nie robić. Gospodarz chyba nie poznałby się na dowcipie.

Wycisnęła wodę z grubego warkocza, rozplotła go i przeczesła palcami rozpuszczone włosy. Rano pewnie będzie wyglądała, jakby ją obsmyczyły szczury, ale włosy przynajmniej przez noc wyschną.

Przypomniała sobie, że torbę zostawiła w samochodzie, i postanowiła do rana jakoś się bez niej obejść.

Położyła się na kanapie i wsłuchiwała w deszcz bębniący o szyby. Jutro rano wstanie wcześniej i pojedzie do dzieci, żeby zdażyć zjeść śniadanie z nimi, z Vertie i Irene. Nie mogła już się doczekać, co to będzie, kiedy im opowie swoją przygodę. Może nawet Rachel, rozkapryszona trzynastolatka, zainteresuje się opowieścią o prawdziwym lwie. Cody, jak na ciekawskiego ośmiolatka przystało, na pewno nie pójdzie do szkoły, tylko poprosi, żeby go przywiozła do rezerwatu, aby mógł wszystko zobaczyć na własne oczy.

Dzieci na ogół uważały ją za osobę dość nudną. Ciekawe, co powiedzą teraz. Jeśli pojawienie się w jej życiu lwa nie zmieni ich opinii, to znaczy, że już nigdy jej nie zmienią.

Z wielkiego pomieszczenia obok dobiegło ją coś w rodzaju pomruku. Wstała i wyszła z pokoju, nie myśląc o tym, co może ją czekać po drugiej stronie drzwi.

Zbliżyła się do klatki i uklękła przy niej. Lwica uniosła się lekko na zdrowej łapie i znowu wydała pomruk. Tala, nie mogąc się powstrzymać, wsunęła rękę między pręty i z wahaniem dotknęła płowego futra. Odpowiedziało jej zadowolone mruczenie. W królowej sawanny nie było śladu agresji.

- Witaj, maleńka. Jak się masz? - rzekła Tala zdławionym ze wzruszenia głosem.

Zdając sobie sprawę z całego absurdu sytuacji, podrapała lwicę za uszami. Ta lekko uniosła łeb i zaczęła łasić się jak kociak.

- Czyś ty całkiem zwariowała? - doszedł ją z tyłu głos Pete'a.

Nie odwróciła głowy.

- Ona się obudziła - szepnęła.

Lwica usiadła, spojrzała na Pete'a i odsłoniła zęby. Wyglądały naprawdę imponująco.

- Wynoś się stąd! - Pete mocno złapał Talę za ramię, podniósł na nogi i wypchnął z pomieszczenia, jakby była paczką.

Pomimo wzburzenia zorientował się jednak, że ma przed sobą półnągą kobietę, za cały strój mającą jedynie starą przykrótką męską koszulę, i puścił ją zmieszany. Tala zdążyła dostrzec, że obrzucił jej nogi pełnym podziwu spojrzeniem.

W chwilę potem był znowu tym samym szorstkim „odludkiem”, którego niedawno poznała.

- Nie wolno ci tu wchodzić pod żadnym pozorem, rozumiesz? Następnym razem może na ciebie skoczyć, zanim zdążysz się przeżegnać! Czy to naprawdę tak trudno pojąć?

- Ale ja...

- Posłuchaj - przerwał i jakby się zwracał do trzyletniej dziewczynki, zaczął wyjaśniać sztucznie spokojnym głosem: - My tutaj mamy lwa. To takie wielkie, bardzo drapieżne zwierzę, nie jest złe, ale jego natura zmusza je do polowania. To jest lew, rozumiesz? LEW. Nie mały puszysty kotek. On też mruczy, ale potrafi zeżreć człowieka. Potrafi zeżreć człowieka bez względu na to, czy ten

człowiek jest dobry, czy zły. Równie dobrze będzie mu smakować jego dobroczyńca, jak ktoś, kto mu wyrządził krzywdę. Lew nie rozumuje i nie ocenia. Ty dla niego nie jesteś tą szlachetną osobą, która mu uratowała życie, ty dla niego jesteś śniadaniem. Rozumiesz?

- Ale ja...

- Rozumiesz?

Bez słowa skinęła głową.

- W takim razie wracaj teraz do łóżka i daj mi się chwilę przespać, a jeśli znowu usłyszysz mruczenie, to włóż głowę pod kołdrę i udawaj, że nic nie słyszałaś.

Nie musiała wsadzać głowy pod kołdrę ani niczego udawać. Po pięciu minutach spędzonych na miękkiej kanapie odpłynęła w senną dal. Podświadomość podsuwała jej jakieś obrazy i twarze, lecz tym razem nie było wśród nich twarzy Adama.

Widziała twarz Pete'a Jacobiego z wolna przekształcającą się w łeb lwa. Jego ciemne oczy o stalowym spojrzeniu doskonale pasowały do lwiej grzywy. Pete - lew otworzył usta i zamiast uśmiechu, łagodnego, serdecznego uśmiechu, z jakim patrzył na swoje słonie, ukazały się długie, białe, ostre zęby. „Po to, żeby cię łatwiej zjeść, kochanie”, przemknęło jej przez głowę i zapadła w głęboki sen.

Rozdział 2

O kobiecie śpiącej w pokoju obok na kanapie Pete przypomniał sobie dopiero w trakcie prysznica. Musi być z nim naprawdę niedobrze, jeśli tak szybko zapomniał o tych długich nogach wyłaniających się spod starej, zielonej koszuli. Bardzo to było seksowne. O wiele bardziej podniecające, niż gdyby była zupełnie naga.

A może wcale nie. Może warto by porównać? Otrząsnął się i warknął na siebie. Chyba mu się w głowie pomieszało, skoro nachodzą go podobne myśli. Chociaż to zupełnie zrozumiałe; kiedy zdjęła z siebie te mokre łachy, zaczęła wreszcie przypominać kobietę. Może tylko nieco za szczupłą, ale i tak niezłą. Chuda, a do tego pomyłona. Od razu widać, że ma niedobrze w głowie.

Ubrał się szybko, starając się nie robić hałasu, i zajrzał do pokoju obok. Spodziewał się, że Tala już wstała i poszła sobie, lecz w duchu modlił się, by tak nie było. Mogłaby jeszcze trochę tutaj zostać. Wypiliby razem kawę i jeszcze raz, już na spokojnie, wszystko by jej wytłumaczył. I znowu zobaczyłby te wspaniałe czarne oczy, rozszerzone ze zdumienia...

Z miejsca, w którym stał, widział jedynie gołą nogę zwieszoną z kanapy i czarną falę włosów opadającą na podłogę. Gdzieś tam między tą nogą i włosami spała ich właścicielka.

Prawą rękę miała przerzuconą przez oparcie kanapy. Dłoń była mała i bardzo wychudzona. Przez skórę niemal widziało się drobne kruche kosteczki. Paznokcie były krótko obcięte, lecz czyste i dobrze utrzymane. Nagle zainteresowało go, czy na tej dłoni znajduje się obrączka i bardzo zapragnął, by jej tam nie było.

Na palcach przeszedł przez pokój i otworzył drzwi wiodące do pomieszczenia przedzielonego kratą. Wśliznął się tam i spojrzał w stronę klatki.

Lwica leżała bezwładnie na prawym boku, z chorą łapą sztywno wyciągniętą przed siebie. Była tak nieruchoma, że nagle ogarnęło go przerażenie, iż ma przed sobą martwe zwierzę. Dopiero po chwili zauważył, że klatka piersiowa lwicy rytmicznie unosi się i opada.

- Dzień dobry, synu - usłyszał za plecami. - Dałem jej znowu środek przeciwbólowy. Spała spokojnie i jeszcze chwilę pośpi snem niewiniątka. A gdzie nasza dama?

- Też śpi, ale nie wiem, czy to jest sen niewiniątka, skoro tak sobie wędruje po nocy.

Mace Jacobi z dezaprobatą uniósł brwi.

- A cóż to mój synek ma do zarzucenia tej dzielnej dziewczynie? Zawsze przecież mówił, że lubi kobiety samodzielne i zdecydowane. A jeśli do tego są tak ładne jak ta tutaj...

- Strasznie chuda. Swoją drogą, nie wiedziałem, że Newsome'owie mają córkę.

- Nie mają córki. Irene Newsome miała syna, ale zginął prawie dwa lata temu. Zajmował się ochroną środowiska, miał tam jakieś wysokie stanowisko. Opiekował się ginącymi gatunkami ryb i dzikich zwierząt. Podobno zastrzelił go jakiś kłusownik. Zostawił żonę i dwoje dzieci. To prawdopodobnie ta żona śpi teraz na twojej kanapie.

Mace sięgnął po wielkie paki stojące obok metalowego stołu i zabrał się do ich otwierania.

- Nie zdążyłem jeszcze nakarmić twoich dziewczynek.

- Nie szkodzi. Zaraz sam to zrobię.

Pete złapał belę lucerny i zaniósł ją do zagrody dla słoń. Dziewczęta stały rzędem i czekały, lekko poruszając trąbami. Ich czarne małe oczy lśniły z niecierpliwości.

- A co robiłeś, tato? - zapytał po drodze.

- Przygotowałem kilka kawałów mięsa dla naszego wielkiego kota. Może być trochę głodny, kiedy się obudzi.

- Jeśli w ogóle się obudzi. Mace uważnie spojrzał na syna.

- Oczywiście, że się obudzi. Zrobiłeś dobrą robotę, nie ma się czego obawiać. Jesteś prawie tak samo dobry, jak ja byłem w twoim wieku.

Pete rozwiązał belę i zaczął wtykać kawały lucerny pomiędzy pręty klatki.

- Dzień dobry, dziewczynki - powiedział ciepłym głosem.

Słonice wyciągnęły trąby do lucerny, nawet na niego nie spojrzawszy. Zawsze go dziwiło, dlaczego traktują go zupełnie inaczej niż Mace'a. Do ojca odnosiły się serdecznie i ufnie, a jego całkowicie ignorowały, zupełnie jakby był tu kimś obcym i niepożądanym.

- Strasznie mi przykro, że tak długo spałam - usłyszał za sobą cichy, łagodny głos Tali i ze zdziwieniem zobaczył, że słonice jak na komendę unoszą trąby powitalnym gestem.

Jego nigdy tak nie witały.

Już jakiś czas temu zrozumiał, że słonie są bardzo wrażliwe i znacznie bardziej przenikliwe niż ludzie. Więcej wyczuwają. Choćby nie wiem, jak im dogadzał, karmił, poił, czyścił i przemawiał, nigdy nie okazały mu nic poza zdawkową uprzejmością. Nieraz podejrzewał, że zdają sobie sprawę z jego stanu ducha. Z tego, jak bardzo czuje się winny i jak wielkie błędy popełnił w życiu. Miał nadzieję, że kiedyś wreszcie zrozumieją i wybaczą mu. Wtedy może zasłuży na ich miłość i zaufanie.

- Nic dziwnego. Byłaś wykończona, kochanie - rzekł Mace serdecznie. - Jak tylko skończę z tym mięsem, zrobię nam doskonałe śniadanie. Zdążyłem już nastawić wodę na kawę.

- Ja chyba nie mogę. Powinam... - Tala, kiedy była zmieszana, wyglądała jak mała dziewczynka.

Mac przerwał jej bez pardonu:

- Nic nie powinnaś. Moje naleśniki są słynne na całą okolicę. Usmażę je specjalnie dla ciebie. A jak zechcesz, polejesz je sobie miodem albo syropem klonowym.

Tak podeszła do klatki.

- Jak ona się czuje? - zapytała, przyklękając.

- Normalnie jak na to, co przeszła. Tata podał jej znowu środek przeciwbólowy - wyjaśnił Pete.

Tala wsunęła rękę między pręty i pogładziła wielki płowy łeb.

- Maleńka, kochana... Lwica leciutko zamruczała.

Tala nie ma obrączki... Pete odetchnął z ulgą i dziwnie się zmieszał. Była teraz bardzo blisko niego i mógł dostrzec złoty łańcuszek na jej szyi. Wisiały na nim dwie złote obrączki, jedna większa, druga mniejsza. Musiały należeć do niej i jej zmarłego męża. Odwrócił wzrok.

Nie zamierzał wdawać się w romanse. Nie teraz, nie po tym, co stało się z Val. Poczuł, jak zalewa go tęsknota i ogromniejące, nigdy nie kończące się poczucie winy.

Delikatne palce klęczącej obok kobiety igrały z płową grzywą zwierzęcia. Na myśl, że mogłyby tak dotykać jego włosów, poczuł dziwną słabość. Zbeształ siebie w myślach i gorliwie wrócił do karmienia słonic.

Tala podniosła się z klęczek z gracją tancerki.

Nie mógł od niej oderwać wzroku. Rzeczywiście była bardzo szczupła, ale przy tym niezwykle zgrabna i proporcjonalnie

zbudowana. Włosy miała splecione w gruby warkocz, sięgający niemal do połowy pleców. Wyglądała na bladą i zmęczoną, pod oczami miała sine kręgi.

Nagle uśmiechnęła się do niego.

- Zebrałam rzeczy z kanapy i razem z koszulą położyłam w nogach twojego łóżka.

Mruknął coś, nie odrywając wzroku od jej twarzy.

Nigdy nie widział takich ogromnych i tak przepastnych oczu. Nawet bez makijażu rzęsy Tali wyglądały jak wielkie czarne motyle.

- Przynależę wczoraj, że nas z sobą poznasz - powiedziała i zbliżyła się do kraty, za którą stały słonie.

Szła tak, jakby tańczyła albo płynęła w powietrzu. Może rzeczywiście kiedyś była tancerką. To pewnie dlatego jest taka szczupła.

- Dobrze. - Jego głos brzmiał obco i ochryple, jak zawsze, kiedy się do niej zwracał. - Sophie to ta po prawej stronie, ta tyłem to Sweetie, a ta największa ma na imię Belle.

- To właśnie ona wczoraj w nocy pogładziła mnie po głowie - oznajmiła z uśmiechem Tala. - Bardzo się zdziwiłam, ale to było takie przyjemne...

Pete prawie zaniemówił ze zdziwienia.

- Pogłaskała cię po głowie? Jak to możliwe?

- Wysunęła trąbę przez kraty i dotknęła moich włosów. Bardzo leciutko. Wiedziałam, że hodujesz słonie, ale nigdy ich jeszcze nie widziałam, nie wiedziałam, że masz ich aż trzy. Prawie zasnęłam tutaj na krześle i nie zorientowałam się, że klatka dla słoni jest obok, za tą kratą.

Pete wzdrygnął się.

- To nie jest klatka, moje słonie nie żyją w klatce. Tala podeszła jeszcze bliżej.

- Są cudowne, po prostu niezwykle.

- Szkoda, że ich nie widziałaś, kiedy je tu sprowadziłem. Obraz nędzy i rozpacz, sama skóra i kości.

Mace wmieszał się do rozmowy.

- Postawiliśmy tu te kraty, żeby słonie nie podchodziły do stołu z instrumentami medycznymi i wszystkiego nie niszczyły. Są z natury strasznie ciekawskie, wszędzie muszą zajrzeć. A ponieważ są ogromne i silne, potrafią stratować każde pomieszczenie.

- Ale wczoraj Belle zachowała się bardzo delikatnie. Ledwo mnie musnęła.

Pete wzruszył ramionami.

- Akurat nie miała ochoty zobaczyć twojej głowy od środka. Ale gdyby, na przykład, zechciała się przekonać, co się znajduje w tej szafie z lekarstwami, nie zastukałaby, tylko wtargnęła z siłą czołgu i zmiażdżyła drzwiczki jak stalowy walec.

Tala spojrzała na słońce. Belle spokojnie ładowała sobie do paszczy snopki lucerny. Tala zwróciła się do Sophie.

- Naprawdę takie jesteście? - zapytała ją łagodnie. Sophie w odpowiedzi uniosła trąbę i skinęła nią. Gdy Tala wybuchnęła śmiechem, Pete aż podskoczył.

Miała cudowny śmiech. Był cichy, ale wypełniał całą przestrzeń, wibrował w chłodnym powietrzu. Dałby wiele, żeby usłyszeć go jeszcze raz. Nic dziwnego, pomyślał, zbyt długo żyję bez kobiety, bez ludzi. Nic tylko zwierzęta, a od czasu do czasu ojciec; za dużo słoń, za mało ludzkich istot.

Z klatki lwicy dobiegł groźny pomruk. Tala spojrzała ze skruszoną miną w tamtym kierunku.

- Przepraszam, nie chciałam cię obudzić, maleńka. Teraz znowu była cichutką myszką, szarą i zaleknioną.

- Nie ty ją obudziłaś, tylko zapach mięsa - wyjaśnił jej Mace. - Chyba rzeczywiście najwyższy czas na śniadanie. - Uśmiechnął się do Tali. - Jak słyszę, nazwałaś ją Maleńka. To bardzo dobry pomysł.

Lwica przeniosła na niego złote, senne spojrzenie.

- Uważaj, Mace - odezwał się Pete. - Pamiętaj, że głodne zwierzę to niebezpieczne zwierzę. To twoja dewiza, pamiętasz? Nauczyłeś mnie tego, kiedy miałem iść do pracy w zoo.

- W tym przypadku jest trochę inaczej. Nasza Maleńka jest nieco szczerbata. Nie ma lewego kła i obydwu siekaczy. Jest przez to mniej groźna. Może oczywiście mnie zabić, ale musiałaby się do tego bardziej przyłożyć.

Tala przeniosła pytające spojrzenie z jednego mężczyzny na drugiego.

- Jak to? Nie wiedziałam. Nic mi nie mówiliście, że nie ma kilku zębów.

- Nie było specjalnie powodu - wyjaśnił Pete. - To w jej sytuacji niewiele zmienia. Po prostu wiemy, że żyła wśród ludzi, była

domowym zwierzęciem, o ile taki drapieżnik kiedykolwiek może nim być.

- Ludzie są niepoprawni - dorzucił Mace, pochylony nad kawałami mięsa. - Wydaje im się, że każde zwierzę można trzymać w salonie.

- Jest taka młoda...

Lwica uniosła łeb i skierowała senne spojrzenie w stronę, skąd nadchodził zapach surowego mięsa. Pete skrzywił się.

- Naoglądają się National Geographic i seriali w telewizji, i wydaje im się, że to strasznie szykownie mieć w domu takie coś. Łapią za telefon i zamawiają sobie lwa.

- Zamawiają? Jak to? Jak... pizzę? - Wspaniałe oczy Tali zrobiły się okrągłe ze zdumienia.

- Może nie aż tak, ale zawsze jakoś da się to załatwić. Teraz, kiedy obowiązuje zakaz sprowadzania egzotycznych zwierząt do kraju, kupują sobie lwy urodzone na terenie Stanów. Wystarczy tylko dysponować odpowiednią sumą pieniędzy.

- Ale to przecież nielegalne - powiedziała Tala. - Nie wolno trzymać w domu takich zwierząt. Przynajmniej w Tennessee.

- Owszem. - Pete skinął głową, podając wiązki siana Belle. - Ale niektórym ludziom wydaje się, że są ponad prawem. Taki lew doskonale się nadaje, na przykład, do pilnowania nielegalnej uprawy marihuany. Jest lepszy niż pies, bo wzbudza większy strach.

- Myślisz, że coś takiego może być tutaj? W tej okolicy? Ale przecież w każdej chwili zwierzę może uciec...

- Oczywiście. Niewykluczone, że właśnie coś takiego się stało i właściciel postrzelił ją, bo nie mógł jej inaczej zatrzymać.

- Nie mogę w to uwierzyć. - Tala pokręciła głową.

- Wychowałam się tutaj, znam każdy kąt w Hollow. Tu nie ma skrawka wolnego pola... Gdzie by uprawiali tę marihuanę?

- Dla chcącego nic trudnego, kochanie - wtrącił Mace.

- Ludzie nie takie rzeczy robią dla pieniędzy. Nie sądzę jednak, żeby pilnowała pola. Kupiono ją raczej dla zabawy, kiedy była mała, potem trochę za bardzo im urosła, i w końcu uciekła, Mógł ją postrzelić ktoś, kto ją wziął za pumę. Jest tego samego koloru.

- Ale przecież pumy są pod ścisłą ochroną - zaprotestowała. - Są strasznie rzadkie. Mój mąż był strażnikiem przyrody i masę czasu spędzał w lasach, ale nawet on nigdy żadnej nie spotkał. Ja też nigdy

pумы na oczy nie widziałam. Ponadto w Tennessee, jak już mówiliśmy, obowiązują pod tym względem bardzo surowe przepisy dotyczące dzikich zwierząt. Wszyscy się dziwili, że dostałeś pozwolenie na trzymanie tutaj swoich słoni. - Tala spojrzała na Pete'a.

- Nawet sobie nie wyobrażasz, przez co musiałem przejść - odparł z westchnieniem. - Trwało to latami. A to mówili, że moje słonie zjedzą dziecko sąsiadów, a to że zamordują kanarka. Sami już nie wiedzieli, co wymyślić.

- Trochę racji mieli. Dziewczęta mogłyby przecież kogoś zdeptać.

- Właściwie nie. To samice, nie są bardzo niebezpieczne. Oczywiście może się zdarzyć, że coś zniszczą, ale nie są agresywne. Mają tutaj dużo miejsca, żyją sobie na wolności, pewnie po raz pierwszy w życiu. Zresztą zbudowałem wysokie, bardzo mocne ogrodzenie i nigdy się nie wydostaną na sąsiednie pola.

Mace podał synowi metalową miskę pełną mięsa.

- Masz, daj jej jeść.

Pete niemal czuł oddech Tali na plecach, kiedy odwrócił się i skierował w stronę klatki lwicy. Zwierzę spróbowało się unieść, upadło, wydało gardłowy pomruk i podczołgało do stalowych prętów.

- Spokojnie. Spokojnie, Maleńka.

Pete postawił miskę pod drzwiami klatki, uchylił je nieco i widłami wepchnął ją do środka. Potem szybko zaryglował klatkę. Lwica wyciągnęła kawał mięsa z miski i, położywszy się na zdrowym boku, łapczywie zaczęła je jeść.

Pete poczuł dłoń Tali na ramieniu. Palce miała delikatne, ale silne.

- Jest głodna. To dobry znak, prawda? - spytała cicho.

- Tak, to dobry znak - odparł takim samym tonem.

- A co będzie potem?

- Nie mam pojęcia. Możemy mieć niezłe kłopoty z powodu tej wizyty. Muszę zadzwonić do ludzi z ochrony środowiska. Niech mi powiedzą, co zamierzają z nią zrobić. Znasz może kogoś, kto tam pracuje?

- Tak, chyba tak. Ale poczekaj jeszcze, nie zawiadamiaj ich na razie. Przyjadą i zabiorą ją. Może... Może będą chcieli ją zastrzelić... - Oczy Tali zrobiły się jeszcze większe; była nie na żarty przerażona.

Pete spojrzał na nią, próbując nadać swojemu głosowi łagodniejsze brzmienie.

- Uspokój się. Nie możemy udawać, że ona nie ma właściciela. Przecież do kogoś należała, co prawda nielegalnie, ale zawsze, i ten ktoś pewnie teraz jej szuka.

- Przecież ten jej właściciel prawdopodobnie do niej strzelał! Próbował ją zabić! A przedtem kupił ją jako niemowlę od jakiegoś hochsztaplera. Nie możemy pozwolić znowu jej skrzywdzić! Musisz ją obronić!

Może się mylił, sądząc, że ta kobieta jest delikatna i słaba. Miał teraz przed sobą niezwykle waleczną osobę.

- Nie mogę ryzykować - rzekł poważnie. - Zapomniałaś, że mam tu rezerwat. - Ruchem dłoni wskazał dziewczęta, stojące nieruchomo niczym szara ściana, i najwyraźniej słuchające każdego słowa.

- Ona też potrzebuje rezerwatu, potrzebuje ochrony. Tylko dlatego, że nie jest słoniem...

- To jest rezerwat dla słoni, na taki mam pozwolenie, nie ma w nim mowy o drapieżnikach.

- Musi przecież gdzieś istnieć rezerwat dla wielkich kotów.

Pete zacisnął zęby.

- Chyba tak, ale ja nie bardzo mogę się teraz tym zajmować. Dość mam problemów z moimi słoniami. Swoją drogą, czy ty zdajesz sobie sprawę, ile kosztuje wyżywienie takiego lwa?

- Ile?

Prostota jej reakcji zbiła go z tropu i zamilkł.

- Ile? - powtórzyła spokojnie.

- Co ile...?

- Ile kosztuje utrzymanie lwa?

Pete pytająco spojrzał na ojca. Mace stał jakby nigdy nic i porządkował instrumenty na stole; minę miał taką, jakby jednym uchem słuchał jakiejś niezbyt interesującej dyskusji w radiu.

- Tato, ile to może kosztować?

- W zoo w Nebrasce liczą dziesięć dolarów na pięć kilo wagi, ale nasza Maleńka jest wycieńczona, więc doszłyby jeszcze witaminy i środki wzmacniające, co znacznie powiększyłoby koszty. Wszystko zresztą zależy od wagi zwierzęcia, trzeba by to obliczyć.

Tala zmarszczyła czoło.

- Czyli można powiedzieć, że to będzie dolar na pół kilo i jakieś dwa tysiące za tonę, tak? Do tego dostawa i inne dodatki?

Mace pokiwał głową.

- Z grubsza tak. Minus podatek, bo karma dla zwierząt nie jest opodatkowana.

- Wiem. Kiedyś hodowaliśmy świnie. - Tala zwróciła głowę w stronę Pete'a. - Jeszcze mi nie powiedziałaś, ile kosztuje operacja, leki i opieka medyczna.

Już wcześniej przyrzekł sobie, że nie weźmie za nic grosza, ale postanowił ostudzić nieco jej entuzjazm.

- Jakież tysiąc dolarów. - Spojrzał na ojca znacząco, jakby chciał go prosić, by mu nie przerywał. - Nawet jeśli rekonwalescencja nie potrwa zbyt długo albo oddamy ją, zanim całkowicie wyzdrowieje, musimy zbudować prawdziwą zagrodę, klatkę, wybieg, wszystko. Ponadto ktoś musi dbać o czystość, zapewnić zwierzęciu leki. To mnóstwo roboty.

Tala niemal odetchnęła z ulgą.

- Mamy w mieście... to znaczy ja mam otwarty rachunek na tego typu prace. W takiej firmie, która się zajmuje dostarczaniem żelaznych płotów, furtek, i tak dalej.

Pete nie dawał za wygraną.

- Dochodzi jeszcze robocizna. Ktoś przecież musi to zamontować. A wtedy się wyda, że trzymamy tutaj lwa. To, co mówisz, w niczym nie rozwiązuje problemu na dłuższą metę.

Tala zamrużyła powiekami.

- Nie znasz żadnego rezerwatu dla wielkich drapieżników? - zapytała z desperacją w głosie.

Zrobiło mu się jej żal.

- Może coś bym znalazł. Wszyscy właściciele rezerwatów dobrze się znają. Jesteśmy w stałym kontakcie. Bez względu na to, co kto hoduje, słonie, tygrysy czy pszczoły, czy co tam jeszcze, potrzebuje schronienia i opieki.

- W takim razie zatrzymaj ją tutaj, zanim jej nie znajdziesz czegoś lepszego. Bardzo cię proszę!

Ton jej głosu i rozjaśniona nagle twarz robiły na nim ogromne wrażenie, lecz wymagała od niego doprawdy zbyt wiele.

- Żądasz ode mnie, żebym złamał prawo, a do tego wydał masę pieniędzy, które są mi potrzebne dla słoni - odparł z przekąsem.

Tala przyłożyła wąską dłoń do piersi.

- Przysięgam ci, że jeśli wynikną z tego jakieś nieprzyjemności, jeśli ktoś się przyczepi, wszystko wezmę na siebie i zmuszę moją teściową, żeby cię obroniła. Jest członkiem rady miejskiej. A co do pieniędzy... Mam trochę odłożonych, a ponadto mogłabym wziąć dodatkową pracę i może... pomagać ci tutaj? Mogłabym czyścić wybieg dla słoni, zmywać tę cementową podłogę. - Rozejrzała się po przestronnym pomieszczeniu. - Potrzebujesz kogoś do sprzątnia. Jestem przyzwyczajona do ciężkiej pracy i potrafię radzić sobie ze zwierzętami.

- Gdybym naprawdę potrzebował kogoś do pomocy, a na razie wcale o tym nie myślałem... - wyjaśnił, czując całą niezręczność sytuacji - zaangażowałbym faceta do wyrzucania odchodów słoni, a nie...

- Taką małą kobietkę jak ja? - dokończyła i zaraz dodała: - Posłuchaj, całe życie oporządzałam zwierzęta. Wyrzucanie gnoju to dla mnie nie nowina, umiem też prowadzić traktor z przyczepą i bez. Może jestem szczupła, ale bardzo silna.

Gdy pokazała mu muskuły, zrobił minę pełną podziwu.

- Urodziłam się i dorastałam na farmie - mówiła dalej - i nie boję się pracy. Ani fizycznej, ani innej. Biegłe piszę na maszynie, umiem posługiwać się komputerem i znam się na księgowości...

- O rany! Co za wszechstronność. - Pete musiał jednak się uśmiechnąć.

Mace podszedł do nich i delikatnie dotknął ramienia Tali.

- A skąd wracałaś, kiedy znalazłaś na szosie Maleńką? - zapytał.

- Z pracy. Pracuję jako sprzedawczyni w Food Farm, od czwartej po południu do północy.

- Czyli codziennie dojeżdżasz do miasta na osiem godzin, a ponieważ w Bryson's Hollow, gdzie mieszkasz, jest mnóstwo gospodarstw rolnych, pewnie również pracujesz na farmie, przynajmniej kilka miesięcy w roku. Do tego, jak wiem, masz dwoje dzieci, które wychowujesz bez męża. Chciałem tylko zapytać, czy w tym tysiącleciu zamierzasz znaleźć chwilkę czasu na drzemkę?

Tala zarumieniła się po linię włosów.

- Mieszkam na naszej starej farmie, ale nie pracuję na roli. Nasza ziemia nigdy zresztą nie była zbyt dobra, za dużo tam pagórków, nawet najbliżsi sąsiedzi sprzedali swoją posiadłość i przenieśli się na

Florydę. Nie wiem, jak się zdecydowali sprzedać ziemię, która należała do rodziny od tysiąc siedemsetnego roku, ale to zrobili. Spokojnie mogę wziąć drugą pracę. Nie potrzebuję dużo snu, muszę natomiast każdy weekend mieć wolny, żeby go spędzić z dziećmi. I z tego nie zrezygnuję.

- A kto się nimi zajmuje w ciągu tygodnia? - zapytał Mace.

- Mieszkają w mieście z babką i prababką.

- Twoje dzieci nie są z tobą? - Pete nie potrafił ukryć zdziwienia i dezaprobaty.

Tala uniosła głowę; widać było wyraźnie, że jego pytanie sprawiło jej przykrość.

- Mój synek ma osiem lat i mnóstwo zajęć dodatkowych, gra w baseball i piłkę nożną, moja córka ma lat trzynaście i codziennie po szkole trenuje gimnastykę i taniec. Nie mogłabym wszędzie ich wozić, a potem do północy pracować w sklepie. - Zamrugnęła powiekami. - Zresztą - dodała cichszym już głosem - Rachel, moja córka, nie znosi wsi. Nigdy nie chciała tam mieszkać, zwłaszcza po śmierci ojca.

Na chwilę zapadła cisza.

- Tak to chwilowo u nas wygląda, doktorze Jacobi - zakończyła Tala.

- Jestem pewien, że to bardzo dobre rozwiązanie - rzekł szybko Mace, surowo patrząc na syna, jakby polecał mu zachować milczenie.

- Ale nikt nie może pracować dzień i noc, żaden organizm tego nie wytrzyma. Młoda kobieta nie powinna sama jeździć po nocy, i to w taką straszną pogodę. Ile ci płacą w Farm Food?

- Jedenaście dolarów za godzinę - odparła.

Pete przymknął oczy. Suma rzeczywiście nie była oszałamiająca. Ciekawe, dlaczego nie otrzymuje renty po mężu? Przecież dzieci muszą coś dostawać. Należy im się po śmierci ojca; Niedopuszczalne, żeby musiała tak pracować i zostawiać dzieci bez opieki od czwartej po południu do późnej nocy. Co prawda, wspomniała coś o jakiejś babce czy prababce...

Mace wyprostował się.

- Doskonale, będziesz pracować u nas. Dostaniesz tyle co w Food Farm plus dziesięć procent.

Pete osłupiał; ojciec nigdy nie podejmował tak szybko decyzji, zwłaszcza tutaj, na terenie jego rezerwatu.

- Tato - powiedział ostrzegawczo - przecież postanowiliśmy kupić jeszcze jednego słonia. Wszystkie pieniądze, które...

- Pieniądze się znajdują - przerwał mu Mace bezceremonialnie. - Już moja w tym głowa. Tak się szczęśliwie składa, że bardzo nam się przyda ktoś tak wszechstronny jak Tala.

- Chwileczkę, tato. Ledwo możemy opłacić nasze własne ubezpieczenie, nie możemy wziąć sobie na głowę całej rodziny nowego pracownika.

Tala uśmiechnęła się.

- Mamy polisę ubezpieczeniową mojego męża. Pokrywa wszystkie potrzeby zdrowotne moje i dzieci do osiemnastego roku życia.

Mace ujął jej dłonie w swoje ręce.

- Zrobisz wielką przyjemność staremu człowiekowi, kochanie, jeśli zgodzisz się przyjąć tę pracę i przestaniesz sama podróżować po nocy. Będiesz też miała więcej czasu dla dzieci, może nawet będziesz mogła z nimi jeździć na te wszystkie dodatkowe zajęcia po szkole.

Pete jęknął w duchu. Tylko tego brakowało! Wcale nikogo nie potrzebował, świetnie dawał sobie radę. Po co mu ta kobieta, która wprowadza tyle niepokoju w jego myśli? Za wszelką cenę pragnął spokoju, chciał tylko zapomnieć i żyć tak, żeby nie bolało.

Trąbienie słoni sprawiło, że wszyscy nagle drgnęli. Wszystkie trzy słonice uniosły trąby w górę i jednocześnie, jak na znak, uroczyście zaryczały. Tala spojrzała na nie i wybuchnęła śmiechem.

- One wszystko rozumieją, prawda? - zapytała. Mace objął ją ramieniem.

- Oczywiście, kochanie, rozumieją każde słowo. I najwyraźniej są zachwycone. Ale teraz dosyć gadania, idziemy na śniadanie. Musisz skosztować moich słynnych naleśników. Obudź się, Pete.

Pomógł Tali włożyć kurtkę i wyprowadził ją na zimne, rześkie poranne powietrze. Słonice jak na komendę odeszły od kraty i skierowały się ku drzwiom prowadzącym na zewnątrz, tak jakby było im spieszno jak najszybciej znowu spotkać się z Talą.

Pete przymknął oczy. Poczul, jak ogarnia go zazdrość. Ta kobieta ma jakąś niezwykłą umiejętność zjednywania sobie ludzi i zwierząt. Wystarczy popatrzeć na Mace'a. Zawsze taki sztywny i chłodny, zachowywał się przy niej jak stary lowelas. Istny Maurice Chevalier.

Poczuł się zbędny; nawet jego własne słonie go nie potrzebują. Cała nadzieja w tym, że ona się ich złąknie, kiedy je tak zobaczy z bliska i... to ją zniechęci do pobytu w jego rezerwacie.

- Co za cudowny poranek! - westchnął Mace, biorąc Talę pod rękę. - Za godzinę szosa będzie zupełnie sucha.

Już miała coś dodać, kiedy nagle spostrzegła, że słonie są tuż obok; szły krok w krok za nią niczym milcząca eskorta. Nie wiedziała, jak takie góry mięsa mogą stąpać tak bezszelestnie.

Odwróciła się i wstrzymała oddech. W jasnym świetle słońca, widziane z tak bliska, bez krat, słonice wydawały się ogromne. Przystłoniła oczy dłonią i spojrzała w górę. Mace lekko dotknął jej ramienia.

- Upewniam się tylko, czy z nami zostajesz. Powiedziały przecież, że tego chcą.

Tala ruszyła przed siebie, cały czas mając wrażenie, że za chwilę poczuje dotyk trąby we włosach. Kiedy doszli do przyczepy kempingowej Mace'a, odwróciła się i zobaczyła, że dziewczęta robią w tył zwrot i zgodnie oddalają się niczym gigantyczne baletnice. Pomachała im ręką na pożegnanie i weszła za Mace'em do środka.

- Pozwól, że powieszę twoje okrycie. - Gospodarz pomógł jej zdjąć kurtkę. - Pijesz kawę z mlekiem czy bez?

- Bez mleka, proszę.

- Powinnaś pić ze śmietanką i dwiema łyżkami cukru. Zaraz usmażę naleśniki, ciasto mam już przygotowane w lodówce. Wybacz ten nieład, ale nieczęsto miewam gości, zwłaszcza takich pięknych i o tak wczesnej porze.

Jak to możliwe, żeby ten czarujący mężczyzna kogokolwiek terroryzował? Jest uroczy i bardzo towarzyski, w przeciwieństwie do swojego małomównego, zamkniętego w sobie syna. Na samo wspomnienie tego ostatniego serce Tali zabiło szybciej, a na policzki wystąpiły rumieńce. Pete z racji wzrostu przypomina swoje słonie, ale jest od nich o wiele mniej komunikatywny.

- Nie sądzę, żeby doktor Jacobi chciał, żebym tu pracowała - oznajmiła, biorąc kubek kawy z rąk Mace'a.

- Doktor Jacobi to ja, a ja tego chcę. Nie wierz w ani jedno słowo mojego syna. Śmiało możemy sobie pozwolić na pracownika. Szczerze mówiąc, musimy kogoś przyjąć, sami nie dajemy sobie rady.

Powiedział to tonem nie znoszącym sprzeciwu. Teraz łatwiej było sobie wyobrazić, jak terroryzował studentów.

- Nie chciałabym być powodem nieporozumień - szepnęła. - Nie chcę robić kłopotu.

- Nikomu nie zrobisz kłopotu! Przeciwnie! Właśnie kogoś takiego trzeba mojemu synowi. Odkąd zamieszkał na tym odludziu, zupełnie zdziczał. Nikogo nie widuje, żyje jak pustelnik, oduczył się mówić, gada do siebie albo do słoni, a jak się domyślasz, one niezbyt często mu odpowiadają.

- Dlaczego? - zapytała. - Dlaczego on tak żyje? Mace przez chwilę patrzył na nią w milczeniu.

- To długa historia, a do tego nie moja. Może kiedyś sam ci ją opowie. Albo sama go zapytasz, jak go lepiej poznasz.

O wilku mowa. Drzwi otworzyły się i Pete stanął w progu przyczepy. Nagle w środku zrobiło się bardzo ciasno.

Tala wcisnęła się w kącik. Adam wyglądał inaczej, był drobny i niewysoki, chociaż silny i muskularny. Dzieci, pod względem fizycznym, są do niego bardzo podobne, szczupłe, bardzo zgrabne i wytrzymałe. Psychiczenie raczej przypominają rodzinę Tali, zwłaszcza Rachel jest teka.

Pete wygląda na takiego, co w razie potrzeby mógłby unieść do góry słonia i cisnąć nim o ziemię. Charakterem do złudzenia przypomina byka jej dziadka. Nieustępliwy i zamknięty w sobie. Tylko dlaczego on taki jest?

Jeszcze bardziej się posunęła i skurczyła, żeby zajmować jak najmniej miejsca. Dobiegł ją zapach gorącego tłuszczu i ciepłego ciasta.

- Dodałeś wanilii? - zapytała. Mace spojrzał na nią z uznaniem.

- Masz dobry nos.

Pete poruszył się niespokojnie.

- U nas są nie tylko takie zapachy. Mokre słonie pachną nieco gorzej, a ich odchody już zupełnie nie pachną.

Robi, co może, żeby ją zniechęcić.

- Kurczaki pachną nie lepiej - powiedziała - a świnię też nieźle śmierdzą, że nie wspomnę o krowach. Nieraz sprzątałam obory i kurniki. Wiem też coś niecoś o tym, jaki zapach potrafią mieć pieluchy. Miałam okazję je wachać, kiedy dzieci były małe, i jakoś nie bardzo mnie to raziło.

Mace wyłożył pierwszy placek z patelni.

- A o tym, kochanie, mój syn nie ma najmniejszego pojęcia.

Spojrzała na Pete'a i zauważyła, że uwaga ojca zaboląła go bardziej, niż można się było spodziewać. Czy to kolejny temat tabu? Czyżby Mace nie mógł darować synowi, że dotąd nie obdarzył go wnukiem?

- Proszę, i smacznego. To wszystko jest dla ciebie. - Mace postawił przed nią talerz z naleśnikami i baterię przeróżnych soków. - Masz tu syrop owocowy, klonowy, miodowy, porzeczkowy. Bierz, ile chcesz, nie krępuj się.

- Dla mnie to trochę za dużo. Nigdy nie zjem tych wszystkich naleśników. - Tala niespokojnie pokręciła się na krześle.

Mace zmrużył oczy.

- Mój syn potrafi sprzątnąć cztery razy tyle. Zaraz dostanie swój przydział. Z takimi naleśnikami jest tylko jeden problem: wymagają opieki jak dzieci, ani na chwilę nie można ich spuścić z oczu.

Tala zastygła z ręką nad talerzem.

- O, Boże... Mogę stąd zatelefonować?

- Jasne. - Mace spojrzał na nią zdumiony.

Pete wstał i usunął swoje wielkie ciało tak, żeby mogła się prześliznąć.

- Telefon jest w mojej sypialni - poinformował ją Mace. - Wystarczy nacisnąć guzik i będziesz miała sygnał.

- Dziękuję, i bardzo przepraszam.

- Nie szkodzi, kochanie. Przypilnuję twoich naleśników. Sypialnia Mace'a była tak skromna jak cela mnicha.

Tala wystukała numer i Irene natychmiast podniosła słuchawkę.

- Irene, to ty?

- Jezus, Maria! Talu! Gdzie, u licha, jesteś? Dzwoniłam do ciebie od siódmej rano chyba ze sto razy! Postanowiłam jeszcze chwilę poczekać i zadzwonić do szeryfa Craiga, żeby zaczął cię szukać. Miałaś wypadek?

- Nie. Strasznie przepraszam, Irene, że was nie zawiadomiłam.

- Masz zepsuty telefon? Obie z Vertie o mało nie oszalałyśmy ze strachu.

- A dzieci?

- Nic im nie mówiłam, miały dość innych kłopotów.

Wczoraj nareszcie znowu otwarto szkołę. Za moich czasów było zupełnie inaczej. Chodziło się do szkoły bez względu na pogodę, deszcz, wichura, mróz, wszystko jedno. A teraz wystarczą dwa stopnie i mżawka, żeby od razu robić alarm.

Tala odetchnęła z ulgą. Na szczęście dzieci się nie przestraszyły. Od śmierci Adama Cody bez przerwy się o kogoś bał, a Rachel udawała, że nikim się nie przejmuję, zwłaszcza własną matką, co też było dość niepokojącym sygnałem.

Gdzieś z drugiego planu doszedł ją znajomy głos.

- Nasza mała Tala raczyła zadzwonić? Daj mi ją zaraz. Ton Vertie sprawił, że Tala skrzywiła się mimo woli.

- Jak myślisz, po co dobry Bóg dał nam telefony? Może po to, żeby w razie potrzeby naszym bliskim oszczędzić niepokoję, jak sądzisz?

- Już przeprosiłam Irene - westchnęła Tala.

- Nie szkodzi. Moja synowa zbyt łatwo przebacza. W przeciwieństwie do mnie. Masz natychmiast mnie przeprosić, bo inaczej zaraz do ciebie jadę i dam ci w skórę.

- Bardzo przepraszam.

- Czekam na wyjaśnienie. Znikasz gdzieś o północy, twój telefon milczy, odzywasz się dopiero rano. Co się stało? Masz zepsuty telefon? Miałaś wypadek?

- Nie. Czuję się świetnie. Chciałam wpaść do was dziś rano i zjeść z wami śniadanie, ale zasnęłam. Przyjadę po południu w drodze do pracy i wszystko wam opowiem. Jeśli się zgodzisz, oczywiście.

- Czy ja się zgodzę? Rozkazuję ci tak uczynić. Nastąpiły nowe żarty i przekomarzenia, po czym Tala wreszcie odłożyła słuchawkę. Uwielbiała „swoje teściowe”, a one nie widziały poza nią świata. Miała dużo szczęścia w nieszczęściu.

Poczuła, że łzy napływają jej do oczu. Gdyby nie Irene i Vertie, nie przeżyłaby śmierci Adama. Nie zniosłaby tego wszystkiego i teraz też nie dałaby sobie rady. A przecież zawsze była niezależna. Zawsze ciężko pracowała i nie bała się pracy. Nie była typem kobiety, która kiedykolwiek zasiądzie w białych koronkowych rękawiczkach i będzie popijać kawę, zagryzając czekoladkami.

Vertie też nigdy taka nie była. Teściowa jej teściowej całe życie chodziła w dzinsach, długich butach i kapeluszu kowbojskim na głowie. A właściwie nie tyle chodziła, co jeździła jeepem po polach i

wzgórzach. Irene i Vertie różniły się od siebie pod każdym względem, a jednak potrafiły z sobą wytrzymać i mieszkać razem w ogromnym domu należącym do rodziny Newsome'ów. Może dlatego, że przez ostatnie lata Vertie wiele podróżowała.

Tala nie miała zamiaru kontynuować rodzinnej tradycji i reprezentować trzeciego pokolenia wdów w ogromnym domu. Nawet gdyby miała stać za ladą w Food Farm do końca życia.

Albo przez dwadzieścia lat sprzątać odchody słoni.

Rozdział 3

- Za jakieś dwie godziny powinnam być z powrotem - oznajmiła Tala, zegnając gospodarzy i wsiadając do swojej półciężarówki. - Pojadę do tej firmy od klatek i wpadnę po drodze do teściowej. Z dziećmi postaram się jakoś zobaczyć po szkole. Może tak być? Już się nie mogę doczekać, żeby im opowiedzieć o Maleńkiej. Pete spojrzał na nią z lekką naganą.

- Nie możesz nikomu o niej mówić.

- Ale...

- Jeśli powiesz o niej jednej osobie, za chwilę dowie się o tym całe miasto, a za godzinę będziemy tu mieli szeryfa, ludzi z ochrony środowiska i grupkę oszołomów. Przy naszej furtce można by zorganizować niezłą demonstrację w obronie ginących gatunków, już to widzę.

Tala błagalnie złożyła dłonie.

- Każę im przysiąc, że nikomu nie pisną słowa. - Potem jej dłonie opadły. - Masz rację. Nie pomyślałam o tym, ale co ja im powiem... Jak mam wytłumaczyć to, że spędziłam noc tutaj, u was?

- Powiedz, że zepsuł ci się samochód, wymyśl coś sensownego. Powiedz cokolwiek, ale ani słowem nie wspominaj o lwicy. Przyrzekasz?

Tala skinęła głową.

- Przyrzekam.

Pete zamyślił się na chwilę.

- Zresztą - odezwał się potem - skoro rzeczywiście mamy zrobić to szaleństwo, musimy jak najszybciej przygotować dla niej nową klatkę. Będę musiał z tobą pojechać do sklepu i dopilnować, żebyś kupiła, co trzeba.

- Wcale nie musisz ze mną jechać - zaprzeczyła. - Dobrze mnie tam znają i na pewno mi pomogą. Kiedy Ad... kiedy mój mąż żył, zawsze robiliśmy u nich zakupy. Stale czegoś potrzebowaliśmy. Po prostu pomyślałam sobie, że planuję coś nowego. Jeśli będziesz mi towarzyszył, natychmiast dowie się o tym całe miasto.

Spojrzał na nią ze zdziwieniem.

- Dlaczego? Uśmiechnęła się z wyższością.

- A jak pan myśli, doktorze Jacobi? Przecież od dawna wszyscy pana mają na oku. Hodować słonie w środku Hollendale County? To takie zwyczajne? Nigdy pan nie mieszkał w małym miasteczku?

- Owszem, ale to był ośrodek uniwersytecki. Swoją drogą, dlaczego do mojego ojca zawsze mówisz Mace, a mnie nieraz nazywasz doktorem Jacobim?

Miała ochotę powiedzieć prawdę, to znaczy oznajmić mu wprost, że ją krępuje i onieśmiela, ale nie zrobiła tego.

- W porządku, niech będzie Pete. Wskoczyła do samochodu i zapuściła motor.

- Poczekaj chwilę. - Wielka dłoń Pete'a spoczęła w otwartym oknie. - Zdecydowałaś się u nas pracować czy nie?

- Jeszcze nie wiem.

- Food Farm to zawsze jakieś zabezpieczenie na przyszłość - powiedział z namysłem. - Nasz rezerwat nie jest zbyt pewny, dziś jest, jutro go nie ma. Zresztą, rób, jak uważasz. My w razie potrzeby zawsze sobie kogoś znajdziemy.

Przez chwilę patrzyła na niego bez słowa, a potem wcisnęła gaz i szybko ruszyła w drogę.

Rzeczywiście, bardzo to miłe i zachęcające. Pete jak nikt potrafi rozmawiać z ludźmi. Pewnie Mace kazał mu ją zapytać, co zamierza zrobić. Trzeba jednak przyznać, że było trochę racji w tym, co wykrztusił. Food Farm to nic nadzwyczajnego, ale zawsze jakieś zabezpieczenie na przyszłość. Z drugiej strony, nikt nie da rady pracować i tu, i tam. Nie pogodzi pracy w sklepie z zajęciami w rezerwacie. Trzeba będzie wybierać, a doktor Jacobi płaci więcej.

Gdyby mogła pracować przy słoniach od siódmej rano do trzeciej, zdążyłaby pojechać po dzieci do szkoły i być z nimi codziennie przez kilka godzin, zupełnie jak prawdziwa matka.

Może umiałaby z nimi porozmawiać, może na nowo nawiązałyby kontakt z Rachel, może córka i syn zrozumieliby jej sytuację. Również finansową.

Pete długo patrzył w ślad za znikającą półciązarówką. Ręce głęboko wbił w kieszenie, zacisnął pięści.

Potem, usłyszawszy charakterystyczny dźwięk, odwrócił się i ujrzał Sweetie. Stała kilka kroków dalej, wpatrując się w niego ciemnymi, chytrymi oczkami. Jej koleżanki poszły już pewnie na pastwisko, ogromny zalesiony teren rozciągający się w promieniu kilku kilometrów. Wróć bardzo późno, dopiero na wieczorny posiłek.

- O co chodzi? - zapytał.

Sweetie podniosła trąbę i otworzyła paszczę.

- Ale ty jesteś rozpieszczona!

Pete z westchnieniem zaczął drapać ją po jęzorze. Słonica z rozkoszą przymknęła oczy.

- Jak to się dzieje, że choćbym cię tak drapał od rana do wieczora, nigdy mnie nie pogładzisz po głowie?

Zupełnie jakby nie dosłyszała pytania. Całkiem zamknęła oczy i przestąpiła z nogi na nogę.

- Co ona ma takiego, czego ja nie mam? Może chodzi o te włosy do pasa i nogi tancerki rewiowej? - pytał dalej.

Gdy przerwał pieszczotę, Sweetie czujnie uchyliła jedno oko.

- Na dzisiaj dosyć. Zmarzłem już, a ten twój jęzor jest dosyć szorstki. Co, jak rozumiem, zupełnie cię nie obchodzi.

Sweetie opuściła trąbę i oddaliła się powolnym krokiem.

- Bardzo ci dziękuję, drogi Pete! - krzyknął za nią z goryczą, ale się nie odwrócił.

Patrzył na nią z zachwytem. Widok tego zdumiewającego ciała zawsze napawał go podziwem. Słonica z tyłu wyglądała jak dostojnie wędrujący pagórek. Zaskoczyło go to, że natychmiast pomyślał, iż Tala doceniłaby ten zabawny obrazek. Może nawet roześmiałaby się radośnie tym swoim dźwięcznym śmiechem, który przyprawiał go o dreszcz podniecenia.

W tej samej chwili dobiegł go pomruk lwicy. Zupełnie zapomniał, że oprócz słoni ma jeszcze w klatce lwicę, a na głowie kobietę, która deklaruje, że zajmie się wszystkim, a tak naprawdę nie zajmuje się nawet własnymi dziećmi. Za to gorliwie zbiera po nocy leżące na szosie ranne lwy.

Jaka ona jest naprawdę, ta Tala Newsome? Jest niesamowitą kobietą, której spojrzenie ścina mu krew w żyłach.

Małeńka siedziała w klatce, z bolącą łapą uniesioną nad ziemią. Na jego widok warknęła, a w oczach lwicy wyczytał, że coś jej dolega. Jeszcze nie doszła do siebie po niedawnej operacji. Należało tylko mieć nadzieję, że podany antybiotyk zapobiegnie ewentualnej infekcji.

Pete Jacobi został weterynarzem, ponieważ chciał zasłużyć na pochwałę ojca, ale przede wszystkim dlatego; że nie mógł znieść cierpienia zwierząt. Ukłął obok klatki i wsunął dłoń między pręty, gotów w każdej chwili się wycofać.

Ciało zwierzęcia nie było gorące. Na szczęście, Iwica nie gorączkowała. Nerwowo pokręciła łbem i zaczęła lizać ranę szorstkim jak papier ścierny językiem. Pete wiedział, że tym jęzorem mogła zdrzeć człowiekowi skórę z ręki.

- Wszystko będzie dobrze, Maleńka - szepnął. - Zaraz coś zrobimy.

Wziął strzykawkę i błyskawicznym ruchem wbił ją zwierzęciu w udo. Zdażył wstrzyknąć lekarstwo, zanim Iwica zębami wyrwała strzykawkę z ciała i cisnęła ją na podłogę klatki.

Pete odsapnął z ulgą. Zaraz lek przeciwbólowy zacznie działać i przez pewien czas będzie spokój. Lata praktyki nauczyły go jednego: ranne zwierzę nie zawsze wie, co się robi dla jego dobra, i nie zawsze potrafi docenić starania swojego opiekuna.

Vertie Newsome uniosła szklanekę z mrożoną herbatą.

- Myślę, że powinnaś się zgodzić - oświadczyła stanowczo i pociągnęła łyk napoju.

Irene poruszyła się niespokojnie.

- Ty to byś się zgodziła nawet wtedy, gdyby nam tu oświadczyła, że zamierza skoczyć do Wielkiego Kanionu - powiedziała z przekąsem. - Przecież to bardzo niebezpieczne, taka praca z tymi wszystkimi słoniami i z tym facetem.

- Nie rozumiem, o co ci chodzi. - Vertie nie tak łatwo dawała się zbić z tropu. - Ja, gdybym była dwadzieścia lat młodsza, sama bym pojechała do Mace'a do roboty. Mężczyzna to zawsze mężczyzna, a Tala od roku żyje z samymi babami.

Irene spojrzała na nią zgorszona.

- Vertie! Przestań!

Tala leżała wygodnie wyciągnięta na kanapie i popijała herbatę z cienkiej porcelanowej filiżanki, należącej do Irene Newsome. Była zbyt zmęczona, żeby ją bawiło przekomarzenie się teściowych. Miała za sobą ciężki dzień, a jeszcze czekało ją zawiezenie worków z cementem i żelaznych prętów do rezerwatu Jacobich. Potem ledwo zdaży wpaść do domu wykapać się i przebrać, i zaraz musi lecieć do pracy w Food Farm.

Opowiedziała już ocenzurowaną wersję wydarzeń ostatniej nocy, zręcznie wplatając wątek drobnej awarii samochodu w miejsce spotkania z Maleńką. Po prostu pod samą bramą rezerwatu, w straszliwej ulewie, kompletnie wysiadły jej wycieraczki.

- To znaczy, ja na twoim miejscu - ciągnęła niezmordowanie Vertie - wolałabym pracować z tym młodszym. Ten to jest wielki. - Vertie niemal się oblizała. - Zawsze lubiłam dużych mężczyzn - zakończyła, wyzywająco spoglądając na synową.

Mina Irene nikogo nie zawiodła. Na jej twarzy malowało się teraz zgorszenie i niemy wyrzut. Nawet Tala wybuchnęła śmiechem.

Irene wyprostowała się z godnością.

- Możecie się śmiać, a ja i tak wiem swoje. Nie możesz przyjąć tej pracy, moja droga. Pomyśl, co powiedzą ludzie.

Tala spoważniała.

- Nigdy się tym nie przejmowałam.

- Bo zawsze miałaś przy sobie Adama - pouczyła ją teściowa. - Teraz jesteś samotną kobietą z dwojgiem dzieci. Możesz sobie nie dbać o opinię, ale musisz wiedzieć, że to, co dotyczy ciebie, dotyczy również ich. A wiesz, jakie są, zwłaszcza Rachel. Jest taka wrażliwa, to taki wiek. Nie rozumiem, dlaczego nie chcesz tutaj z nami zamieszkać. Powinnaś się przeprowadzić. Przecież będziesz miała własny pokój, nawet kilka. Będziesz mogła wychodzić, kiedy zechcesz i wracać, kiedy będziesz chciała. - Przez chwilę milczała, a potem dodała jeszcze: - No i jest Lucina, dobra kuchnia, przyzwoite jedzenie. Trochę byś przytyła i pobyła razem z dziećmi. Wszystko to słusznie ci się należy. Pieniądze, które ojciec Adama odebrał mu, kiedy się dowiedział, że jego jedyny syn chce zostać strażnikiem przyrody zamiast bankierem, są nietknięte. Zawsze można znaleźć sposób na to, żeby z nich trochę uszczknąć. Miałabyś pewną sumkę i trochę lżejsze życie.

Tala zrobiła znużony ruch ręką.

- Już o tym mówiłyśmy, Irene, i nie wracajmy do tego, proszę. - Mimo woli w jej głosie zabrzmiało zniecierpliwienie. - Pan Newsome zablokował te pieniądze w banku do chwili, kiedy jego wnuki rozpoczną studia albo założą rodziny. Nie chciał, żebyś dała z tego cokolwiek Adamowi albo mnie. Adam zawsze odmawiał, kiedy mu proponowałaś pieniądze, i jest moim obowiązkiem postępować tak samo. Dzieciom na razie nie dzieje się żadna krzywda, a i ja jakoś daję sobie radę.

- Ale to niesprawiedliwe. - Irene była wyraźnie poruszona. - Ja wiem, że Hollis zamierzał zmienić te dyspozycje, kiedy zrozumiał, jak bardzo Adam jest z tobą szczęśliwy. Umarł tak nagle, że nie zdążył...

Jestem upoważniona do wszelkich czynności bankowych i mogę tak to załatwić, że nikt nic nie zauważy.

Tala spojrzała na nią z wdzięcznością i położyła rękę na małej dłoni Irene.

- I tak wydajesz mnóstwo pieniędzy na dzieci, a ja nie potrafię wyrazić, jak bardzo jestem ci za to wdzięczna.

Gdyby nie ty... Ja nie mogłabym zaspokoić wszystkich ich potrzeb.

- Ale gdybym załatwiła te pieniądze, mogłabyś mniej pracować. Przecież ty się zabijasz. Mogłabyś wrócić do szkoły... - Głos Irene lekko się załamał. - Nie rozumiem, dlaczego tak się upierasz.

Tala wyprostowała się z trudem.

- Rozumiem, że to trudno pojąć, ale nie mogę inaczej. Jeśli teraz nie będę samodzielna i niezależna, jeśli teraz nie stanę na własnych nogach, to będzie znaczyło, że nic nie jestem warta i nigdy nie byłam warta Adama. Dopnę swego, nie wiem gdzie i kiedy, ale zrobię to.

Poczuła na kolanie energiczną dłoń Vertie.

- Daj jej spokój, Irene. Ona ma rację. My możemy tylko jej pomagać tak długo, jak będziemy mogli. Tala ma własne życie i sama musi o sobie decydować. Jeśli zechce skoczyć sobie do Wielkiego Kanionu, to ja jej powiem „skacz”.

Irene spojrzała na nią z ukosa.

- A jutro czy pojutrze pojedziesz sobie do Nepalu albo na Bali i zostawisz mnie sam na sam ze wszystkimi plotkami w naszym mieście. Przepraszam - dodała zaraz - przepraszam, Vertie, nie chciałam tak powiedzieć. To nie było fair.

- Ale za to szczerą prawdą. Masz rację. W takim razie, posiedzę na tyłku do czerwca i wyfrunę dopiero, jak dzieciaki skończą szkołę. A jeszcze lepiej będzie, jak je zabiorę gdzieś na całe wakacje. Ty i Tala też możecie z nami jechać.

Irene dotknęła ramienia Tali starannie wypielęgnowaną dłonią o różowych paznokciach.

- Nie, ja wolę zostać tutaj, to moje miejsce. A ty, Talu - rzekła, zwracając się do synowej - rób, jak uważasz. Może rzeczywiście będzie lepiej, jak weźmiesz tę pracę. Będziesz mogła zabierać dzieci ze szkoły i uczestniczyć w dodatkowych zajęciach. Ja i Vertie staramy się, jak możemy, ale doskonale rozumiemy, że matki nic nie zastąpi.

Tala spojrzała na nią ze smutkiem.

- Nie jestem zbyt potrzebna Rachel, ona za mną nie tęskni. Chętnie by się zgodziła, żebym sobie pojechała do Nepalu albo na Bali.

Irene uśmiechnęła się wyrozumiale.

- Postaraj się zrozumieć. Ona jest w nie najlepszej formie. Jeszcze nie wróciła do siebie... po śmierci Adama.

Vertie wydała z siebie krótkie parsknięcie.

- I nie tak szybko wróci. Trudno się pogodzić ze śmiercią kogoś najbliższego, a już z taką śmiercią... Przecież Adam tak naprawdę zginął na własne życzenie. Dał się zamordować jakiemuś kłusownikowi, i to bydlę chodzi teraz bezkarnie po świecie!

Tala spojrzała na nią błagalnie.

- Vertie, bardzo cię proszę...

- Przepraszam, kochanie, ale jak o tym pomyślę, wszystko się we mnie przewraca. Za moich czasów złapalibyśmy sukinsyna i powiesili na najbliższym drzewie. Nikt by się nie bawił w żadne śledztwa i procesy.

Tala szybko wstała, odstawiła filiżankę na stół i pocałowała Vertie w policzek. Był suchy jak pergamin i jedwabście delikatny.

- Kocham cię, moja ty królowo zbrojczyków i bandytów, i ciebie też, Irene.

Vertie zamrugła powiekami, żeby przegnać łzy.

- I co, weźmiesz tę robotę? - zapytała ochrypłym głosem.

- Może. Porozmawiam o tym z Beanie dzisiaj wieczorem. Ale na razie nie mówcie nic dzieciom.

- Oczywiście, kochanie.

Irene odprowadziła ją do drzwi i bacznie zajrzała w oczy.

- Bardzo jesteś mizerna, masz takie podkrążone oczy i chyba znowu schudłaś. Zadbaj o siebie, dobrze?

- Tak jest.

Tala pocałowała Irene w policzek i pobiegła do samochodu. Na odjeździe pomachała jeszcze obu kobietom stojącym na ganku. Stały tak obok siebie, ramię w ramię, zupełnie inne, lecz połączone wspólnym losem. Wysoka chuda Vertie z siwymi włosami zebranymi do tyłu, w spłowiałych dżinsach, w za dużym swetrze i białych adidasach. Tuż przy niej Irene, drobna, niższa od Tali, o nieskazitelnej fryzurze, w kostiumie i beżowej jedwabnej bluzce, na wysokich

obcasach, które podkreślały smukłość pięknych nóg, z których była tak dumna.

Obie kobiety odwróciły się i weszły do domu. Pozostała tylko biała, nieskazitelna fasada ich rodowej siedziby.

Wiedziała, że obie, Vertie i Irene, zrobią wszystko, żeby dzieciom zastąpić stale nieobecną matkę. Wiedziała to i czuła się podle. Ktoś mógłby oczywiście powiedzieć, że najprościej byłoby zabrać dzieci na wieś, na farmę, skończyć z tą całą szarpaniną, przestać być „niedzielną” matką i nareszcie stale przebywać z nimi. To jednak było niemożliwe.

Rachel za żadne skarby świata nie chciała wrócić na farmę. Oznajmiła wszem i wobec, że jej noga nigdy w życiu nie postanie na wsi. Nie chce na oczy widzieć pól, łąk, lasu i zwierząt. Uważała, że gdyby ojciec mieszkał w mieście, nie zginąłby i byłby teraz razem z nimi.

Ponadto, gdyby nie spotkał Tali i związał się z jakąś poważną osobą, nie mógłby zrealizować swego szalonego pomysłu i nigdy nie zostałby strażnikiem przyrody. Miałby teraz duży, wygodny dom w mieście i pracował we własnym, odziedziczonym po ojcu banku. Rachel nie mogła pogodzić się z losem, a Tala nie potrafiła jej pomóc.

Cody zaś w ciągu ostatnich trzech miesięcy spędził na farmie tylko jedną noc. Przez cały ten czas Tala musiała siedzieć przy nim w bujanym fotelu i trzymać go za rękę. Chłopca dręczyły koszmary, rzucał się i krzyczał. W domu babki przynajmniej może spać spokojnie.

Czerwony jeep zatrąbił, wrywając ją z zamyślenia, i Tala zdjęła nogę z gazu. Wyskoczyła z samochodu.

- Rachel! Cody! Irene mówiła, że wróćcie dopiero za jakąś godzinę!

Rozłożyła ramiona i Cody wpadł w nie z rozpędu. Rachel stała nieruchomo przy czerwonym jeepie.

- Mamo! - Synek mocno pocałował ją w policzek. - Pani Johnson się rozchorowała i Rachel nie miała tych swoich głupich tańców, a pani Lippincott nas podwiozła i nie musieliśmy wracać piechotą!

Tala spojrzała na córkę.

- Przykro mi z powodu tych tańców, ale cieszę się, że cię widzę, Rachel.

Rachel rzuciła teczkę i podeszła do matki.

- Jak tak będzie, nigdy się nie nauczymy tańczyć - powiedziała, wzruszając ramionami. - Co się stało? Co tutaj robisz? - dodała wyraźnie zaniepokojona. - Ktoś jest chory?

- Nie, wszystko w porządku, tak tylko wpadłam.

- Aha.

Twarz Rachel przestała wyrażać jakiegokolwiek uczucia. Znowu była nieruchomą maską, którą Tala tak dobrze poznała po śmierci Adama. Dziewczynka sięgnęła po teczkę i wolnym krokiem skierowała się w stronę domu.

- Muszę odrobić lekcje. Cześć. Cody skrzywił się.

- Ona jest okropna. Dlaczego ja nie jestem jedynakiem?

Tala uśmiechnęła się smutno.

- Trochę za późno na takie decyzje, kochanie. Cody zmarszczył czoło.

- Ona tylko tobie tak dokucza, dla innych jest bardzo miła - oświadczył.

- A dla ciebie?

- Spróbowałyby! - Cody zrobił wojowniczą minę i naprężył muskuły. - Ja jestem waleczny wojownik! Nikt mi nie dorówna!

- Doskonale, ale pamiętaj, żebyś nikogo nie bił, dobrze?

- Jasne, mamó.

Tala zerknęła na zegarek i podskoczyła.

- Boże, jak późno! Muszę lecieć, skarbie. Bardzo cię Kocham.

Pocałowała go w czoło i machnęła ręką w stronę ganku, na wypadek gdyby ktoś stamtąd spoglądał w jej stronę. Wsiadła do samochodu i przez chwilę patrzyła w ślad za synem. Łzy napłynęły jej do oczu. Cody był kopia ojca. Dokładnie tak wyglądał Adam w jego wieku; wiedziała o tym ze zdjęć.

Skierowała się na drogę wiodącą do rezerwatu. Nie miała dużo czasu. Musi zostawić zakupione pręty i cement u Jacobich i szybko jechać do pracy.

Widząc Cody'ego, można by sądzić, że nie bardzo go obeszła śmierć ojca. Tala jednak wiedziała, że tak nie jest. Cody nic po sobie nie pokazywał, podczas gdy Rachel objawiała swój żal i rozpacz całemu światu. Obojgu na pewno przydałby się dobry psycholog, lecz jedyny, który praktykował w promieniu pięćdziesięciu kilometrów, nie cieszył się najlepszą opinią.

Wiedziała, że musi coś zrobić, aby im pomóc. I pomóc samej sobie.

Niczego tak nie pragnęła, jak zamieszkać z dziećmi, ale nie mogła zostawić farmy, na której spędziła tyle lat z mężem. Ta farma to było całe ich życie. Tu zamieszkali zaraz po ślubie, tu przyszły na świat ich dzieci, stąd Adam chodził na dalekie wyprawy do lasu, zanim nie spoczął na maleńkim cmentarzyku obok swych przodków.

W dzień ślubu uroczyście mu przyrzekła, że nigdy nie opuści tego miejsca. Farma położona na terenie Bryson's Hollow zawsze będzie schronieniem dla zwierząt i żadne nie odejdzie stąd głodne i nie opatrzone. Taka była wola Adama i Tala zamierzała dotrzymać obietnicy.

Nie mogła opuścić tego miejsca, nie mogła pozwolić, żeby padło łupem złodziei i włóczęgów.

Gdyby jednak podjęła pracę w rezerwacie, mogłaby zabierać dzieci ze szkoły i przywozić je tam od czasu do czasu. Cody mógłby spędzić na farmie część wakacji, a może i Rachel dałaby się skusić na jakiś krótki pobyt. Tala wierzyła w kojącą moc przyrody. Może gdyby usiadła z córką nad strumykiem, tym samym, w którym łowiła pstrągi ze swoim dziadkiem, Rachel odzyskałaby spokój. Na razie jednak musi załatwić jedną sprawę. Zgodzić się na pracę w rezerwacie, a o reszcie pomyśli później.

- Strasznie to długo trwało. - Pete z pochmurną miną podszedł do półciężarówki. - Wszystko kupiłaś?

- Tak jest, panie doktorze. Nawet taki specjalny cement, który bardzo szybko schnie. Normalnemu przy takiej pogodzie zajęłoby to cały miesiąc.

- W porządku.

Wydawał się lekko zdziwiony. Myślał pewnie, że kobiety nie znają się na takich rzeczach. Wysiadła z samochodu i przechodząc obok niego, lekko go dotknęła. Poczowała przyśpieszone bicie serca i rumieniec barwiący policzki.

Pete odsunął się, jakby go sparzyła.

- Gdzie chcesz zbudować dla niej klatkę? - zapytała Tala, próbując nie dostrzegać tego, co się z nimi dzieje.

- Wszystko już z ojcem omówiliśmy. Postawimy ją pod okapem od strony stodoły. Będzie osłonięta od deszczu i wiatru i niewidoczna

od strony szosy. Nikt niepowołany jej nie zobaczy - odparł, nie patrząc jej w oczy.

- Najważniejsze, żebyś ją samą nauczył nie wydawać żadnych dźwięków - zauważyła nieco żartobliwie Tala.

- Zaraz ci pokażę to miejsce - powiedział, jakby nie dosłyszał. - Sam poprowadzę; słonie strasznie rozdeptały podwórko i jest bardzo ślisko.

Tala otworzyła usta, chcąc zaprotestować, ale dała sobie spokój. Pete zasiadł na miejscu kierowcy, a ona wcisnęła się obok niego. Odsunął siedzenie do tyłu i pomyślała, że będzie musiała wszystko na nowo ustawiać, by sięgnąć do pedałów.

W chwilę potem oglądali już miejsce, w którym miała stanąć klatka. Było znakomicie wybrane. Szeroki okap dawał schronienie przed deszczem, a ponieważ klatka jednym bokiem miała dotykać stodoły, wystarczyło ją tylko obudować z trzech stron.

Mace wyznaczył już parametry i zaczął kopać.

- Nie będzie dla niej trochę za mała? - spytała Tala z niepokojem.

- Jak lwica wyzdrowieje, każda klatka będzie dla niej za mała - sceptycznie oświadczył Mace - zwłaszcza jeśli zostanie u nas dłużej.

Oparł się na łopacie i spojrzał na syna.

- Nie może zostać tam, gdzie jest. - Pete wzruszył ramionami. - Już zaczyna być niespokojna. Tutaj będzie miała powietrze i więcej miejsca. Można jej będzie wstawić jakąś drabinkę, żeby się mogła wspinać, chociaż lwy w niewoli niechętnie to robią.

- Znalazłeś już dla niej coś na przyszłość? - zapytała Tala.

- Nie było cię kilka godzin... Zmieszała się.

- Przepraszam, ale wcześniej nie mogłam. A co się tyczy pracy...

- Zgódź się, proszę. Chyba nie powiesz nie? - wtrącił Mace.

- Dziś wieczorem porozmawiam z moim szefem. Muszę mu dać szansę, nie mogę go tak zostawić na lodzie. Jeśli podwyższy mi pensję o dziesięć procent, zostanę, tak chyba będzie lojalnie. Ale jeśli odmówi, a u was naprawdę będę mogła tak kończyć pracę, że zdążę pojechać po dzieci do szkoły i będę miała wolne weekendy, przyrzekam, że zrobię wszystko, żebyście byli ze mnie zadowoleni.

Mace klasnął w dłonie.

- Cudownie!

Pete mruknął coś pod nosem.

- Bardzo mi przykro, że was tak zostawiam z tym wszystkim - ciągnęła - ale teraz muszę jechać do domu, przebrać się i szybko lecieć do pracy. Chyba zostawiłam tam, w pokoju, rękawiczki. Mogę po nie iść?

- Oczywiście. I zadzwoń natychmiast po rozmowie z szefem. Jeśli zechce zapłacić ci więcej, wyrównamy ci to. A jeśli chcesz mu dać dwutygodniowe wypowiedzenie, poczekamy na ciebie. Bardzo nam zależy, żebyś to właśnie ty z nami pracowała.

Tala podziękowała Mace'owi uśmiechem i weszła do budynku, zostawiając mężczyzn zajętych zdejmowaniem metalowych prętów z samochodu. Mace Jacobi naprawdę ma ochotę ją zatrudnić. Nie wiedziała tylko, co o tym sądzi Pete.

Weszła do dużego pomieszczenia, które poznała ubiegłej nocy, i spojrzała w stronę klatki lwicy. Panował półmrok, ale nawet w niewyraźnym świetle dostrzegła z przerażeniem, że klatka jest... pusta!

Poczuła lodowaty chłód. Jeśli lwica zdołała wydostać się na zewnątrz przez ogrodzenie dla słoni, to może teraz być wszędzie. Może spokojnie wędrować sobie po okolicy, może nawet jest już w drodze do miasta...

Otworzyła usta, żeby zawołać Mace'a i Pete'a i wtedy poczuła, że coś miękkiego ociera się jej o nogi. Nie poruszając głową, spojrzała w dół. Maleńka stała obok niej, łaszcząc się niczym kot. Wielki płowy łeb dotykał kolan Tali. Napór był jednak tak silny, że oparła się o ścianę przy drzwiach, by nie upaść. Maleńka ułożyła się u jej stóp i mruczając, przymknęła ślepią.

- Jak rozumiem, nie jesteś bardzo głodna, kochanie - szepnęła Tala. - Przynajmniej mam taką nadzieję. I chyba jesteś przyzwyczajona do ludzi, chociaż nie wiem, co ci zrobili, zanim zaczęli do ciebie strzelać. Nie jestem pewna, czy dobrze pamiętasz, że to ja uratowałam cię ostatniej nocy. Może po prostu czujesz się samotna i potrzebujesz czyjś ciepła...

Maleńka spojrzała jej w oczy i cicho mruknęła. Nawet bez siekaczy jej pysk robił imponujące wrażenie.

Tala nie wiedziała, co robić. Ogromny kot leżał na jej stopach i nie mogła się ruszyć. Nawet gdyby zdołała tego dokonać, musiałaby przeskoczyć przez wielkie złocistopłowe cielsko, żeby wydostać się z

pułapki. Maleńka chyba na to nie pozwoli. Ciekawe, ile czasu musi upłynąć, żeby Pete zorientował się, że zbyt długo nie wraca?

Nie mogła czekać. Postanowiła poradzić sobie sama.

- Jak tam twoja rana, Maleńka? - powiedziała łagodnym, melodyjnym głosem. - Chyba już lepiej, prawda?

Pochyliła się powoli i leciutko podrapała lwicę za uszami.

- Moje koty zawsze bardzo to lubiły. Miejmy nadzieję, że starczy ci kociej natury, żeby to właściwie ocenić.

Przez chwilę miała wrażenie, że się przesłyszała. Lwica zaczęła... mruzczyć. Zupełnie jak zadowolony, syty, domowy kociak. Tala delikatnie pogłaskała ją po łbie.

- Jesteś słodką, małą dziewczynką.

W chwilę potem omal nie wylądowała na grzbiecie lwa; ktoś gwałtownie otworzył drzwi, popchnął ją, i usłyszała głos:

- Co z tymi rękawiczkami? Nie możesz ich znaleźć?

- Pete, nie wchodź tutaj - szepnęła. W drzwiach ukazała się głowa.

- O cholera, nic ci nie jest?

- Nie, wszystko w porządku. - Próbowała się wyprostować, ale uchylone drzwi ograniczały jej ruchy.

Lwica uniosła głowę, mruczenie ustało. Lekko poruszyła ogonem, wyraźnie niezadowolona.

- Wyprostuj się powoli - polecił cicho Pete. - Otworzę szerzej drzwi i wyciągnę cię na zewnątrz.

- To chyba niepotrzebne - powiedziała z wahaniem. - Ona tylko chce się połasić, nic złego mi nie zrobi. Jest bardzo samotna, drapałam ją właśnie za uszami.

- Rób, co mówię, rozumiesz? A o tym, czy ona czuje się samotna, czy nie, zadecydujemy, kiedy będą was dzielić stalowe pręty.

- Dobrze.

Nie bała się, lecz w jego głosie było coś, co sprawiło, że postanowiła dłużej się nie opierać, Pete wydawał się naprawdę przerażony. Chyba bał się o nią. A może nie powinna mieć złudzeń; po prostu nie chciał tłumaczyć policji, jak to się stało, że w rezerwacie dla słoni znaleziono zwłoki kobiety zagryzionej przez lwa.

Gdy powoli się prostowała, Maleńka przyłgnęła ciaśniej do jej nóg. Nie było w tym agresji, raczej prośba o pieszczotę i potrzeba fizycznego kontaktu.

Poczuła, że drzwi otwierają się szerzej; chłodny powiew owionął jej kark. Usłyszała jeszcze głos Pete'a: „Teraz, ale już”, po czym jakaś potężna siła chwyciła ją za ramię i, niemal unosząc w powietrzu, wyszarpnęła z pomieszczenia, w którym znajdowała się lwica.

Wszystko to trwało ułamek sekundy i Tala nie bardzo wiedziała, co się właściwie z nią dzieje.

- Nigdy już tego nie rób. Słyszysz, nigdy!

Czując na policzku dotyk szorstkiej bluzy, uniosła na niego oczy.

- Ja? A co ja takiego zrobiłam? - zapytała zdziwiona. Dopiero wtedy zorientowała się, że Pete wciąż trzyma ją nad ziemią niczym lalkę.

- Nie zauważyłaś, że ona wydostała się z klatki?

- Postaw mnie na ziemi! Zanim się zorientowałam, gdzie ona jest, już mi leżała przy nogach i mruczała jak kot.

Puścił ją i stała teraz przed nim, mała i zadziorna.

- Uważam, że zachowałam się bardzo właściwie, biorąc pod uwagę okoliczności. Ona zresztą też. Maleńka jest po prostu słodkim kotkiem, który potrzebuje trochę czułości.

- Słodki kotek! Chryste Panie! - Pete uderzył się dłonią w czoło.

- Co tu się dzieje? - Zza węgła domu wyłonił się Mace.

- Lwica wydostała się z klatki, a miłościwa pani od słodkich kotków zaczęła drapać ją za uszkami. Mówiłem ci, że z nią będą same kłopoty!

- Ze mną czy z nią? - zatrzepotała rzęsami Tala.

- Z obiema! - Pete gwałtownie zwrócił się do ojca.

- Nie wiem, jak ją teraz złapiemy. Nawet jeśli skończymy dzisiaj tę nową klatkę, to cement będzie jeszcze zbyt świeży, żeby można tam było wpakować lwicę. Musimy czekać do jutra. Nie mam pojęcia, co robić.

- Zawsze można ją zastrzelić - podpowiedział niewinnie Mace.

Tala doskonale zrozumiała jego prawdziwe intencje, ale Pete najwyraźniej nie.

- Zwariowałeś? A, już rozumiem. Robisz mnie w konia. Ale przecież nie możemy jej zostawić tak luzem, w tamtym pokoju. Czy

zauważyłaś - zwrócił się do Tali - którądy wydostała się z klatki? Może dołem?

- Nie mam pojęcia. Szczerze mówiąc, nie patrzyłam - przyznała.

- W takim razie pewnie wylazła górą. Trzeba będzie zabezpieczyć klatkę od góry wzmocnionymi stalowymi prętami i jakoś ją tam zwabić przy okazji następnego karmienia.

Tala spojrzała mu prosto w oczy.

- Ale nie zrobisz jej nic złego? Przyszekasz?

- Nie zrobię jej nic złego, chyba że zacznie pierwsza. Na razie postaram się ją wciągnąć do łazienki dla gości. Wezmę kawałek mięsa na przynętę, może się uda. - Nagle dotknął ramienia Tali z niespotykaną u niego łagodnością.

- A ty jak się czujesz? Nie zrobiłem ci nic złego?

- Nic a nic - odparła z uśmiechem. - Jak chcesz, mogę jej podać to mięso.

- Jeszcze cię nie dość wystraszyła?

Stał, trzymając swoje wielkie dłonie na jej ramionach, i nagle zapragnęła, żeby ją mocno objął i nie puścił.

- Nie wystraszyła mnie - odparła i zrobiła krok do tyłu. Pete wyprostował się; jego głos znowu brzmiał sucho i władczo.

- Jeśli chociaż na chwilę zapomnisz, że masz do czynienia z dzikim zwierzęciem, już nie żyjesz. Możesz mi wierzyć. Ona może się zachowywać jak domowy kociak, ale to nie zmienia faktu, że waży ponad sto kilo i jest bardzo groźnym drapieżnikiem. Na szczęście chyba nigdy nie była głodna i nie poczuła jeszcze smaku prawdziwego polowania.

- Mówi się, że one wyczuwają strach i wtedy atakują... - zaczęła Tala, ale jej przerwał.

- To prawda. Nie mówię, że masz się bać, masz po prostu wykazać czujność. I nigdy nie liczyć na szczęście.

Mace poszedł do przyczepy i wrócił z kawałem krwistego mięsa.

- Masz, to najlepszy kąsek z mojej spiżarni.

- Idź już - polecił Pete. - Otwórz drzwi do łazienki i pokaż jej mięso, potem połóż je na podłodze, a kiedy wejdzie do łazienki, zamknij ją w środku. Cały czas będę stał za tobą. Mam wziąć strzelbę, tato?

- Nie! - krzyknęła Tala.

- Tutaj chodzi o twoje bezpieczeństwo, kochanie. - Mace był nieprzejednany. - Oczywiście, że weź strzelbę, synku. Lepiej dmuchać na zimne.

- Dobrze - z wahaniem zgodziła się Tala - ale na pewno nie będzie potrzebna. Uda mi się, zobaczycie.

Bardzo chciała, żeby tak było. Jej głos brzmiał pewnie, ale w głębi duszy legły się wątpliwości. Co będzie, jeśli nie zdąży zamknąć drzwi i wydostać się na zewnątrz? Nagle poczuła, że obecność uzbrojonego Pete'a bynajmniej nie będzie jej przeszkadzać.

Stał blisko niej z ręką na cynglu, kiedy uchyliła drzwi wiodące do pomieszczenia, gdzie znajdowała się lwica.

- Kici, kici, koteczku...

Głos miała lekko zdławiony. Za plecami czuła oddech Pete'a.

- Kotku...

„Kotek” leżał na grzbiecie, z łapami do góry. Na widok Tali zerwał się tak nagle, że w popłochu omal nie rzuciła się do ucieczki. Szybko otworzyła drzwi do łazienki, cisnęła do środka krwisty ochłap i cofnęła się.

Lwica, nie zwracając na nią uwagi, przemknęła obok i wpadła do łazienki w ślad za smakołykiem. „Pogromczyni” szybko zamknęła za nią drzwi i słysząc dźwięk rozrywanego zębami mięsa, wpadła wprost w ramiona idącego za nią Pete'a. Wtuliła się w jego bluzę, szukając schronienia przed własnym strachem.

Pete uspokajająco poklepał ją po plecach.

- Świetnie się spisałaś. Niech tam siedzi, potem zwabimy ją do klatki.

Jej serce biło tak mocno, że sama czuła jego łomot. W drzwiach ukazał się Mace.

- Przepraszam, ale muszę ci przypomnieć, że miałaś jechać do domu przebrać się i na czwartą zdążyć do pracy.

Tala oderwała się od piersi Pete'a.

- O Boże! Zupełnie zapomniałam!

Pobiegła do samochodu, wskoczyła do niego i zawracając na podjeździe, pomachała im ręką.

- Zadzwoń do was, jak tylko rozmówię się z szefem!

- Siedź teraz spokojnie. - Mace wycelował palec w lwicę, ulokowaną już w klatce, zaopatrzonej w nowy dach. Spojrzała na

niego żółtymi oczami, w których malowała się skrzywdzona niewinność.

- Nawet zwykły domowy kociak tego nie potrafi - uznał Pete, zbierając rozrzucone narzędzia - a co dopiero taki olbrzym. Widziałeś, jak narozrabiała w tej łazience? Poszarpała zasłonę, rozdarła dywanik, całą wannę pochlapała krwią, a resztki mięsa znalazłem nawet na szafce i na ścianach. Przez całą noc będę po niej szorował, a zapach utrzyma się jeszcze dłużej.

- Trudno. Lepsze to, niż gdyby wałęsała się po domu w czasie, kiedy umacnialiśmy klatkę. Nic nie pozwoliłaby zrobić - powiedział Mace i na chwilę zamilkł. Potem nagle cmoknął. - Aleśmy znaleźli dziewczynę! Ze świecą takiej szukać.

Pete spojrział na niego z niezadowoleniem.

- To ty ją znalazłeś, ja nikogo nie szukałem - warknął.

- Niech ci będzie. W każdym bądź razie, to ona podejmie ostateczną decyzję. Ja tylko uważam, że potrzebna jej pomoc.

- Też tak myślę. Skoro nawet nie potrafi się zająć własnymi dziećmi... Na pewno potrzebuje pomocy.

Mace spojrział na niego badawczo.

- Głównie to zauważyłeś, prawda? I to nie tylko ze względu na Talę i jej potomstwo...

Pete ze znużeniem skinął głową.

- Tato, nie poruszajmy znowu tego tematu. To do niczego nie prowadzi, a mamy jeszcze sporo roboty.

Mace nie spuszczał z niego uważnego spojrzenia.

- Nie, synku, robota może poczekać. Są ważniejsze sprawy. - Przysiadł na stole operacyjnym, poprawił okulary. - Po śmierci twojej matki nie mogłem sobie znaleźć miejsca. Nie potrafiłem zapomnieć i nie potrafiłem żyć. Ty byłeś bardzo mały...

Pete odwrócił się i powoli zaczął rozpinać pas z narzędziami.

- Byłem mały, ale wszystko rozumiałem. Rozumiałem, że wykluczyłeś mnie ze swojego życia. Jej dzieci też na pewno to rozumieją. Takich rzeczy nie da się ukryć.

- Ja... My oboje z twoją matką uważaliśmy, że dziecko nie potrafi pojąć, jak choroba może człowieka wyniszczyć. Matka nie chciała, żebyś ją widział w takim stanie.

- A ja myślałem, że mnie odtrąciła.

- Kochała cię nad życie. Bez przerwy musiałem jej o tobie opowiadać. Najpierw strasznie rozpaczała, a potem zaczęła niknąć. Próbowałem utrzymać z nią kontakt, ale w pewnym momencie to się stało niemożliwe. Traciłem ją i musiałem uszanować jej wolę, a jej wolą było, żebyś zapamiętał ją taką, jaka była przed chorobą. Może trzeba było zrobić inaczej, ale teraz jest już za późno. Chyba trzeba przestać to rozpamiętywać, jak myślisz?

- Ja niczego nie rozpamiętuję, tato. Jak rozumiem, chciałeś mi oszczędzić rozpacz i przerażenia. Zrobiłeś, co uznałeś za stosowne. Tylko dlaczego potem, po jej śmierci, nigdy ze mną o niej nie rozmawiałeś? Zupełnie jakby moja matka nigdy nie istniała albo jakbyś znowu wykluczył mnie ze swojego życia. Nie miałem prawa dzielić twojego bólu, byłem tego niegodny. Nieraz myślę, że zostałem weterynarzem po to, żebyś mnie z powrotem przyjął do swojego świata, żebyś mnie dostrzegł i nie mógł odrzucić. Tak chciałem, żebyś był ze mnie dumny. Mace zamrugał oczami.

- Zawsze byłem z ciebie dumny, synku. Wiedziałem, że będziesz doskonałym lekarzem. Dlatego byłem taki surowy. Wymagałem od ciebie tak wiele, bo wiedziałem, że jesteś najlepszy i nie chciałem, żebyś sobie pobłażał.

Pete spojrzał na ojca ze zdziwieniem.

- Uważałeś, że będę sobie pobłażał? Sądziłeś, że będę się migał, bo jesteś moim ojcem? Najlepszy dowód, że wcale mnie nie znasz.

Mace spuścił oczy, odwrócił głowę.

- Kiedy ty i Val... - zaczął po chwili cichym głosem. Pete natychmiast wpadł mu w słowo.

- To, co zdarzyło się między mną i Val, to tylko nasza sprawa. To, co się stało, może nie powinno było się stać, ale teraz nic już nie można zmienić.

Szybkim krokiem podszedł do drzwi i opuścił pokój.

Rozdział 4

Tala stała za ladą w Food Farm. Udało jej się zdążyć na czas. Nie spóźniała się nigdy, bo wiedziała, że Beanie tego nie lubi. Nigdy też nie musiała zostawać dłużej. Jej szef zawsze pracował z zegarkiem w ręku.

O nowej pracy powiedziała mu z prawdziwą przykrością. W końcu to on po śmierci Adama zaangażował ją bez słowa, zapewnił pracę i dzięki niej poczuła, że jest samodzielna i niezależna. To, że teraz próbował wywołać w niej wyrzuty sumienia, wcale jej nie zaskoczyło. Zaskoczyło ją, że... nagle jakby dostrzegł w niej kobietę. Jakoś dziwnie się zachował.

Znała Beaniego Waldropa całe życie. Był dwukrotnie rozwiedziony. Nigdy dotąd nie traktował jej jak... Jak kogo właściwie? Sama nie wiedziała, jak to określić. Jak kogoś, z kim się można umówić na randkę, bo jest wolny?

Jak kogoś, z kimś można mieć romans? Jak kogoś, do kogo można się zalecać?

Dzisiaj trochę za długo trzymał jej rękę i nieco zbyt gorliwie zapewniał, że na pewno do niej zadzwoni. Czyli, jednym słowem, dotąd zupełnie go nie znała. Jak może się uważać za znawczynię słoni i lwów, skoro nie ma pojęcia, co dzieje się z mężczyzną, którego codziennie widuje?

A może Beanie Waldrop dopiero zupełnie niedawno wpadł na pomysł, że ona, jako wdowa, ma pewne potrzeby, i postanowił spróbować je zaspokoić? Wzdrygnęła się. Jasne, że ma potrzeby. Tęskni za ciepłym ramion Adama, za jego obecnością, za czułością, z jaką ją kochał, za wszystkim, co ich łączyło przez tyle długich lat.

Dlatego tak bardzo źle się czuje, kiedy nagle przychodzi jej do głowy, że mogłaby zamienić delikatne pocałunki Adama na coś gwałtownego i dzikiego.

Twarz Pete'a pojawiła się natychmiast, nieproszona i niepokojąca. Tak, Pete jest niepokojący, jest bardzo niebezpieczny. Jest zbyt niebezpieczny i zupełnie pozbawiony czułości. Chociaż dzisiaj, kiedy przytuliła się do niego po tej akcji z lwicą, pogłaskał ją po plecach, a w jego głosie... w jego głosie zabrzmiało coś takiego.

- Mamo! Mamo!

Podskoczyła i spojrzała w kierunku, skąd dochodził krzyk. Cody biegł ku niej z wyciągniętymi rękami.

- Mamo! Mamo!

Za nim powolnym krokiem szła Rachel, obojętna i pochmurna, zupełnie jakby wpadła do Food Farm kupić sobie kawior albo trufle. Zza jej ramienia ukazała się energiczna, pomarszczona jak jabłuszko twarz Vertie.

- Cody! Rachel! - Tala rozwarła ramiona. - Widzimy się drugi raz w ciągu tego samego dnia? Toż to rekord!

Cody natychmiast skorzystał z zaproszenia i wtulił się w ramiona matki. Rachel stanęła obok z pochyloną głową.

- Tylko mnie nie uduś! - Tala ze śmiechem sięgnęła wolną ręką po córkę.

Rachel najpierw lekko się cofnęła, a potem dała się przygarnąć i cmoknęła powietrze gdzieś obok policzka Tali. Następnie zaczęła się rozglądać wokół nie widzącym wzrokiem, zupełnie jak wymagająca i nieco roztargniona klientka.

- Postanowiłam wpaść do ciebie, bo muszę coś kupić na kolację - wyjaśniła Vertie. - A skoro już jechałam, to wzięłam ich z sobą.

- Dziękuję, Vertie. Tak za nimi tęskniłam, jakbym ich nie widziała od Bożego Narodzenia.

Cody poruszył się, nie opuszczając jej ramion.

- Mamo, co ty mówisz? Przecież widzieliśmy się dzisiaj po szkole, a niedługo znowu będzie nowe Boże Narodzenie. - Zamilkł na chwilę, a potem dodał uroczyście:

- To już dwa lata od śmierci tatusia.

- Tatuś zawsze mówił, że Boże Narodzenie to takie wesołe święto i żaden smutek nie powinien go zmącić - szybko dodała Vertie. - Dlatego musimy być bardzo weseli, żeby było tak, jak tatuś chciał.

- Na pewno tak zrobimy. - Tala przytuliła synka i zrobiła beztroską minę. - I wiecie co? Chcę wam coś powiedzieć. Mam nową pracę.

Rachel, która bezmyślnie przerzucała puszki z sokiem pomidorowym, zastygła nagle, nie zwracając głowy ku matce.

Vertie zamrugła powiekami.

- Dzisiaj po raz ostatni jestem po południu w Food Farm - ciągnęła Tala, tuląc do siebie Cody'ego i patrząc na plecy córki. - Nigdy już nie będę zostawać w pracy późno wieczorem i zawsze będę miała wolne weekendy. Prawda, że to wspaniale?

- Nie będziesz pracowała w soboty? - Cody uśmiechnął się szeroko. - Będziesz miała wolne i będziesz mogła przychodzić na moje mecze? W niedzielę też?

- Jasne. I będę mogła codziennie odbierać was ze szkoły.

Rachel raczyła lekko zwrócić ku niej głowę.

- My nigdy nie wracamy ze szkoły prosto do domu, mamó. Ani ja, ani Cody - pouczyła matkę tonem profesora starającego się wyjaśnić zagadkę wszechświata szympansowi.

- Miałam na myśli wspólny powrót po waszych zajęciach dodatkowych - wyjaśniła Tala. - To będzie wspaniale, prawda?

Rachel wzruszyła ramionami; oglądała teraz z zainteresowaniem paczkę z budyniem w proszku. Potem sięgnęła po dietetyczne chrupki i szybkim ruchem wrzuciła je do koszyka z zakupami trzymanego przez Vertie.

- Bierzesz dietetyczne? Odchudzasz się? - spytała Tala.

Rachel powiodła dłońmi po szczupłych biodrach.

- Nie mogę przytyć ani grama więcej. Trener powiedział, że powinnam zrzucić dwa kilo, żeby dziewczyny mogły mnie podnosić do góry.

Vertie parsknęła śmiechem.

- I tak jesteś za chuda, masz to po matce. Nie pozwól, żeby jakiś głupi trener wmawiał ci, że masz żyć, jedząc jeden słony paluszek dziennie albo miskę sałaty.

- Daj spokój, babciu. - Rachel kompletnie zignorowała uwagę matki. - Nie zapominaj, że i tak jem trzy posiłki dziennie.

Powoli podeszła do stoiska z rybami i zapatrzyła się w ich martwe oczy.

- Ona jest okropna - stwierdził Cody. - Ktoś powinien jej dać nauczki.

- Ale nie ty - upomniała go matka. - Też będziesz kiedyś miał trzynaście lat i będziesz okropny, zobaczysz.

Cody nie przejął się specjalnie tą złowieszczą perspektywą.

- A będziesz mogła przyjechać po mnie w sobotę rano i zabrać mnie o jedenastej na mecz? - zapytał z nadzieją w głosie.

- Chyba tak, jeśli oczywiście nic mi nie wypadnie w tej nowej pracy.

- Cudownie! - krzyknął i pobiegł za siostrą. Vertie przez chwilę stała w milczeniu.

- Zauważyłaś, że żadne z nich nawet nie zapytało, gdzie zamierzasz pracować i co będziesz robić? - odezwała się w końcu. - Małe, egoistyczne zwierzątka, nic ich nie obchodzi. Mogłabyś rabować banki i nic by nie powiedziały.

- Nie. Gdybym rabowała banki, pewnie bym wpadła i poszłabym siedzieć. Wtedy Rachel bardzo by się przejęła, że pobytem w więzieniu psuję jej opinię u koleżanek. - Tala spojrzała z wahaniem na starszą panią. - Wiesz co, Vertie? Wydawało mi się, że Beanie dzisiaj... jakby się do mnie zalecał.

Vertie nie wyglądała na zaskoczoną.

- I tak dość długo z tym zwlekał. Zawsze miał na ciebie oko.

- Co ty powiesz? Naprawdę?

- Czasem jesteś ślepa jak kret. Od biedy może i rozumiesz potrzeby takiego małego chłopca jak Cody, ale jeśli idzie o takich trochę większych, jak na przykład Beanie...

Tala wzruszyła ramionami.

- Cody jest prosty i szlachetny. Zawsze gra fair i nigdy nie próbuje nikogo oszukiwać, ani na boisku, ani w szkole.

- Nie wiem, czy wiesz, że on przez cały czas się boi. Tala zapatrzyła się przed siebie.

- Wiem. On po tym, co zaszło, po prostu boi się życia. A ja nie wiem, jak mu pomóc.

Vertie uśmiechnęła się smętnie.

- Za to nasza Rachel niczym się nie przejmuje. Tala odwzajemniła jej uśmiech.

- Owszem, za to potrafi nieźle człowiekowi dokuczyć. Zwłaszcza mnie.

Vertie lekko poklepała ją po ramieniu.

- Nie przejmuj się, wszystko jest w normie. To tylko uboczne skutki dojrzewania.

- Wiem, ale to bardzo męczące służyć stale komuś za chłopca do bicia. Gdyby nagle jakiś asteroid spadł nam na głowy, ostatnie słowa Rachel brzmiałyby: to wszystko twoja wina, mamo.

- Jedno, co możesz zrobić - pocieszyła ją Vertie - to nie zwracać uwagi na jej humory i nie brać sobie tych wszystkich fumów do serca.

- Zerknęła na klientkę podchodzącą do kontuaru. - Zdaje się, że masz kogoś, wracaj do pracy. Wpadniemy do ciebie jeszcze, jak skończymy robić zakupy.

Klientka koniecznie chciała konfitury z mango, a tego akurat nie było w sklepie. W dwadzieścia minut później Cody przydźwigał wielki kosz po brzegi wypełniony wiktuałami.

- Cześć, mam, to znowu ja. Babcia Vertie kazała cię zapytać, jaka jest ta nowa praca.

Vertie uniosła oczy w górę.

- Co za bezmyślność...

- Będę pracowała w rezerwacie dla słońi - wyjaśniła spokojnie Tala.

Oczy chłopca zabłyśły.

- Fantastycznie! I będę mógł się przejechać na słońiu?

- Nie ma mowy - ucięła Rachel. - Na pewno nie. Tala zdziwiona spojrzała na córkę.

- Dlaczego nie?

Rachel patrzyła gdzieś ponad jej głową z męczeńskim wyrazem twarzy.

- Nie dość, że moja matka dotąd pracowała w warzywniaku, to teraz jeszcze będę musiała wszystkim opowiadać, że sprząta słońiowe...

- Rachel! - krzyknęła ostrzegawczo Tala. - Nie kończ, proszę! Mogłabyś potem żałować. Po pierwsze, większość czasu będę spędzać przy komputerze, prowadząc rachunki, po drugie żadna praca nie hańbi. Gdybym naprawdę musiała sprzątać zwierzęce nieczystości, zrobiłabym to. A jeśli tobie i twoim przyjaciółkom to się nie podoba, bardzo mi przykro, ale trudno. Podziękuj w przyszłości słońiom za swoje nowe adidas.

- Podziękuję za nie babci. Przecież i tak to ona nam wszystko kupuje. - Rachel wykręciła się na pięcie i odeszła

Właściwie powinna była pobiec za córką, złapać ją na parkingu i wytargać za kłaki, żeby przy okazji poruszyć nieco jej małym głupim mózdzkiem, ale... zamiast tego z oczu popłynęły jej łzy.

- Mam, proszę. - Cody objął ją mocno. - Ona zawsze jest przy tobie taka wstrętna, mówiłem ci, nie zwracaj na nią uwagi. Ja myślę, że ta praca jest świetna. A ty, babciu?

- Całkowicie się z tobą zgadzam - przytaknęła Vertie z powagą. - A teraz zanieś zakupy do samochodu, poproś swoją głupią siostrę, żeby ci je pomogła ułożyć w bagażniku, a ja jeszcze chwilę zostanę pożegnać się z mamą.

- Dobrze. Pa, mammo, widzimy się w sobotę rano. Bardzo cię kocham.

Po jego odejściu Tala pytającym wzrokiem spojrzała na Vertie.

- Może jeszcze się wycofać? Może powinnam powiedzieć Jacobim, że nie mogę przyjąć tej pracy?

- To byłaby czysta głupota - oświadczyła Vertie. - Cody bardzo się ucieszył, od dawna nie widziałam go w takim stanie. A Rachel zachowałaby się tak samo, gdybyś ją poinformowała, że zostałam przewodniczącą rady nadzorczej General Motors.

- Dlaczego ona krytykuje wszystko, co robię? - zapytała Tala z rozpaczą w głosie.

- Ona też bardzo się boi życia. Po śmierci Adama zrozumiała, że zło jest możliwe i stale czyha na każdego. Boi się o ciebie i o siebie, a pokrywa to maską obojętności i zniecierpliwienia. Uważa, że jak będzie udawała osobę, której nic ani nikt nie obchodzi, los nie zwróci na nią uwagi i ją oszczędzi.

- Wiem, że masz rację, ale nic nie mogę poradzić na to, że obawiam się, że moja córka wypacza sobie charakter.

- Jesteś jej matką - sentencjonalnie rzekła Vertie i zrobiła krok ku drzwiom. - Dlatego tak się przejmujesz, ale nie martw się, to minie. Wszystko mija.

Zastępczyni Tali spóźniła się, przyszła po północy i natychmiast zaczęła się rozpląwać w przeprosinach. Tala dopiero w połowie drogi do parkingu uświadomiła sobie, że oto przepracowała ostatni dzień w Food Farm, i podskoczyła z radości.

- Hura! - krzyknęła i natychmiast rozejrzała się przestraszona.

Parking był pusty. Nikt nie widział wybuchu jej radości. Poczowała, że mimo koszmarnego zmęczenia jest bardzo szczęśliwa. Wskoczyła do samochodu i przekręciła kluczyk w stacyjce.

Samochód nie zapalił.

- Tylko nie dzisiaj, tylko nie teraz... - zaklinała go Tala raz po raz, przekręcając kluczyk z równie mizernym skutkiem.

Nagle jakaś ciemna postać ukazała się za szybą i usłyszała męski głos.

- Jakiś problem?

Poznała mówiącego i odetchnęła z ulgą. Tuż obok jej samochodu stał wóz patrolowy.

- Bez przerwy coś nowego, Billy Joe. Ciekawe, skąd stale te kłody pod moje nogi - zażartowała.

Billy Joe Nutworth, dawny kolega ze szkoły młodszy od niej o jakieś dwa lata, pracował teraz w policji. Kilka lat temu poślubił Eunice Milman, mieli ładny dom w mieście i dwoje dzieci. Widywała ich głównie w kościele, od czasu do czasu zamieniali kilka słów; chociaż ostatnimi czasy nie bardzo miała ochotę z kimkolwiek rozmawiać.

- Zaraz zobaczę, co tam się stało. - Pochylił się i po chwili wyprostował. - Kable ci się odłączyły od akumulatora. Zaraz pójde do swojego wozu i wszystko załatwię. Nawet ci nie będę tłumaczył, o co chodzi.

- Dzięki, Billy Joe - rzekła z westchnieniem ulgi.

Po pięciu minutach był z powrotem, pogrzebał w samochodzie i kazał Tali zapalić. Rozległ się miły, znajomy warkot.

- Naprawdę jesteś genialny. - Tala wychyliła się ku swemu wybawcy. - Jak to się mogło stać?

- Jeździsz po koszmarnych drogach, pełno tam wybojów, takie coś może się odłączyć od wstrząsów.

Billy Joe przez chwilę patrzył na nią bez słowa.

- Mam w wozie termos z kawą - dodał po chwili. - Może byś się napiła? Straszny dzisiaj ziąb.

Siedzieć w wozie patrolowym i pić kawę z plastikowego kubka o pierwszej w nocy nie było może marzeniem Tali, ale Billy Joe wydał jej się nagle bardzo samotny i zrobiło jej się go żal. Zresztą, trochę kofeiny jej nie zaszkodzi. Czeka ją jeszcze długa i ciężka droga.

- Chętnie - odparła i wysiadła z samochodu.

Kawa była całkiem dobra, mimo że kubek rzeczywiście był z plastiku.

- Moja żona potrafi zaparzyć kawę, co? - uśmiechnął się z dumą Billy Joe.

- Jest pyszna. Właśnie czegoś takiego potrzebowałam.

- Nic ostatnio nie słyszałaś ciekawego? - zapytał niespodziewanie.

- Nie. A o co ci chodzi?

- Hm. Na przykład coś nowego w sprawie wypadku Adama.

Poczuła dojmujący ból. Dla niego wypadek Adama był po prostu interesującym epizodem. Będzie się o nim mówić jeszcze przez jakiś

czas, a potem wszyscy o nim zapomną i miasteczko zacznie żyć czym innym. Przecząco pokręciła głową.

- Nie wiem nic nowego. W biurze śledczym powiedzieli szeryfowi Craigowi, że jeśli znajdą strzelbę, z której strzelano, będą mogli coś zrobić. Na razie mają tylko nabój.

- Ciekawe. Szeryf nic nam nie powtórzył. Zresztą, oni się tam nie bardzo znają na strzelbach.

- Ta chyba ma być jakaś unikalna. Podobno bardzo stara, dzisiaj już takich nie robią.

Billy Joe przez moment wpatrywał się w pusty kubek.

- Może i ktoś w okolicy ma taką starą broń. Nie mam na myśli nikogo konkretnego, ale zawsze mogę mieć oczy otwarte.

- Dziękuję, Billy Joe. - Tala sięgnęła do drzwi. - I za kawę, była naprawdę świetna.

- Musimy się częściej spotykać. Powiem Eunice, żeby cię zaprosiła na kolację któregoś dnia, kiedy nie będę miał służby. Ale... przecież ty też pracujesz po nocy. Trudno to nam będzie zgrać.

Już miała mu powiedzieć o zmianach w swym życiu i o swej nowej pracy, ale coś ją powstrzymało. Stale miała świeżo w pamięci nieprzyjemną reakcję Rachel. Wysiadła z wozu patrolowego.

Billy wychylił się ku niej z okna.

- Dawaj mi znać, jeśli masz jakieś kłopoty. Jak tak sama jeździsz po nocy, wszystko może się zdarzyć. Zawsze ci pomogę. Lubię ludziom pomagać, a zwłaszcza takim pięknym kobietom jak ty. - Mrugnął do niej i włączył silnik.

Patrzyła za nim w osłupieniu. On... też? Najpierw szef Food Farm, a teraz on? Dwóch w ciągu jednego wieczoru? Przecież Billy Joe ma żonę. Co się stało? Czyżby nagle zaczęła nadawać jakieś sygnały, które odbierają wszyscy mężczyźni w okolicy? Co się w jej życiu zmieniło?

Odpowiedź była jedna.

Pete Jacobi. Działał na nią w niesamowity sposób, tak, że pod jego wpływem zaczynało z niej emanować coś, co można by nazwać seksownością, a czego świadomie nigdy nie łączyła z własną osobą. Nigdy nawet jej do głowy nie przyszło, że może być w ten sposób pociągająca.

Ale... chyba jednak była.

Rozdział 5

Skreśliła w pokrytą żwirem drogę wiodącą do farmy i odetchnęła z ulgą. Nareszcie przestała mieć za sobą ten samochód, który towarzyszył jej od samego miasta. Denerwowało ją to, chociaż domyślała się, dlaczego za nią jedzie.

Ktoś pewnie zgubił drogę i podążał za nią w nadziei, że doprowadzi go do jakiegoś skrzyżowania, które będzie mógł zlokalizować na mapie. Do najbliższego miasta było trzydzieści kilometrów. Rodzina Brysonów od lat mieszkała na Florydzie, a pani Halliwell, jedyna prócz Tali stała mieszkanka Hollow, niedawno przeniosła się do domu opieki społecznej. Nikt nie korzystał z tej drogi oprócz Tali i osób, które ją odwiedzały.

Jeśli pasażerowie samochodu, który za nią jechał, zgubili się, to na pewno wkrótce zawrócą i pojedą z powrotem do Hollendale, żeby zapytać o drogę.

Wkroczyła do domu od strony salonu, przeszła przez kuchnię i wyszła na zewnątrz tylnymi drzwiami. Zeszła z ganku na podwórze; przez chwilę stała wśród dębów oświetlonych reflektorem zamontowanym ze względów bezpieczeństwa, który włączał się automatycznie, kiedy coś poruszyło się w jego zasięgu, a potem wróciła na ganek.

Usłyszała jakiś szelest. Zwierzęta zawsze podchodziły pod sam dom, nie płoszyło ich nawet światło. Początkowo trochę się bały, ale szybko się oswoiły i wieść, że na farmie Newsome'ów nic nikomu nie grozi, była przekazywana z pokolenia na pokolenie. Przychodziły nawet jelonki i sarenki.

Tego wieczoru też tu były.

Patrzyła na nie niewidoczna w mroku, wiedząc, że czują jej obecność. Cody bardzo chciał mieć psa, ale Adam uważał, że nawet najmniejszy psiak będzie płoszył płową zwierzynę. A dla niego leśna zwierzyna zawsze była najważniejsza.

Jelonki nagle zastygły w bezruchu. Czarne, wilgotne nozdrza poruszyły się niespokojnie; wyraźnie słyszały coś, czego Tala nie mogła usłyszeć. Potem nagłym ruchem, bezszelestnie poderwały się do biegu i zniknęły pomiędzy drzewami. Zobaczyła tylko ich białe ogonki.

Dlaczego? Co mogło je spłoszyć?

Kojoty przecież nie polują po cichu. Co mogło spłoszyć młode jelenie o drugiej w nocy? Może kłusownicy?

Reflektor zgasł i podwórze zalała ciemność.

Jelenie i sarny nie boją się szopów praczy ani oposów.

Nagle ogarnął ją strach. Nie wiedziała, czy na pewno zamknęła główne wejście. Wbiegła do domu i zaryglowała drzwi, po czym sięgnęła po strzelbę leżącą na półce obok kominka.

Jeśli tamci ludzie, którzy za nią jechali, chcą się zapytać o drogę, dlaczego nie podjadą pod dom z zapalonymi światłami? W tej okolicy takie skradanie się dokoła cudzego domu, w środku nocy, jest bardzo ryzykowne; trzeba się liczyć z tym, że się zostanie postrzelonym.

Dobiegł ją trzask łamanych gałązek. Kiedy była mała, dziadek uczył ją, jak odróżnić chód czworonoga od istoty idącej na dwóch nogach. Wiedziała, że teraz skrada się człowiek.

Bez względu na to, kim był i w jakich przychodził zamiarach, w pewnej chwili musi się dostać w światło reflektora... Podwórko jednak pogrążone było w mroku. Nieproszony gość najwyraźniej dobrze wiedział, jak się zachować, by nie zostać dostrzeżonym.

Tala poczuła suchość w ustach, serce biło jej jak młotem, nie była w stanie przełknąć śliny. Na chwilę odstawiła strzelbę i sięgnęła po dodatkowe naboje. Włożyła je do kieszeni kurtki.

Przypomniała sobie słowa Billy'ego Joe, że będzie miał na wszystko oko, ale przecież on podjechałby od frontu patrolowym wozem i zaparkował przy głównym wejściu.

Aparat telefoniczny stał w kuchni kilka kroków od niej, nie mogła jednak z niego skorzystać. Jeśli do niego podejdzie, znajdzie się w pełnym świetle lampy stojącej na stole. Zresztą, do kogo miałyby dzwonić? Nagle poczuła się tak opuszczona i samotna, jakby prócz niej i tamtego osobnika skradającego się w mroku nocy nikogo nie było na świecie.

Nie wiedziała, jak długo tak stoi, czujna, wsłuchana w zbliżające się kroki.

Kiedy już miała uznać, że wszystko sobie wymyśliła, kroki nagle się zatrzymały. Serce podeszło jej do gardła. A potem nagle zaczęły się oddalać. Tym razem były zupełnie wyraźne, jakby intruz przestał dbać o to, by ukryć swoją obecność. Tala zgasła światło i podeszła do okna. Jej oczy szybko przyzwyczyły się do ciemności.

To nie była wyobraźnia, niczego sobie nie wymyśliła. Wysoki cień wszedł na pagórek i zginął między drzewami.

Czyżby jakiś myśliwy? Ale bez psów i o tej porze? A może kłusownik, który chciał się zaczaić na zwierzynę podchodzącą pod dom?

Bo chyba nie chciał się zaczaić... na nią?

Bez względu na to, jak było naprawdę, postanowiła zachować czujność. Rozłożyła na podłodze grubą, pikowaną kołdrę po babce, wzięła z kanapy kilka poduszek, zrobiła sobie legowisko i położyła się ze strzelbą niczym z kochankiem u boku. Ktokolwiek przyjdzie, ona jest przygotowana na wszystko.

To jej terytorium i gotowa jest go bronić.

Wychowała się w tym domu pod opieką dziadków i zawsze tutaj mieszkała, odkąd matka opuściła ją nazajutrz po urodzeniu.

Kiedy babka, Sakari, umarła, pozostawiwszy Tali farmę, przeprowadzili się tutaj z Adamem i postanowili na wsi wychować swoje dzieci. Gdy Adam był przy niej, nigdy nie czuła się samotna i bezbronna.

Siłą powstrzymała się, by nie zadzwonić do Pete'a. Nie wiedziała, co mu powiedzieć. Nie wiedziała, po co miałyby go wzywać; żeby przyjechał i ją obronił? Nie, musi się nauczyć sama czuwać nad swoim bezpieczeństwem.

Czy ktoś zamierza obrabować dom? A może chciał to zrobić dzisiejszej nocy, lecz nie przewidział, że ktoś jeszcze mieszka w tym starym, pozornie opuszczonym domu?

Obudziła się i przez dłuższą chwilę nie wiedziała, dlaczego leży na podłodze w salonie, i to „w pełnym rynsztunku”.

Zanim całkowicie znalazła się po stronie jawy, jeszcze coś jej się przyśniło. Słyszała, zupełnie wyraźnie słyszała, jak wielki drapieźny kot skrada się pod jej oknami. Był to jeden z tych snów, które wydają się bardziej realne niż rzeczywistość. Zupełnie wyraźnie, poprzez wiatr, słyszała ryk lwa. A przecież Maleńka znajduje się w odległości piętnastu kilometrów od niej.

Wzięła prysznic i umyła włosy, zmywając z nich zapach deszczu, wiatru i lwa.

Jakiś czas temu chciała obciąć włosy. Były strasznie długie i ciężkie. Adam jednak stanowczo się temu sprzeciwił. Uwielbiał je i

chciał, by takie pozostały - długie, czarne, ciężkie sploty. Wysuszyła je, jak umiała, i zaczęła przygotowywać grzanki na śniadanie.

Szybko sprzątnęła mieszkanie. Nie zabierało jej to wiele czasu, odkąd mieszkała sama, bez męża i dzieci. Potem wzięła torbę karmy dla kotów i poszła napełnić dużą miskę stojącą w stodole.

Sięgnęła do drzwi stodoły i znieruchomiała z dłonią w powietrzu. Nigdy nie zostawiała tego pomieszczenia otwartego. Wewnątrz stał traktor i znajdowały się wszystkie narzędzia Adama. Traktor był stary, ale jeszcze dobrze jej służył, a narzędzia były nowoczesne i bardzo drogie.

Cztery koty obskoczyły ją i zaczęły ocierać się o nogi. Rozejrzała się dookoła, nie zwracając na nie uwagi. Na pierwszy rzut oka, nikt niczego nie ruszał. Wszystko wyglądało normalnie. Stary żółty traktor stał na swoim miejscu, przykryty plandeką zwisającą do ziemi.

Pod ścianą, na roboczym stole Adama, leżały nietknięte elektryczne wiertarki i piły. Otworzyła drzwi do narzędziowni. Trochę brudno, ale wszystko na swoim miejscu. Pewnie powinna sprzedać te wszystkie narzędzia komuś, kto lubi majsterkować i dłubać w drewnie, tak jak Adam, ale nie potrafiła się z nimi rozstać. Jeszcze za wcześnie; a może nigdy nie nadejdzie odpowiednia pora?

Padające przez drzwi światło oświetliło zakurzoną podłogę i ślady butów.

Pochyliła się nad nimi i poczuła ten sam dreszcz przerażenia, który czuła w nocy, słysząc ostrożne, zbliżające się kroki. Na podłodze znajdowały się ślady dużych męskich butów; okrążyły traktor i kierowały się z powrotem ku drzwiom.

Odstawiła torbę z karmą dla kotów i przyjrzała się wszystkiemu dokładniej. Chyba nikt niczego nie ruszał, pozornie wszystko było tak jak dawniej. Może wczoraj złodziej tylko dokonał rozpoznania terenu i wróci dzisiaj, kiedy ona będzie w pracy? Gdyby jednak nadal pracowała w Food Farm, opuściłaby dom dopiero w pół do czwartej.

Napełniła kocią miskę, wzięła klucz leżący na stole i wyszła, starannie zamykając za sobą stodołę. Zaraz po powrocie do domu zadzwoniła do biura szeryfa. Poprosiła do telefonu samego Craiga.

- Witaj, Tala. Co tam słysząc u mojej ulubienicy? - usłyszała po chwili.

- Wstyd powiedzieć, ale bardzo się wystraszyła - przyznała skruszonym tonem.

Pokrótkie opowiedziała mu wydarzenia ostatniej nocy. Szeryf Craig trochę się zdziwił, ale jej doniesienie potraktował poważnie.

- Kręcą się po okolicy różni włóczędzy i szukają miejsca, gdzie by się przespać. Może taki jeden myślał, że farma jest pusta. To pewnie nic poważnego. Ale wiesz co? Każę moim chłopakom, żeby podczas patrolu wpadali do ciebie, jak jesteś w pracy, od trzeciej do północy.

Już miała mu powiedzieć, że właśnie odeszła z dawnej pracy i będzie teraz wychodzić z domu o innej porze, ale zmieniła zdanie. Postanowiła się przekonać, jak funkcjonują służby szeryfa i czy ktoś naprawdę zajrzy do jej domu w porze, kiedy zwykle jest nieobecna.

- Bardzo dziękuję - powiedziała i pogрузzyła się w rozmowie o tym i owym, a następnie odłożyła słuchawkę z poczuciem, że zrobiła wszystko, co w jej mocy.

Czuła się spokojniejsza i podniesiona na duchu, nocne strachy gdzieś zniknęły.

Na zewnątrz było słonecznie i nieco się ociepliło. Mimo to do pracy przy słoniach postanowiła włożyć czapkę z nausznikami.

Wskoczyła do samochodu i przekręciła kluczyk w stacyjce. Silnik zapalił od razu.

- Jeśli to jeszcze aktualne, to ja się zdecydowałam u was pracować - rzekła do Pete'a, gdy tylko wysiadła z samochodu.

Pete zamrugnął oczami. Chciał zyskać na czasie czy sam nie był pewien, jak postąpić?

- Wczoraj chyba nie ustaliliśmy dokładnie godzin pracy i innych szczegółów - odparł powoli.

- Mogłabym zaczynać o ósmej.

Dziewczęta podeszły i otoczyły Talę, wymachując trąbami na powitanie.

- Nie ruszaj się, stój spokojnie - pouczył ją Pete.

Sytuacja była dość oryginalna i Tali z niemałym trudem udało się posłuchać jego rady. Stała bez ruchu, pozwalając słoniom dotykać trąbami swoich ramion i pleców. Zawsze się tak witały między sobą po kilkugodzinnym rozstaniu, kiedy wracały z łąk.

Pete dostrzegł w oczach Tali lęk; oddychała szybko, w mroźnym powietrzu wokół jej ust unosiły się białe kłębuszki pary.

A potem nagle roześmiała się tym swoim krystalicznym śmiechem i Pete znowu znalazł się między niebem i piekłem. Ten jej śmiech miał w sobie coś niesamowitego.

Potem przestała się śmiać i zaczęła delikatnie dotykać słoniowych trąb. Powitanie trwało jeszcze chwilę, a potem dziewczęta majestatycznym krokiem odpłynęły w stronę pastwiska.

Tala w dalszym ciągu stała nieporuszona, tylko jej oczy zrobiły się jeszcze większe. Pete lekko dotknął jej ramienia.

- Wszystko w porządku? Doskonale ci z nimi poszło jak na pierwszy raz.

Tala głęboko westchnęła.

- Nigdy w życiu nie widziałam czegoś tak wielkiego, i to z tak bliska. - Uniosła na niego pełne podziwu oczy i uśmiechnęła się. - Prócz ciebie, oczywiście.

Twarz Pete'a zrobiła się czerwona.

- To chyba nieco inna kategoria...

- Ale podobna. Jak się czuje Maleńka?

- Niespożyta siła. Czekamy, aż podeślą nam z zoo trochę pokarmu. Mace dość niechętnie dzieli się z nią swoimi zapasami mięsa.

Tala zasepiła się.

- Bardzo mi przykro. Mogłam przywieźć dla niej dziczyznę od siebie z domu.

- Masz tam dziczyznę?

- Adam sam nigdy nie polował, ale kiedyś dostał trochę mięsa od jakiegoś kolegi i zamroziliśmy je. Mięso jest już dość stare, ale pewnie jeszcze jadalne. Przywiozę je jutro rano.

- Dobrze, będzie miała jakieś urozmaicenie. Zresztą z zoo też na pewno niedługo coś dostaniemy.

Spojrzała na niego z prośbą w oczach.

- Pozwolisz, że ja pokryję ten wydatek.

- Jaki?

- Jedzenie dla lwicy. Nie mam bardzo dużo pieniędzy, ale zawsze mogę zarobić. Powinnam chyba przez jakiś czas nie rezygnować z pracy w Food Farm. Przez kilka tygodni mogę pracować u nich i u was i w ten sposób płacić za utrzymanie Maleńkiej. Pete wzruszył ramionami.

- Nie żartuj. Chodźmy do domu, strasznie tu zimno. Niemal popchnął ją w stronę drzwi; znaleźli się w jego małym zagraconym pokoiku.

- Siadaj.

W jej oczach wyczytał, że chyba zachował się niewłaściwie.

- Usiądź, proszę - poprawił się natychmiast. Usiadła. W długim płaszczu, rękawiczkach i komicznej czapce a la Sherlock Holmes wyglądała... prześlicznie. Pete zdjął kurtkę i rękawice i usiadł naprzeciwko niej.

- Nie zamierzamy cię wykorzystywać i zmuszać do niewolniczej pracy - oświadczył na wstępie.

- Ale sam przecież mówiłeś...

- Nieważne, co mówiłem. Zapomnij o tym. Przede wszystkim to jest rezerwat. Liczymy się z wydatkami na zwierzęta, to należy do nas.

- Ale to jest rezerwat tylko dla słoni - szepnęła.

- Dla słoni, dla lwów, dla wszystkich zwierząt, które potrzebują opieki. Znajdę dla Maleńkiej jakieś miejsce, ale zanim mi się to uda, zostanie w rezerwacie i to będzie mój problem. Mój albo mojej fundacji, nieistotne. Jeśli będziesz u mnie pracowała, będziesz za to otrzymywała zapłatę. Nie zatrudnię cię po to, żeby utrzymać jedno z moich zwierząt.

Tala westchnęła, Pete zaś wstał i podszedł do drzwi wiodących do pomieszczenia weterynaryjnego.

- W takim razie zaczynamy - powiedział, jakby uznał rozmowę za skończoną, i zerknął na nią przez ramię. - Najpierw zrób nam po kubku kawy. Dla mnie bez mleka i jedna łyżeczka cukru.

- Dobrze, Pete - szepnęła.

Odwrócił się ku niej. Nie wiedział, czy sobie żartuje, czy mówi poważnie. Mógłby przysiąc, że na jej twarzy zobaczył przelotny uśmiech. Może wcale się go nie boi...

Postanowił w najbliższym czasie to sprawdzić.

Na widok Tali lwica natychmiast podniosła się i podeszła do prętów klatki.

- Witaj, kochanie, jak się dzisiaj czujemy? Lepiej? Maleńka spróbowała przycisnąć łeb między prętami, ale jej się nie udało. Klatka zadrżała w posadach. Tala podrapała lwicę za uszami.

- Trzeba będzie oczyścić jej klatkę i zmienić opatrunek - oświadczył Pete. - A jak już stąd wyjdzie, przeniesiemy ją do nowej klatki.

Tala uniosła na niego oczy.

- Czy to konieczne? Tutaj tak jej dobrze.

- To, że wczoraj nie odgryzła ci ręki, nie znaczy, że nie spróbuje tego zrobić przy najbliższej okazji któremuś z nas.

Tala pokręciła głową.

- Chyba masz rację.

- Na pewno mam rację. A teraz pokażę ci, jak się wyrzuca łajno słoni.

Bez zwłoki zabrali się do pracy.

- A gdzie jest Mace? - zapytała po chwili Tala. Odchody słoni były wielkie i cuchnące, ale sprzątała je tak sprawnie, jakby robiła to przez całe życie.

- Jeszcze śpi. Miał wczoraj ciężki dzień. Zawsze dużo pracował, ale teraz musi trochę więcej odpoczywać, żeby się zregenerować. Mój ojciec nie jest już najmłodszy.

- Przecież nie jest jeszcze taki stary. Pete skinął głową.

- Tak, ale przez całe życie zawsze z czymś się zmagał. Walczył z biurokracją, głupotą urzędników, ze studentami. Od kilku lat jest na emeryturze, ale nadal to dobry weterynarz i dobry nauczyciel.

- Nigdy nie myślałeś, że przyjechał do ciebie, żeby ci pomóc, żeby ci służyć swoim doświadczeniem w bojach z tutejszą administracją?

Pete oparł się na widłach.

- Może. Ale prędzej czy później znajdzie sobie coś innego. Mace długo nie usiedzi w jednym miejscu.

- Myślisz, że praca z tobą mu nie wystarczy? Pete zmarszczył czoło.

- Nigdy dotąd tak nie było.

Zdążyli przygotować zagrodę na przyjęcie słoni, a Mace się jeszcze nie pokazał.

Niebo było czyste, dzień słoneczny, chłód nieco zelżał i mogłoby się zdawać, że nadchodzi wiosna.

- Chodź, pokażę ci nasze pola. Zobaczymy, co robią słonice - zaproponował Pete.

Opuścili podwórze, minęli przyczepę Mace'a i Pete z szopy wyprowadził dziwny czterokołowy pojazd pochłapany błotem.

- Wskakuj.

- Nigdy czymś takim nie jechałam - jęknęła. - To musi być bardzo niebezpieczne.

- Ale konieczne, jak się ma do objechania taki kawał ziemi. Siadaj za mną i mocno się mnie trzymaj.

Zrobiła, co kazał, objęła go w pół i przycisnęła twarz do jego pleców. Nie sięgała mu nawet do ramienia. Czuł ciepło jej ciała i związany z tym niepokój. Myśl, że mógłby teraz spojrzeć jej w oczy, kompletnie go rozkojarzyła i zaraz po starcie omal nie wylądowali w rowie. Tala krzyknęła i ukryła twarz, jeszcze mocniej wtulając się w niego.

Pete zwolnił.

- Przepraszam.

Przez pewien czas jechali wzdłuż szpaleru wysokich dębów, a potem wypadli na rozległe łąki. Wszędzie było znać ślady słoń. Wydeptane połacie trawy, powyrywane małe drzewka, rozchłapane błotniste łąki i ślady ogromnych, koliście zarysowanych stóp.

Pete zatrzymał się przy płytkim stawie.

- Rok temu to było tylko takie wgłębienie po śladzie stopy, potem wypełniło się wodą i teraz Sophie ma tutaj w lecie swój ulubiony basen - wyjaśnił.

- A co robisz w zimie? Podobno słońie bardzo lubią chlapać się w wodzie.

- Musimy sobie jakoś radzić za pomocą gumowego węża; polewam je ciepłą wodą w zakrytym pomieszczeniu. Jeśli kiedyś będę miał pieniądze, zrobię im podgrzewany basen. A oto i Sweetie.

Tala wychyliła głowę spod jego ramienia.

- Gdzie? Nic nie widzę.

- Musisz się nauczyć je dostrzegać. - Wskazał coś ręką. - Widzisz to duże i szare? O, teraz się porusza. Sweetie lubi samotność. Sophie i Belle zwykle prowadzą się razem.

Znowu ruszył przed siebie i Tala ponownie kurczowo się w niego wczepiła. Cudowne, rozległe tereny, nie do ogarnięcia wzrokiem...

Ścieżką wśród drzew zjechali w bok i Pete zahamował. Belle i Sophie stały kilka kroków dalej, spokojnie pochłaniając wielkie liście. Nawet nie raczyły na nich spojrzeć.

- W porządku, nie przeszkadzajcie sobie. Zobaczymy się w domu na kolacji. - Zrobił w tył zwrot i wolno zawrócił w stronę domu. - Wybraliśmy dla nich duży teren i podzieliliśmy go na kawałki wielkości dwudziestu hektarów. Czekamy, aż słonie zniszczą część roślin i wtedy przenosimy je na inny kawałek ziemi, zanim spowodują naprawdę poważne szkody. W przyszłym miesiącu będą przenosiny. Zagrodzimy metalową siatką wejście na zużyte pole i słonie będą sobie musiały znaleźć inne. W ten sposób staramy się utrzymać równowagę w przyrodzie.

- Wystarczy zagrodzić im wejście zwyczajną siatką? - spytała.

- Tak. Nigdy nie stosujemy prądu. Są oczywiście te wysokie parkany i niemal pancerna brama prowadząca na teren posiadłości, ale to raczej po to, żeby słonie chronić przed ciekawskimi, a nie ludzi przed słoniami.

W drodze powrotnej Sweetie wyprzedziła ich i kiedy dojechali do domu, stała przed wejściem do zagrody. Na ich widok szybko weszła do środka.

- Myśli, że zaraz dostanie dodatkowy posiłek, skoro wróciliśmy do domu - powiedział Pete.

- A dostanie?

- Raczej tak. Ma większe potrzeby niż pozostałe słonie. Jest starsza i jeszcze do niedawna miała zepsuty ząb i z powodu infekcji trochę chorowała. Na moim wikcie schudła zresztą kilkadziesiąt kilo.

Weszli do zagrody w chwili, gdy Mace widłami podawał słonicy wiązkę siana. Słonica delikatnie brała spore porcje i ładowała je sobie do paszczy.

- Dzień dobry wszystkim - przywitał ich Mace - i przepraszam, że dzisiaj zasnęłam.

Wyglądał na bardzo zmęczonego i Pete zauważył, że drżą mu ręce zaciśnięte na trzonku wideł.

Maleńka, jak zwykle na widok Tali, wydała przeciągły pomruk i Tala natychmiast do niej podeszła.

- Trzeba jej będzie oczyścić klatkę - oznajmiła. - Może znowu zwabimy ją do łazienki, a ja wtedy szybko sprzątnę.

Pete przecząco pokręcił głową.

- Nie ma mowy, wystarczająco mi ją wczoraj zdemolowała. Jak tam, tato, ta nowa klatka?

- Cement prawie wysechł i nasza mała nie powinna wyrwać prętów. Przynajmniej tak myślę. Położyłem jej trochę siana na podłodze, wstawiłem miskę z wodą i sporą porcję jedzenia.

- No to nie ma na co czekać. Możemy zaczynać przeprowadzkę.

Pete czuł niespokojny oddech Tali na plecach, kiedy sięgał po pistolet ze środkiem odurzającym i szedł w stronę lwicy. Gdy wsunął pistolet między pręty, Maleńka zrobiła ku niemu nagły zwrot, ale strzała z farmaceutykiem utkwiała w jej lędźwiach.

Lwica zadrżała i uniosła wargi, ukazując białe, długie zęby. Jej oczy nabiegły krwią. Tala przylgnęła do prętów klatki.

- Idź stąd - polecił Pete. - Zawołam cię, jak będzie po wszystkim.

- Ale ja chcę przy tym być - zaprotestowała.

- Zawołam cię, jak zaśnie. Idź.

Nie spuszczał oka z lwicy, która najpierw, lekko oszołomiona, przysiadła na zadzie, a potem jakby za podmuchem niewidzialnego powiewu nagle osunęła się na bok i zaczęła pochrapywać.

Pete zwrócił się do ojca:

- Możemy zaczynać, tato. Opatrzmy ją na miejscu, w klatce. Jak zacnie się budzić, zawsze zdążymy wyskoczyć i zatrzaskać drzwiczki.

W chwilę później Pete znajdował się już w klatce, gdzie zdjął opatrunek i dokładnie obejrzał ranę lwicy. Goiła się szybciej, niż się spodziewał. Nie było śladu infekcji. Na wszelki wypadek zaaplikował jednak pacjentce nową porcję antybiotyku.

- Miałeś mnie zawołać - usłyszał za sobą rozżalony głos Tali, ale nie odwrócił głowy. - Tak bardzo chciałam przy tym być.

- Nie miałem czasu. Tato, teraz spróbujemy ją przenieść do klatki.

Tala natychmiast znalazła się obok nich.

- Mogę wam pomóc?

- Usuń się z drogi. Jeśli ona się ocknie, nie chcę mieć na głowie jeszcze jednej osoby do ratowania.

Tala jednak nie umiała stać bezczynnie. Pete z ojcem przetransportowali lwicę do nowego lokum i starannie zaryglowali drzwi. Kiedy wrócili, Tala myła już podłogę wodą i środkiem odkażającym.

- Strasznie tu było brudno. Te koce trzeba będzie dobrze uprać, przynajmniej ze dwa razy - oświadczyła.

Mace chustką przetarł czoło.

- Jest już po dwunastej, najwyższa pora coś zjeść. Zaraz nam zrobię lunch.

Tala wyzięła mokrą szmatę.

- Zwykle nic nie jadam o tej porze.

- A powinnaś, jesteś strasznie mizerna. Zrobię nam wszystkim kanapki.

Uniosła głowę i spojrzała na niego.

- Ależ doktorze, to znaczy, Mace, nie możesz przecież mnie żywić...

- Przeciwnie - obruszył się Mace. - To dla mnie przyjemność i rodzaj miłego obowiązku. Zawsze przygotowuję jedzenie dla siebie i dla Pete'a. Dlaczego nie miałbym tego robić również i dla ciebie?

Gdy wyszedł, Tala wymiotła odchody lwicy do kubła i zabrała się do zmywania betonowej podłogi twardą szczotką na długim kijku.

- Zostaw, ja to zrobię - odezwał się Pete. - Nawet nie zajrzałaś do komputera.

Tala odrzuciła włosy z czoła.

- Przecież po to mnie wynająłeś. Zresztą jestem przyzwyczajona do takiej pracy.

Niesforny, czarny kosmyk znowu opadł jej na czoło. Pete podszedł i odgarnął go jej za uszy. Jego palec leciutko prześliznął się po policzku Tali.

Była zdumiona tym gestem prawie tak samo jak on. Ich oczy spotkały się na krótką chwilę. Pete czuł pulsowanie w skroniach i widział, jak Tala oblewa się rumieńcem. Miała cudowną cerę i białą alabastrową szyję. Odetchnął głęboko, jak nurek, który wyłonił się z głębiny. Tala odwróciła się i zaczęła zawzięcie skrobać podłogę.

- Dlaczego wybrałaś właśnie słonie? - zapytała po chwili, już opanowana.

- Ponieważ zrozumiałem, jak bardzo potrzebują pomocy. - Skierował spojrzenie w bok. - W tym kraju spotyka je wiele krzywd i trzeba coś z tym zrobić. Można powiedzieć, że próbuję spłacić stary dług.

Po lunchu Tala skończyła czyszczenie starej klatki, a potem poszła do komputera, chcąc się rozeznać w sytuacji. Po śmierci Adama skończyła kilka kursów komputerowych, żeby podnieść swoje

kwalifikacje i znowu uczyć w szkole średniej, ale trochę już zapomniała, a przede wszystkim - brakowało jej wprawy.

Zresztą Rachel zabrała domowy komputer do swojego pokoju w domu babki, by na nim odrabiać lekcje, i Tala nie miała do niego dostępu.

Nie знаła hasła i nie mogła z rezerwatu połączyć się z Internetem; postanowiła poczekać z tym do jutra, gdy Pete będzie miał czas.

- Skoro masz jechać po dzieciaki, to lepiej zgaś to i jedź po nie - rzekł chwilę później Mace, stając w progu gabinetu.

Tala rzuciła szybkie spojrzenie na zegarek. Kilka godzin minęło w mgnieniu oka.

Zerwała się i zaczęła zbierać rzeczy.

- A jak tam Maleńka? Miałam do niej zajrzeć. Już się obudziła?

- Owszem, i niecierpliwie czeka, żeby coś wrzucić na ząb. Pozwól, że cię odprowadzę do furki - rzekł Mace i wręczył jej metalowe kółko z kluczami. - A to dla ciebie. Ten duży jest od głównej bramy, na innych są karteczki z napisami, a ten tu jest od klatki naszej małej. Tylko nie radzę ci jej otwierać.

Tala poczuła wdzięczność i wzruszenie.

- Naprawdę chcesz mi je dać?

- A dlaczego nie? Pracujesz tutaj i możesz sobie wchodzić, kiedy zechcesz, wcześniej rano, zanim wstaniemy, albo o każdej porze w ciągu dnia. W ten sposób będziesz niezależna.

Kiedy machała mu dłonią na pożegnanie, dodał jeszcze:

- Do jutra, do zobaczenia.

Pete'a jednak nie widziała. Nie wiadomo czemu, zrobiło jej się przykro. Jak mogła myśleć, że on jest gburem. Jest przygnębiony i stale zdenerwowany, ale to przecież można zrozumieć. Musiał przeżyć coś bardzo złego. Każdy na jego miejscu byłby taki. Po prostu trzeba mu pomóc.

Tak jak on pomaga słoniom.

Tak jak Adam pomagał leśnej zwierzynie.

I za to zginął.

Rozdział 6

- Zaprosiłam doktora Jacobiego razem z synem na kolację - oświadczyła nieoczekiwanie Irene, kiedy dzieci poszły na górę do swoich pokoi. - Skoro masz u nich pracować, powinniśmy chyba bliżej się poznać.

Tali zrobiło się słabo. Cały dzień spędziła w rezerwacie z Pete'em i Mace'em i miała wrażenie, że ostatnią rzeczą, na jaką obaj mieliby ochotę, jest uczestniczenie w jednej z tych półoficjalnych kolacji Irene, organizowanych w ostatniej chwili. Sama była kompletnie wykończona. Noc spędzona na podłodze zrobiła swoje.

- Myślę, że dzisiaj mogą mieć mnie dosyć - rzekła pośpiesznie.

Irene nie zmieniła zdania.

- To samotni mężczyźni. Mace jest wdowcem, a jego syn chyba nigdy nie miał żony. Samotni mężczyźni uwielbiają być zapraszani na dobre kolacje.

- Mace Jacobi sam bardzo dobrze gotuje - próbowała zażegnać niebezpieczeństwo Tala.

- Możliwe, ale chyba daleko mu do naszej Lucindy.

- Dzieci jutro idą do szkoły, muszą odrobić lekcje - słabo broniła się Tala.

Irene tylko machnęła ręką.

- Pewnie wszystko odrobiły już w szkolnej świetlicy.

- Podeszła do schodów i unosząc głowę zawołała: - Rachel, Cody, odrobiliście już lekcje?

Z góry nadeszło chóralne potwierdzenie. Irene triumfalnie spojrzała na Talę.

- Widzisz? Wszystko w porządku. A teraz jedź do domu, umyj się i przebierz. Może dla odmiany włożyłabyś jakąś sukienkę...

Tala z rezygnacją skinęła głową.

- Dobrze, ale nie mogę ci przyrzec, że nie zasnę z głową w talerzu.

- Zgodzę się i na to, jednak pod warunkiem, że najpierw coś zjesz.

Tala poszła w stronę samochodu, a Irene krzyknęła jeszcze w ślad za nią:

- A jak ci się podobało to, że znowu możesz sama odebrać dzieci ze szkoły?

- Było cudownie. Zdążyłam nawet zobaczyć ostatnie pięć minut wygibasów Rachel. Te dziewczęta są naprawdę świetne. Nie wiedziałam, że Rachel jest tak wygimnastykowana. Ja nigdy w życiu nie umiałam zrobić szpagatu, nawet jak miałam trzynaście lat.

- Po trzech dniach wszystko ci spowszednieje i będziesz miała dosyć - roześmiała się Irene.

W drodze do domu czuła się podle. Była zdenerwowana i na granicy łez. I właściwie nie miała pojęcia dlaczego. To znaczy, pewne pojęcie jednak miała.

Kolacja zapowiadała się koszmarnie. Co będzie, jeśli wszyscy wzajemnie się znienawidzą? Pete może zachować się fatalnie, jak na prawdziwego odludka przystało, i natychmiast wszystkich do siebie zrazić. Nie wygląda na człowieka, który się dobrze czuje przy zastawie z porcelany i srebrach. A Tali tak zależało, żeby jej rodzina go polubiła...

Co będzie, jeśli Rachel z czymś wyskoczy? Z Codym nie ma powodów do niepokoju. Będzie zachwycony, jak usłyszy coś o słońcach. Ale Rachel? Ta Wiecznie Niezadowolona i Nadąsana Panienska?

Adam był surowym i wymagającym ojcem i dzieci słuchały go bez zmrużenia oka. Z Talą jednak było inaczej. Nie potrafiła egzekwować od nich odpowiedniego zachowania.

Przyrzekła sobie, że nazajutrz, jeśli starczy jej czasu, w drodze do szkoły zatrzyma się w księgarni i kupi sobie jakiś poradnik dla rodziców.

Kiedy wróciła, pod siedzibą Newsome'ów stał już zaparkowany land - rover Jacobich. Chciała włożyć jedyną sukienkę, jaką sobie kupiła po śmierci męża i którą miała na jego pogrzebie, ale zrezygnowała. Czarna sukienka była bardzo odpowiednia na tego rodzaju okazję, lecz Tala bała się, że dzieci ją rozpoznają. Dlatego ubrała się w długą czarną spódnicę i ciemnozielony sweter, na który narzuciła czarny żakiet. Włosy zaczesła do tyłu i spięła zieloną spinką.

Gdy otworzyła drzwi, usłyszała miły śmiech Mace'a. Stał pośrodku salonu z kieliszkiem sherry w dłoni. Wyglądał bardzo wytwornie, jak na emerytowanego profesora uniwersytetu przystało.

Pete zaś tkwił sztywno wbity pomiędzy poduszki kanapy. Miał na sobie ciemnoniebieską koszulę, krawat i tweedową marynarkę

podobną do marynarki ojca, dzinsy i brązowe buty. Jego marynarka robiła wrażenie tak ciasnej, jakby za chwilę miała pęknąć, szklanka w jego dłoni drżała z przerażenia, że zaraz zostanie zgnieciona. Na widok Tali Pete spróbował wstać, ale kanapa wciągnęła go w głąb i zapadł się pomiędzy poduszki na dobre. Ruchem dłoni kazała mu pozostać na swoim miejscu.

- Tala, kochanie, cudownie wyglądasz. - Vertie spojrzała na nią z nie skrywanym podziwem.

Sama miała na sobie turkusową luźną koszulę, różowe dzinsy, turkusowe kowbojskie buty i aż tyle turkusowych ozdób, że można by za nie popłacić wszystkie długi jakiegoś niewielkiego państewka.

Irene na widok Vertie o mało nie dostała oczopląsu. Pohamowała się jednak i uprzejmie zapytała, czego starsza pani się napije.

- Może sherry? - zaproponowała tonem bywalczyni. Vertie obruszyła się nie na żarty.

- Sherry? O tej porze? Od siódmej pijam tylko prawdziwe drinki. - Mrugnęła okiem do Pete'a, na próżno usiłującego wygramolić się z kanapy.

- Założę się, że grywasz w ataku, co, synku?

Pete skromnie potwierdził i Vertie z kolei zagadnęła Mace'a:

- Bardzo miło znowu pana widzieć, doktorze Jacobi. Wymieniła z nim szybki uścisk dłoni i pomknęła w stronę barku. Nalała sobie bourbona, wypiła łyk i rozejrzała się dokoła ze zgrozą.

- Nie męczcie się z tą sherry! Kto z państwa ma ochotę na whisky?

Pete wyglądał, jakby chciał się zgłosić na ochotnika, ale wzrok ojca powstrzymał go. Picie bourbona przed kolacją nie było w dobrym stylu.

Irene próbowała bawić gości rozmową, lecz starsza pani uniemożliwiła jej to.

- Jeszcze jedno - oświadczyła podniesionym głosem. - Kazałam Lucindzie położyć dodatkowe nakrycie. Zapewne nie masz nic przeciwko temu, że zaprosiłam na kolację jeszcze jednego pana.

Irene obrzuciła teściową spłoszonym wzrokiem. Tala mogłaby się założyć, że boi się zapytać kogo.

- Nie się nie bój - uspokoiła ją Vertie - można go śmiało pokazać. To Vincent Oxley, znasz go ze spotkań rady miejskiej. To on buduje te domy niedaleko klubu.

Irene wyraźnie się odprężyła.

- Miło mi, że przyjdzie. Skąd go znasz? - zapytała.

- Poznałam jego ojca na jakiejś wycieczce do Afryki, kilka lat temu. Vincent zgłosił się do mnie, kiedy w zeszłym roku przyjechał do naszego miasta, a dzisiaj przypadkowo spotkaliśmy się na Main Street.

Cudownie, pomyślała Tala. Zapowiada się naprawdę wspaniały wieczór. Nie dość, że dojdzie do konfrontacji Jacobich z jej rodziną i dziećmi, to jeszcze jakiś kompletnie obcy facet będzie się temu przyglądał. Po prostu położyć się i umrzeć.

Zadzwoił dzwonek i Vertie pomknęła witać swojego gościa. Po chwili Vincent Oxley wchodził już do salonu. Tym razem Pete nawet nie próbował wstać, Mace natomiast ruszył do nowo przybyłego z wyciągniętą dłonią.

Vincent Oxley był wysoki i szczupły, miał około czterdziestki i nieco zbyt wytworny wygląd jak na gust Tali. Robił wrażenie wymuskanego i układowego; kiedy dotknął jej dłoni, nieco zbyt długo przytrzymał ją w swojej. Uśmiechnął się przy tym nieco zbyt serdecznie.

Było w nim coś sztucznego i fałszywego, a może tylko tak jej się wydawało. Natychmiast też zaczął czarować Irene.

- Tyle razy miałem do pani dzwonić, droga pani. Mam wrażenie, że z pani ziemią i z moimi budowlanymi planami moglibyśmy wiele razem zdziałać.

Irene zaczerwieniła się po białka oczu.

- Prawdziwą właścicielką ziemi w tej rodzinie jest Vertie, a nie ja.

W tym samym momencie w drzwiach ukazała się głowa Lucindy.

- Podawać czy nie? Wszystko tylko wystygnie... Lepiej już iść do jadalni. Nie ma co czekać. - Potem głowa uniosła się w górę i uszy obecnych rozdarł nieludzki wrzask: - Dzieciaki! Na dół, ale migiem!

Zupa z krewetek była pyszna, lecz Cody zaraz na wstępie oświadczył, że nigdy nie przełknie czegoś w tym kolorze.

Sałata ze szpinaku była wyśmienita, ale Rachel na jej widok skrzywiła się ze wstrętem i zaczęła starannie wyławiać wszystkie kawałki boczku, jakie znalazła wśród liści.

- Tfu, ten cały tłuszcz to ohyda!

Cielęcina rozplątała się w ustach, ale obecność dodatkowego gościa sprawiła, że porcje nie były zbyt duże. Wszyscy ze smakiem za to pałaszowali jarzyny i nawet Pete wyglądał na zadowolonego. Co to jednak znaczy dobre wychowanie...

Vertie usadowiła się obok niego i bez przerwy do niego zagadywała swoim zalotnym głosem. Miała przecież tylko siedemdziesiąt osiem lat i doskonałe samopoczucie. Tala musiała przyznać, że Pete trzymał się dzielnie. Był pełen szacunku wobec starszej pani, a jednocześnie szczerze rozbawiony.

Tala siedziała obok Vincenta Oxleya, który po początkowym entuzjazmie wobec niej, po kilku bacznych spojrzeniach na jej dziatki, zaczął zachowywać się bardziej powściągliwie. Rachel siedziała po drugiej stronie Pete'a i grzebała w talerzu, niedbale wsparta na łokciu.

Mace Jacobi, zgodnie z przewidywaniami Tali, bawił Irene i Cody'ego opowieściami z życia słoni i studentów weterynarii.

- Czy będę mógł kiedyś przejechać się na słoniu? - zapytał w pewnej chwili Cody.

Tala siłą powstrzymała się, żeby nie kopnąć go w kostkę. Pete spojrzał na chłopca.

- One już nie wożą ludzi, są na emeryturze.

Cody westchnął, wyraźnie zawiedziony. Jego ramiona smętnie opadły. Tala teraz miała ochotę kopnąć w kostkę kogoś innego.

Mace starał się pocieszyć chłopca.

- Ale zawsze możesz do nas przyjechać, popatrzeć na nie i pobawić się z nimi - powiedział.

Ramiona Cody'ego natychmiast uniosły się w górę.

- Twoja matka doskonale sobie z nimi daje radę - dorzucił Mace.
- Świetnie je rozumie.

Rachel powiedziała półgębkiem coś, czego Tala nie dosłyszała.

- Co mówiłaś, kochanie? Rachel uniosła głowę.

- Powiedziałam: „Zupełnie tak jak Sheena, Królowa Dżungli”. Jest taki stary komiks, leży gdzieś na strychu.

Irene aż zeszywniała, Mace z powagą spojrzał na Rachel.

- O ile dobrze pamiętam, Sheena jeździła na zebrze. Trochę to dziwne, ale pewnie możliwe. My w rezerwacie mamy indyjskie słonie, to taki bardziej Rudyard Kipling niż stary komiks. - Uśmiechnął się do niej dobrotliwie. - A oglądałaś może ten film o Tippi w Afryce?

- Tak. Ubóstwiam ją - potwierdziła Rachel z entuzjazmem, jakiego Tala nie widziała u swojej córki od wielu miesięcy.

- W takim razie musisz do nas wpaść i zobaczyć nasze dziewczęta. Są równie interesujące jak zwierzęta Tippi, chociaż może nieco mniejsze od niektórych.

- Mogłabym? Naprawdę? Kiedy?

Cud. Prawdziwy cud. Śpiąca królewna przetarta oczęta i zerwała się na równe nogi.

Mace zmarszczył czoło.

- Co byś powiedziała na niedzielę po południu? Podobno ma się ocieplić.

Rachel rzuciła okiem na Talę.

- A mama tam będzie? - zapytała, nagle czymś zaniepokojona.

- Nie sądzę, w weekendy ma wolne. Ale mógłbym sam zabrać was oboje z Codym zaraz po mszy, jeśli oczywiście mama się zgodzi.

- Myślę, że... - zaczęła Tala i przerwała, widząc bezsens swoich słów.

Cody złożył błagalnie dłonie.

- Mamo! Mamo! Zgódź się! Tala głęboko westchnęła.

- Jeśli myślisz, że to nie sprawi wam zbyt wiele kłopotu, Mace...

Cody podskoczył na krzesło.

- Fantastycznie! Jedziemy do rezerwatu!

Tala złowiła przerażone spojrzenie Pete'a, który patrzył na Rachel i Cody'ego z prawdziwym niesmakiem. Niech go licho, pomyślała. To dobre dzieciaki, a jak on nie potrafi żyć normalnie jak inni ludzie, trudno, jego problem.

- Czy ja też mógłbym się przyłączyć? - nieoczekiwanie zapytał Oxley. - Nigdy nie widziałem słonia, to znaczy tylko w zoo i w cyrku.

- Publiczność nie ma wstępu do rezerwatu - twardo oświadczył Pete, nie spuszczać oczu z ojca. - Takie są zasady.

- Naprawdę nie sprawiłbym kłopotu - nie ustępował Oxley.

Tala postanowiła interweniować. Nie pozwoli, żeby ten sztywniak zepsuł dzieciom wycieczkę do rezerwatu.

- Miałam nadzieję - wtrąciła szybko - że zechce mi pan pokazać te nowe domy. Myślałam właśnie, żeby się w przyszłości przeprowadzić do miasta.

W jego oczach dostrzegła nadzieję - na dobry interes albo na coś jeszcze. Wszystko jedno. Niech sobie myśli, co chce, trzeba ratować dzieciaki.

Oxley na sekundę położył rękę na jej dłoni.

- Oczywiście, z przyjemnością. Mam coś zupełnie idealnego dla pani i dzieci.

- Mamo, naprawdę? - W oczach Rachel zapaliły się światełka nadziei.

Chyba się zagalopowała. Trzeba jak najszybciej wyjaśnić sprawę.

- Rachel, kiedyś w przyszłości na pewno do tego dojdzie.

Gdy to mówiła, zorientowała się, że Pete z jakiegoś powodu jest wściekły. Na nią? Na ojca? Na dzieci? Na Oxleya? Na cały wszechświat ze specjalnym uwzględnieniem ich galaktyki? Postanowiła natychmiast zmienić temat rozmowy.

- Skąd sprowadziłeś słonie do rezerwatu, Pete? - spytała z udanym zaciekawieniem.

Pete przez chwilę milczał.

- Nie sądzę, żeby państwo chcieli właśnie teraz to usłyszeć - odparł w końcu.

- Tak, tak, chcemy! - Cody niecierpliwie kręcił się na krześle.

- W takim razie... chociaż uprzedzam, że to nie będzie zabawne. - Pete obrzucił wzrokiem obecnych. - Sweetie była w pewnym małym cyrku. Po śmierci właściciela zdechłaby z głodu, gdyby ktoś nie znalazł w Internecie naszego adresu i nas nie zawiadomił. Kiedy ją sprowadziłem, to była sama skóra i kości.

Irene znacząco spojrzała na Mace'a, ruchem głowy wskazując dzieci.

- Może byśmy jednak... - chrząknęła znacząco.

- Nie, babciu - przerwała jej Rachel - pozwól mu dokończyć.

Pete mówił teraz wprost do niej:

- Sophie została sprzedana do parku rozrywki na Florydzie jako malutkie słoniątko. Kiedy właściciel zbankrutował, po prostu uciekł i zostawił zwierzęta na łasce losu. Sąsiedzi do nas zadzwonili. Była tak odwodniona, że z trudem udało nam się ją uratować.

- Biedactwo... - westchnęła ze współczuciem dziewczynka.

- Belle służyła w cyrku przez dwadzieścia lat - ciągnął Pete. - Nieraz miała trzy występy w ciągu dnia. Nie wytrzymała i

poturbowała swojego właściciela. O ile wiem, dobrze sobie na to zasłużył.

- Zraniła człowieka? - z niepokojem spytała Irene. - Trzyma pan tutaj takie niebezpieczne zwierzęta, doktorze? Tak blisko miasta?

Mace zwrócił się ku niej, gotów zażegnać niebezpieczeństwo.

- Ona jest bardzo łagodna, jeśli się ją dobrze traktuje, a w rezerwacie tak właśnie jest - wyjaśnił.

Irene nie od razu się uspokoila.

- Ale przecież Tala... dzieci. Boże, gdybym wcześniej wiedziała.

- Proszę się nie przejmować, to niczym nie grozi - próbował przekonać ją Pete.

- Ona jest grzeczna i bardzo kochana - dodała Tala. Lecz ona też nie wiedziała, że Belle ma na sumieniu taki wyczyn. Zaatakowała człowieka? Zraniła go? Może śmiertelnie?

- Coś mi się wydaje, że wybiorę się tam razem z wami w niedzielę - oświadczyła Irene głosem nie znoszącym sprzeciwu. - Muszę to zobaczyć na własne oczy. Nie byłam tam, odkąd są słonie.

- Będzie nam bardzo miło - powiedział Mace.

Pete milczał, lecz nie wyglądał na zachwyconego. Tala nie mogła sobie wybaczyć, że sprowokowała tę wymianę zdań. Jeśli teściowa na domiar złego dowie się jeszcze, że ona, Tala, zajmuje się lwicą, może zrobić wszystko. Naprawdę wszystko.

W dwadzieścia minut później znajdowała się w drodze do domu. Wszystko dobrze raz jeszcze przemyślawszy, doszła do wniosku, że nie może mieć za złe Pete'owi, iż powiedział prawdę o słoniach. Po pierwsze, sama go do tego sprowokowała; po drugie, tak wygląda rzeczywistość i nie można chować głowy w piasek.

W lusterku spostrzegła, że ten sam samochód, który jechał za nią poprzedniego dnia od Food Farm do domu, towarzyszy jej teraz od chwili, kiedy opuściła rogatki miasta.

Rozbłysły długie światła i Tala przysłoniła dłonią oczy.

Co ten idiota robi? Chce ją oślepić? Chce ją wyprzedzić? Samochód szybko zbliżył się na niebezpieczną odległość i poczuła z tyłu uderzenie.

Mocniej uchwyciła kierownicę i wtedy poczuła następne, silniejsze jeszcze uderzenie.

On chyba zwariował!

Światła w lusterku niemal całkowicie ją oślepiały. Samochód wyraźnie szykował się do kolejnego ataku. Tala, wiedząc, że przed sobą ma zakręt i że musi zwolnić, nagle zjechała na prawo.

Samochód wyprzedził ją, niemal ocierając się o karoserię - spostrzegła dwie ciemne, męskie sylwetki - i zniknął w ciemnościach.

Wszystko to trwało ułamek sekundy. Nacisnęła hamulec, samochód wpadł w poślizg, przez chwilę sunął przed siebie, a potem stoczył się do rowu i utknął tam, ostro przechylony na bok. Tala z wysiłkiem otworzyła drzwi od strony kierowcy i zeskoczyła na ziemię.

Otuliło ją ostre nocne powietrze, ale była tak zdenerwowana, że nawet tego nie poczuła. Przecież ci bandyci mogą zawrócić, by sprawdzić, co się z nią stało. Może chcieli ją zabić i zaraz wrócić...

A może po prostu są pijani i ryczą teraz ze śmiechu, pędząc na złamanie karku do najbliższej przydrożnej knajpy.

Powinna sobie wreszcie kupić telefon komórkowy. Irene tyle razy ją o to prosiła, mówiła, że pokryje wszystkie koszty. Tym razem chyba wreszcie przyjmie jej propozycję.

Wzięła torebkę, zgasiła światła i wyszła na drogę.

Panujące wokół ciemności przypomniały jej o latarce, którą Adam zawsze trzymał na półeczce przy kierownicy. Wróciła do samochodu i znalazła ją. Na szczęście baterie działały.

Spod przedniego siedzenia wyjęła broń i zapasowe naboje. Schowała je do kieszeni. Ostatnio nabrała takiego zwyczaju.

Obejrzała samochód z zewnątrz. Szkody nie były duże. Jakieś otarcia, trochę błota. Samochód był sprawny i mógł jechać, tylko ktoś jej musiał pomóc wyciągnąć go z rowu. Ale nikogo takiego nie było.

Czeka ją długa droga do domu na piechotę. Mogła oczywiście iść na skróty, pomiędzy wzgórzami, ale o tej porze wszędzie było dużo błota i droga mogła okazać się bardzo ciężka.

Usłyszała głos nadjeżdżającego samochodu i wyszła na szosę, machając latarką. Kierowca zwolnił, lecz się nie zatrzymał. Może tamci idioci zawrócą i podwiozą ją jednak. Może mają wyrzuty sumienia i będą chcieli sprawdzić, co się z nią stało. A może jednak byłoby lepiej, gdyby nie zawracali i nie sprawdzali....

Szła przed siebie, słysząc wśród drzew odgłosy leśnej zwierzyny. Pod swoim domem dostrzegła sarny.

Była mokra i bardzo zmęczona. Ubranie ciążyło jej, jakby ważyło tonę.

Zatrzymała się i spojrzała na swój dom. Wyglądał zupełnie zwyczajnie. Nie stał pod nim żaden samochód, nie było nic podejrzanego. Po raz pierwszy z wdzięcznością powitała światła, które włączyły się, kiedy weszła na podwórze; w ich ciepłym kręgu dotarła na ganek i wpadła do domu.

Zagłębiła się w fotelu Adama i spojrzała na zegar; dochodziła jedenasta. Jej droga powrotna trwała ponad godzinę. Nie ma mowy, żeby jutro przed siódmą zdążyła do pracy. Powiesiła mokrą spódnice w kuchni i wykręciła numer rezerwatu.

- Tak? Słucham. - Pete odezwał się dopiero po czwartym sygnale.

Odchrząknęła.

- Pete? - powiedziała zmienionym głosem, jakby od wieków nie rozmawiała z istotą ludzką - Pete...

- Coś się stało?

- To słyszeć? - zapytała, próbując ukryć lęk.

- Głos masz okropny - stwierdził Pete bez ogródek.

- Ktoś próbował zepchnąć mnie z drogi, jak wracałam do domu - wyjaśniła.

- Co takiego? Nic ci się nie stało?

- Nie, już dotarłam do domu. Problem w tym, że mój samochód został w rowie kilka kilometrów stąd. Nie mogłam go wyciągnąć. Jest sprawny, ale będę musiała poczekać do rana i sprowadzić pomoc drogową. Jest mi strasznie przykro, że robię wam to już drugiego dnia pracy, ale pewnie się spóźnię.

Mówiła chyba zbyt dużo, ale nie mogła przestać.

- Jestem u ciebie za dwadzieścia minut - usłyszała w słuchawce.

- Pete, ja...

W słuchawce rozległ się długi sygnał.

Usłyszała trzaśnięcie drzwiczek samochodu, kiedy wkładała jeden ze starych wełnianych swetrów Adama.

Pete musiał pędzić jak wiatr. Ledwo zdążyła włożyć dzinsy, usłyszała ostry dzwonek do drzwi wejściowych i pobiegła otworzyć.

- Już idę! Chwileczkę! - zawołała.

Z impetem otworzyła drzwi, nie zastanawiając się, czy stoi za nimi Pete, czy może seryjny zabójca.

Za drzwiami stał Pete, który naprawdę wyglądał jak seryjny zabójca. Wtargnął do korytarza ze zmierzwionym włosom, porwał ją w objęcia i mocno pocałował.

Tala na sekundę znieruchomiała, a potem objęła go i przyłgnęła do niego całym ciałem. Całowali się bardzo długo. Dłonie Pete'a były delikatne, dotyk łagodny, ale jego pocałunek - gorący i zaborczy. Nikt nigdy nie całował jej w ten sposób. I nikt nigdy tak mocno jej nie ścisnął.

Po chwili Pete zwolnił uścisk i spojrzał na nią z niepokojem.

- Nic ci się nie stało?

- Chyba mam tylko wybite przednie zęby.

- Uderzyłaś się o kierownicę? Poduszka powietrzna zawiodła?

Tala machnęła ręką.

- Nie o to chodzi. Nie uderzyłam się o kierownicę ani nie zawiodła poduszka.

Przez chwilę patrzył na nią zmieszany.

- Strasznie przepraszam - wybąkał potem. - Ja czasem nie zdaję sobie sprawy z tego, jak bardzo jestem silny.

- Na to wygląda...

- Jeszcze raz bardzo cię przepraszam.

Postąpiła krok do tyłu, ale po chwili znowu znalazła się tuż przy nim.

- Następnym razem będzie lepiej - powiedziała.

- Co?

Najgłupszy facet na świecie! Nic do niego nie dociera. Tala wspięła się na palce, objęła go za kark i pochyliła ku sobie jego głowę. Zaczęła go całować, a on objął ją delikatnie i czule, jakby trzymał w ramionach figurkę z cennej porcelany.

Tala czuła się zupełnie niezwykle, tak jakby trzymał ją w objęciach ogromny niedźwiedź. W jego ramionach było jej ciepło i przytulnie, a ciało zaczynało płonąć. Teraz nikt nie mógł jej zagrozić. Była całkowicie bezpieczna. Dopiero teraz zdała sobie sprawę z tego, jak bardzo się bała tam na szosie.

- Widziałem na drodze twój samochód - szepnął jej we włosy. - Boże, gdyby coś ci się stało...

- Ale się nie stało i nie stanie. Nie teraz.

- Pragnę cię od momentu, kiedy cię zobaczyłem, kiedy spojrzałem w twoje oczy. - Delikatnie pocałował jej powieki.

Odsunęła się i spojrzała na niego, a on wtedy palcem obwiodł kontur jej twarzy.

- Kiedy cię zobaczyłem, zrozumiałem, że jeszcze nigdy nie widziałem kogoś tak pięknego. Stałem jak odurzony i nie wiedziałem, jak mam się zachować.

Tala roześmiała się.

- Jesteś strasznie romantyczny. Pete zaczerwienił się.

- Mówię poważnie. Pożądanie, które we mnie wzbudziłaś, przewróciło wszystko do góry nogami. Nie wiem, jak sobie dam radę, ale nie mogę dłużej ukrywać swoich uczuć.

Przytuliła twarz do jego piersi.

- Tak się czuję, jakby mnie przejechała ogromna ciężarówka - westchnęła.

Pete skrzywił się.

- Porównanie bardzo odpowiednie do sytuacji. - Ujął jej twarz w dłonie i pocałował koniuszek nosa. - Naprawdę wszystko w porządku? Nic ci się nie stało?

- Mam trochę zadrapań i siniaków, a do tego silne postanowienie, że już nigdy w życiu nie włożę długich butów, ale to wszystko. Cena nie była zbyt wysoka.

- Ale ryzyko ogromne. Mogli cię zabić, ja nie żartuję. Pokaż mi te skaleczenia.

- Daj spokój, nie warto. Nie zamierzam się teraz rozczulać nad tym, jak wielkiego uniknęłam niebezpieczeństwa.

- A ja właśnie zamierzam się rozczulać. Wziął ją na ręce i zaniósł na kanapę.

- A teraz pokaż. Tak strasznie się o ciebie bałem. Tala usiadła i spojrzała na niego. Zaczyna robić się niebezpiecznie, najwyższy czas wszystko obrócić w żart.

- Nie pozwolę ci bawić się w doktora moim kosztem.

- Ale ja naprawdę jestem doktorem.

Wskoczył na kanapę i Tala kopnęła go. Po chwili tarzali się, śmiejąc się i chichocząc jak dzieci. A potem nagle przestali się śmiać. Pete leżał na Tali, przygniatając ją swoim ogromnym ciałem. Uniosła na niego oczy, czarne jak otaczająca ich noc.

- Niech Bóg ma nas w swej opiece - powiedział uroczyście Pete i pochylił ku niej twarz.

Wtedy jakiś przeraźliwy dźwięk rozdarł nocną ciszę i Pete zerwał się na równe nogi.

- Co to jest?!

Tala uniosła głowę w stronę okna i ujrzała błysk niebiesko - czerwonych świateł patrolowego wozu.

- O Boże - szepnęła - to gliny.

Po chwili rozległ się stukot butów i łomot do drzwi.

- Tala Newsome! Jesteś tam?

- Jestem, Billy Joe! - krzyknęła. - Już idę. Szybko wstała z kanapy, poprawiła potargane włosy i poszła otworzyć. Pete podążył za nią.

- Nic ci się nie stało? - Billy Joe spojrzał na Talę z niepokojem, a potem przeniósł zdumione spojrzenie na jej towarzysza i zamrugał oczami. - Zobaczyłem twój samochód w rowie. Miałaś wypadek?

W kilku słowach opowiedziała mu, co i jak.

- Już ja znajdę tych... łobuzów - syknął Billy Joe i widać było, że zamierzał użyć zupełnie innego słowa. - A jak ich złapię, to mogą sobie tylko pomarzyć o swoich prawach obywatelskich.

- Myślisz, że to chłopaki z okolicy? - spytała Tala.

- Pewnie. Napije się taki piwa i myśli, że świat do niego należy. Cóż łatwiejszego, niż zepchnąć na pobocze samotną kobietę na pustej drodze. Przecież to świetna zabawa. Nawet nie chcę myśleć, co by było, gdybyś nie zatrzymała się w rowie. Przecież tam zaraz dalej jest bardzo stroma skarpa. Mogłaś się zabić.

- Ale się nie zabiłam. Wiesz co? Wydaje mi się, że ten sam samochód jechał za mną wczoraj, kiedy wracałam do domu z Food Farm.

Oczy Billy'ego zwęziły się.

- Zapamiętałaś jakiś szczegół? Numery rejestracyjne czy coś takiego? - zapytał.

Tala przecząco pokręciła głową.

- Nie zwróciłam na to uwagi, ale jestem pewna, że to był ten sam samochód.

Billy Joe spojrzał na nią pytająco.

- A co ty właściwie robisz o tej porze w domu? Przepraszam, że pytam.

- Zapomniałam ci powiedzieć, że zmieniłam pracę. Będę teraz pracować u doktora Jacobiego i jego ojca w rezerwacie dla słoni.

Billy Joe ze zdziwieniem uniósł brwi.

- I co tam będziesz robiła?

- Wszystko, co trzeba - odpowiedział za nią Pete. Billy przestąpił z nogi na nogę.

- Chyba się kiedyś wybiorę do tego pańskiego rezerwatu zobaczyć słonie, doktorze.

Pete otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale zrobił to dopiero po dłuższym namyśle.

- Słonie na pewno bardzo by się ucieszyły, Billy Joe, ale jesteśmy bardzo zajęci i nikogo nie wpuszczamy do rezerwatu.

- Rozumiem. A co z dziećmiakami? Nie próbują tam zaglądać przez szpary?

- Przy takiej pogodzie raczej nie. Na razie dają nam spokój.

Billy przeniósł wzrok z Pete'a na Talę.

- Może do wiosny wytrzymają. Chcesz, żebym wezwał pomoc drogową?

- Myślę, że sam wyciągnę ten samochód z rowu moim land - roverem - odpowiedział za Talę Pete. - Bardzo dziękujemy.

- W takim razie idę, ale zajrzemy tu jeszcze dziś w nocy. Będiesz bezpieczna. Niczego się nie bój.

Uniósł palec wskazujący, jakby chciał zaszalutować na pożegnanie, odwrócił się i odszedł. Po chwili usłyszeli, jak wóz policyjny odjeżdża spod domu.

Pete spojrzał na Talę.

- Jak to było z tym samochodem, który wczoraj za tobą jechał? - zapytał poważnie.

- Nic takiego. Jakaś obsesja, pewnie tylko mi się wydawało. To świadczy o tym, jak bardzo czuję się samotna - odparła, starając się zbagatelizować sprawę.

Wyciągnął ku niej ramiona.

- Nie musisz być samotna. Mogę zostać.

- Nie możesz. - Cofnęła się lekko. - Nie w tym mieście. A teraz jedźmy wyciągnąć mój samochód z rowu, bo inaczej jutro rano nigdy nie dotrę do pracy.

Patrzył na nią przez chwilę, a potem z rezygnacją skinął głową.

- Dobrze, jedziemy.

Dzięki land - roverowi wszystko przebiegło szybko i sprawnie. Prawa strona samochodu Tali była utyłana w błocie, ale poza tym nie stwierdzili poważniejszych szkód.

- Wystarczy tylko polakierować otarcie. - Pete powiódł palcem po rysie, która została na karoserii. - Nieźle cię musiał stuknąć. Sam ci to zrobię.

- Będę ci bardzo wdzięczna. Z powodów finansowych nie mogłabym na razie załatwić tego w warsztacie.

Pete już miał wsiadać do swego samochodu, kiedy Tala go zatrzymała.

- Bardzo ci dziękuję, ale teraz wracaj prosto do domu i nie martw się o mnie. Nic mi się nie stanie, mam broń. Jestem okropnie zmęczona, zaraz idę spać.

- Dobrze - ustąpił - ale pojedę za tobą i będę patrzył, czy bezpiecznie dotarłaś na miejsce. Nie próbuj mówić nie, bo i tak nie ustąpię.

Siedział w samochodzie, patrząc, dopóki nie weszła do domu, a następnie zawrócił i zniknął za linią drzew. Tala patrzyła w ślad za nim, a potem rozebrała się i wśliznęła do łóżka, które przez tyle lat dzieliła z Adamem.

Dotychczas nadal sypiała po lewej stronie, tak jakby Adam spał po prawej. Tej nocy jednak położyła się dokładnie na jego miejscu, głowę przyciskając do jego poduszki.

Nie było na niej śladu zapachu Adama. Czuła jedynie zapach wody kolońskiej Pete'a i tę nieuchwytną, indywidualną woń, jaką wydziela każda ludzka istota. Dlaczego nagle ogarnęły ją wyrzuty sumienia?

Jej ciało stale jeszcze pamiętało uścisk Pete'a, jego namiętne pocałunki, tak różne od czułych pocałunków Adama. Pocałunki, które przerwały w niej jakąś tamę, uczyniły w niej szczelinę, przez którą zaczęło się sączyć coś nowego i niepokojącego.

Odtąd nie mogła już sobie wmawiać, że jest tylko matką. Pete przypomniał jej, że jest również kobietą.

Rozdział 7

- Pete wybrał się dziś do Knoxville - oświadczył Mace, kiedy następnego dnia rano pojawiła się w rezerwacie. - Powiedział, że musi odwiedzić jakiegoś dawnego znajomego, który może mu pomóc znaleźć dla Maleńkiej nowy dom. Chciał obejrzeć warunki na miejscu.

Innymi słowy - po prostu uciekł, zrobił unik. Nie chciał się z nią spotkać po tym, co zaszło w nocy, a przy okazji pragnął jak najszybciej umieścić gdzieś Iwicę w nadziei, że po jej odejściu Tala również zniknie z jego życia. Wtedy będzie mógł znowu żyć po swojemu, jak odludek.

- Tylko że Tala nie zamierzała błagać Beaniego, by ją z powrotem przyjmował do pracy. Ponadto w rezerwacie więcej zarabiała, mogła odbierać dzieci ze szkoły, no i lubiła słońce.

Skoro Pete wzbudza w niej uczucia, których nie chce, skoro w jego obecności przestaje być sobą, trzeba coś z tym zrobić. Nigdy więcej pocałunków o północy. Nigdy więcej dręczących snów, sprawiających, że przez całą noc przewraca się z boku na bok. Pete ma rację i właśnie daje jej to do zrozumienia. Muszą się trzymać od siebie z daleka.

- Jak twój samochód? - Głos Mace'a wyrwał ją z zamyślenia.

- W porządku - odparła. - Jest trochę zabłocony i otarty, ale nic się nie stało. Przeszłam się tylko w nocy przez las.

- Czy szeryf kogoś podejrzewa?

- Billy Joe obiecał, że do mnie zadzwoni, jak się czegoś dowie. To były pewnie jakieś wyrostki, które za dużo wypily.

- Niekoniecznie. Może ktoś chciał cię zepchnąć z drogi, a potem obrabować albo jeszcze gorzej. Chyba powinnaś przez jakiś czas pomieszkać u rodziny w mieście.

Tala pokręciła głową.

- To byłaby gruba przesada. Bardzo ich kocham, ale jak raz wejdę do tego domu, już nigdy się z niego nie wydostanę. A na to na razie nie jestem przygotowana.

- W takim razie sprzedaj farmę i przenieś się gdzieś bliżej miasta.

- Nie mogę.

Miała nadzieję, że lakoniczność jej odpowiedzi zniechęci Mace'a do dalszych pytań. Mace jednak otworzył usta, by pytać dalej, i w tym samym momencie Tala poczuła na karku czyjś ciepły oddech. Odwróciła się i ujrzała Sophie. W ogóle nie słyszała jej kroków.

Słonie potrafiły poruszać się bezszelestnie. Sophie oplótła trąbą warkocz Tali i mocno pociągnęła. Tala zachwiała się i o mało nie upadła, rękami osłaniając głowę.

- Sophie! Zostaw! - krzyknął Mace.

Słonica spojrzała na nich ze zdziwieniem, puściła warkocz i oddaliła się z godnością.

- O co jej chodziło? - spytała Tala słabym głosem, masując sobie głowę.

Niby nic się nie stało, ale przecież Sophie mogła zerwać jej skalp albo po prostu unieść ją za warkocz do góry i zrobić nią młynka jak podczas cyrkowego numeru. Tala była naprawdę przerażona.

Mace objął ją ramieniem.

- Wszystko w porządku, kochanie. Nie mogła się uspokoić.

- Czego ona chciała? Mace opuścił ramię.

- Musimy o to zapytać Pete'a, to on jest znawcą słoni, ale wydaje mi się, że Sophie uważa twój warkocz za coś w rodzaju trąby i nie może się nadziwić, że nosisz ją z tyłu, a nie z przodu. Pewnie oczekiwała, że ty też zainteresujesz się jej trąbą.

- Biedna Sophie! Myślisz, że się na mnie obraziła?

- Nie sądzę. Jest niezwykle wyrozumiała dla ludzkich istot. Chyba tylko trochę się zdziwiła.

- Wróci tu, kiedy ją zawołam?

Strach zniknął bezpowrotnie. Sophie po prostu chciała ją bliżej poznać, zrobiła to w dobrej wierze. Nie jej wina, że waży kilka ton.

- Pamiętaj, z nimi zawsze musisz być stanowcza. Nigdy nie krzycz, ale mów do nich głosem nie znoszącym sprzeciwu. Mają cię lubić, ale i szanować.

Tala wzięła głęboki oddech.

- Sophie! Chodź tutaj! - krzyknęła.

Po chwili zza ogrodzenia ukazał się szary pagórek. Zbliżał się do nich powoli, jakby z wahaniem.

- Co mam robić, Mace? - spytała szeptem Tala. Sophie uniosła trąbę.

- Podrap ją po języku.

- Co takiego?

- Podrap. One to uwielbiają.

Tala wspięła się na palce i zaczęła drapać szorstką powierzchnię języka słonicy. Zupełnie jakby dotykała szmergla. Nie było to

specjalnie miłe, lecz Sophie wydawała się zadowolona z przeprosin. Po pewnym czasie Tala pytająco spojrzała na Mace'a.

- Mogę już przestać? - zapytała.

- Chyba tak. Sophie, idź do siostrzyczek. Słonica opuściła trąbę i ruszyła w stronę pastwiska.

- Nigdy nie wiem, Mace, jak mam z nimi postępować - pożałowała się Tala. - Robię coś, a potem się okazuje, że wszystko wychodzi nie tak, jak chciałam.

- Musisz zawsze pamiętać, że one mają własny kodeks postępowania - pouczył ją Mace. - Problemy zaczynają się wtedy, kiedy my, ludzie, przekraczamy jego reguły. A teraz, zmieniając temat, może byś chciała wziąć Maleńką na spacer?

- Pete będzie zły.

- Przecież go nie ma, a ona jest bardzo łagodna i powinna rozruszać tę chorą łapę.

- Aleja się boję.

- To normalne.

Mace rozpiął marynarkę; na biodrach miał umocowany pas z bronią.

- To środek usypiający? - zapytała Tala.

- Nie, naboje. Jeśli Maleńka rzuci się na któreś z nas, nie będzie czasu, żeby czekać, aż środek odurzający zacznie działać. Nie spodziewam się jednak ataku z jej strony.

Maleńka powitała Talę z wielkim entuzjazmem.

- Czy pozbawiła cię już wszystkich zimowych zapasów? - Tala włożyła rękę między pręty i podrapała lwicę za uszami. - Przywiozłam trochę zamrożonego mięsa, starczy nam na jakiś czas.

- Wczoraj po twoim wyjściu przywieźli karmę z zoo, więc dziś rano dostała już swoją porcję. Pewnie dlatego tak wylizuje łapy; chce pożreć wszystko do ostatniego skrawka.

Tala uniosła na niego pytające spojrzenie.

- To znaczy, że przez pewien czas nie będzie głodna?

- Następny posiłek dostanie dopiero po południu. To częściej niż na wolności, ale musimy dawać jej więcej, żeby zwiększyć jej system odpornościowy. Po południu damy jej mrożonki z twojego transportu.

Sięgnął po coś, co przypominało długi żelazny łańcuch zakończony skórzaną obrozą. Tala wzdrygnęła się.

- Nie przejmuj się, sam jej to założę. Chyba nie pierwszy raz będzie spacerowała na smyczy, bo przecież chowała się w niewoli. A teraz nie podchodź.

Maleńka spojrzała na niego rozumnie, jakby doskonale wiedziała, co ją czeka. Pozwoliła założyć sobie obrozę, spokojnie wyszła z klatki i stanęła przy nogach Mace'a.

Podał Tali grubą skórzaną rękawicę.

- Załóż to. Jak szarpnie, łańcuch może ci zerwać skórę z ręki.

Maleńka nie przejawiała jednak ochoty do energicznych ruchów. Ranna łapa zbyt dawała się jej we znaki. Szła obok Tali niczym dobrze ułożony, wielki pies. Tala jednak miała pełną świadomość, że nie prowadzi na smyczy psa.

- A jak na nią reagują dziewczęta? - zapytała, nie spuszczając lwicy z oka.

- Nie zwracają na nią uwagi. Dopóki siedzi w klatce, dla nich nie istnieje. Zresztą jest o tyle od nich mniejsza, że jej się nie boją. Zawsze mogą ją rozdeptać, jak im się narazi. Zazwyczaj nawet tygrysy zostawiają słonie w spokoju. Słonie mają tylko jednego naturalnego wroga. Człowieka.

Tala pogłaskała lwicę po łbie.

- Jak do tego doszło, że zrobiliście to wszystko? - Oczami wskazała rozległy teren.

- Najpierw Pete kupił ziemię, ja zjawiłem się dopiero później. Byłem już na emeryturze, nie miałem nic do roboty, a Pete potrzebował kogoś do papierkowej pracy. Ten rezerwat to jego pokuta, nie moja.

- Pokuta?

- Długo by o tym mówić. Zresztą to nie należy do mnie. Powiedzmy, że Pete czuje się winny, bo kiedyś zrobił coś, co skrzywdziło kogoś bardzo mu bliskiego.

Nigdy sobie tego nie wybaczył. Słonie to wyczuwają. Zauważyłaś, jak na niego reagują?

- Tak, ale myślałam, że tak mi się tylko wydaje - przyznała Tala.

- Nie. Słonie go tolerują, ale nie okazują mu żadnych uczuć. Pete zawsze był dość zamknięty w sobie. To częściowo moja wina. Kiedy umarła moja żona, przestałem pokazywać się w domu. Pete miał sześć lat, właśnie poszedł do szkoły. Ja spalałem się w pracy, a jego zostawiałem z opiekunkami. Uważałem, że w ten sposób szybciej

zapomni o matce i nie będzie cierpieć tak strasznie jak ja. Myliłem się. Mój syn rósł, umacniając się w przekonaniu, że jedynym sposobem na to, żeby nie cierpieć, jest unikać ludzi i nie dopuszczać ich zbyt blisko do siebie. A potem, kiedy w końcu spotkał kogoś...

Gdy urwał, spojrzała na niego błagalnie.

- Bardzo cię proszę, powiedz mi - szepnęła.

Musi to wiedzieć. Jeśli Pete nie potrafi nikogo kochać, lepiej żeby się o tym dowiedziała teraz, zanim będzie za późno. Jeśli już nie jest za późno.

- Razem pracowali w Ohio. To była urocza dziewczyna, na imię miała Val. Mieszkali razem. Myślałem, że zamierzają się pobrać.

- Porzucił ją?

- Umarła. Zginęła przypadkowo, w czasie pracy, ale on myśli, że to przez niego. Nie znam szczegółów. Powinnaś zapytać Pete'a. Ja wiem tylko, że zginęła.

- To straszne.

- Pete wszystko zostawił i wyjechał do Malezji. Przez trzy lata nie dawał znaku życia. Potem pewnego dnia zjawił się na progu mojego domu, powiedział, że zakłada rezerwat i zapytał, czy nie zechcę mu pomóc przy księgowości i różnych sprawach związanych z wyrabianiem pozwolenia, i tak dalej. Nigdy nie miał zbyt łatwego kontaktu z ludźmi.

- Zauważyłam.

- Przed śmiercią Val zawsze miał za to doskonały kontakt ze zwierzętami. Potem to się zmieniło. Coś w nim pękło, nosi w sobie ciężar i nie może złapać równowagi. Zwierzęta to wyczuwają.

- Tkwi zamknięty w klatce. Jak Maleńka.

- I jak każde zwierzę nienawidzi swojego więzienia, ale nie wie, jak się z niego wydostać. - Mace spojrzał na nią z ukosa. - Sam tego nie dokona.

Nie patrz tak na mnie, pomyślała. Nie potrafię zapanować nad własnym życiem, więc tym bardziej nie potrafię komukolwiek pomóc.

Pete nie mógł się zdecydować, czy woli opuścić rezerwat Ann i Jima Hildebrandów wcześniej i zdążyć spotkać się z Talą, czy - przeciwnie - wrócić do rezerwatu, kiedy jej już nie będzie. Z jednej strony, bardzo chciał ją zobaczyć, z drugiej, wiedział, że dla obojga byłoby lepiej, gdyby krążyli po własnych, osobnych orbitach.

Z zazdrością patrzył na Hildebrandów. Mieli siebie. Ciekawe, czy mogliby prowadzić rezerwat dla drapieżników, gdyby mieli również dzieci? Rezerwat pochłaniał cały ich czas i wszystkie pieniądze. Jim, podobnie jak Pete, pracował jako weterynarz.

Przed spotkaniem Tali nigdy nie myślał o rodzinie - jak by to było, gdyby miał żonę, dzieci, spotkania w szkole, kupowanie ubrań, nowych butów, prawdziwy dom, hipotekę.

Kiedy był z Val, myślał tylko o pracy. Był przekonany, że jej wystarczy to samo.

Czy istnieje jakiś sposób na pogodzenie życia rodzinnego z prowadzeniem rezerwatu dla słońi? Czy rodzina Newsome'ów kiedykolwiek zgodzi się na niego jako ewentualnego kandydata do ręki Tali?

Irene Newsome na pewno do niczego Tali nie zmusi, ale będzie wywierała lekką psychiczną presję. Według niej, pewnie praca w sklepie jest czymś o niebo bardziej godnym szacunku niż życie z facetem, który hoduje słońie.

Ponadto przecież Pete byłby czymś w rodzaju rywala jej nie żyjącego syna. Irene nie może nie widzieć w zainteresowaniu synowej innym mężczyzną zdrady, swego rodzaju nielojalności wobec zmarłego męża, ojca Rachel i Cody'ego. Dzieci Tali odczuwają to tak samo.

Wyjechał z za zakrętu, ujrzał fragment zagrody dla słońi i spojrzał na zegarek. Serce biło mu jak nastolatkowi. Zobaczy ją czy nie? Powinna jeszcze być. Jak się zachowa? Czy uda, że tamtych pocałunków wcale nie było?

Jak zareaguje na wiadomości o dalszych losach Maleńkiej? Bardzo się do niej przywiązała. On zresztą też polubił wielkiego kota.

Podjechał pod bramę i w tej samej chwili ujrzał Talę, jak idzie z dwoma naręczami lucerny. Nie zdążył wyskoczyć z samochodu, a już rzuciła swój ciężar i przybiegła otworzyć mu bramę. Poruszała się zupełnie niesamowicie.

Szczupła, a jednocześnie niesłychanie zgrabna i kobieca. Odrzuciła warkocz do tyłu i uśmiechnęła się do niego.

Wszystkie wątpliwości gdzieś zniknęły.

Wjechał i zaparkował samochód, a Tala zamknęła bramę i podeszła do niego z rękami w kieszeniach, nagle jakby czymś

onieśmielona. On też czuł się nieswojo po tym, co zaszło w nocy. A przecież tylko ją pocałował.

- Załatwiłem sprawę - oznajmił schrypniętym głosem.

- Jaką sprawę? - zapytała.

- Znalazłem dla Maleńkiej nowe miejsce. Twarz Tali pobladła.

W oczach ukazała się pustka.

- Rozumiem... - I po dłuższej przerwie: - Kiedy stąd wyjedzie?

Nie mógł znieść bólu w jej głosie. Wyjął jej rękę z kieszeni i mocno uściskał.

- Wiedziałaś przecież, że nie możemy jej tutaj trzymać wiecznie.

Tala wyprostowała się; teraz czubkiem głowy prawie sięgała mu do podbródka.

- Wiem. Kiedy stąd odejdziesz? - zapytała drżącym głosem.

Zaprowadził ją do domu i posadził w fotelu. Nie patrzyła mu w oczy.

- Znalazłem rezerwat specjalnie przeznaczony dla dużych kotów - wyjaśnił.

- Duże... tam mają... klatki?

- Nie klatki, teren jest ogrodzony. Są tam drzewa, trawa, pagórki, jest dużo bieżącej wody, doskonałe jedzenie i opieka lekarska. Jim Hildebrand jest weterynarzem, specjalizuje się w drapieżnikach.

Tala skinęła głową, a on ujął jej rękę.

- Zawsze będziesz mogła ją odwiedzić. To jest tylko jakieś sto pięćdziesiąt kilometrów stąd.

- Chciałabym, żebyśmy ją odwieźli z powrotem do Afryki.

- Ona nigdy nie żyła w Afryce. Urodziła się tutaj i tutaj wychowała, przez całe życie mieszkała z ludźmi. Nie dałaby sobie rady sama.

- Wiem. Naprawdę wiem, ale ja tak bardzo będę za nią tęsknić.

- Mogę ci przyrzec, że nigdzie stąd nie wyjedzie, dopóki jej do końca nie wyleczę.

Tala uśmiechnęła się szybko.

- To bardzo dobrze.

Zacisnęła kurczowo ręce na jego dłoniach. Były bardzo małe, bardzo delikatne i bardzo gorące.

- Najcięższa rzecz, jakiej nauczyłem się w życiu - rzekł Pete łagodnym głosem - to to, że musimy umieć rozstawać się ze zwierzętami, które pokochaliśmy.

- To dotyczy nie tylko zwierząt - szepnęła. - Również i ludzi.

Spojrzała na jego rękę głaszczącą jej dłoń i dodała:

- Zabraliśmy ją na spacer.

- Co zrobiliście?

- Wszystko poszło świetnie. Ona jest łagodna jak baranek. Zupełnie jakbym prowadziła dużego psa. Mace szedł tuż obok z bronią.

- Ja go zabiję. - Pete zerwał się na równe nogi. - Ty nie masz doświadczenia w tych sprawach, ale on powinien wiedzieć, czym to grozi.

Próbowała go uspokoić.

- Nie przejmuj się tak. Nie powinnam była ci mówić. Mace powiedział, że zachowasz się głupio.

- Ja? Ja jestem... głupi?

- Ona potrzebuje spaceru. Przecież to też należy do reguł gry. Robić, co najlepsze dla zwierzęcia.

- Ale nie w sytuacji, kiedy to zagraża... tobie. Ruszył ku drzwiom z brodą wysuniętą do przodu, gotów

do boju. Pobiegła za nim i chwyciła go za ramię.

- Pete! Zaczekaj, posłuchaj, nic mi nie groziło. Ani mnie, ani Mace'owi. Miał broń, ale była niepotrzebna. Małeńka szła grzecznie przy nodze jak duży pies. Widać,

że nieraz spacerowała na smyczy. Zresztą, Mace przedtem nakarmił ją tak, że ani jej w głowie było nas zjadać.

- Drapieżnik nie musi być głodny, żeby...

- Mace mówi, że musi. Musi być głodny albo zdenerwowany, albo źle traktowany. A w jej przypadku tak nie jest. Ona tylko wobec ciebie... - przerwała, widząc, że się zagalopowała. - Przepraszam, ja wcale tak nie myślałam.

Spojrzał jej prosto w oczy.

- Oczywiście, że tak myślałaś. - Przeczesał ręką włosy. - Chyba powinnaś już jechać do szkoły po dzieci.

Spojrzała na zegar przy komputerze.

- Mam jeszcze godzinę.

- Możesz już iść. Nie masz tu nic więcej do roboty. W jej oczach dostrzegł wyrzut.

- Miałam sporo, zanim się zjawiłeś i zacząłeś mi przeszkadzać.

Wstała i pobiegła do samochodu. Pete podążył za nią.

- I zrób coś z włosami. Masz w nich pełno siana.

Chyba nie chcesz dzieciakom narobić wstydu przed kolegami.

Zatrzymał się i już dalej za nią nie poszedł. Tala sama otworzyła bramę, a potem zamknęła ją za sobą.

Jak mógł powiedzieć coś tak przykrego? Dlaczego nie złapał jej w objęcia, nie zerwał z niej ubrania i nie kochał się z nią tu, w swoim małym pokoiku? Zamiast tego wolał ją zranić. Zupełnie jak mały chłopiec, który ciągnie za warkocz koleżankę, w której się podkochuje. Ale on przecież jest już dużym chłopcem, a mimo to atakuje, bo próbuje się bronić, na zapas, z wyprzedzeniem. Tymczasem jego „przeciwnik” nawet nie wie, że znajdują się na ringu i walczą na śmierć i życie. Zresztą konkretnie ten „przeciwnik” należy do innej kategorii wagowej i cała walka jest nie fair. Poczuli, że jest głupi i okrutny. Niedługo zaczną wyrywać skrzydełka motylom...

Właściwie powinien dogonić ją, wziąć w ramiona i wyznać, że jest beznadziejnym głupcem, niegodnym zamieszkiwać tę samą planetę co ona. Zamiast tego kopnął tylko stojącą przy bramie taczkę z taką siłą, że przez moment myślał, że złamał sobie nogę. Z ulgą przyjął ten ból. Zasłużył na coś znacznie gorszego.

Odprowadził taczkę pod zagrodę dla słońi, lecz w uszach stale miał trzask zamykanej bramy. Czuł się podle. Był zły i nikczemny. Nie potrafił kochać i wszystko niszczył.

Wiedział, że musi coś zrobić. Biedny, mały chłopiec, któremu warkocz koleżanki przesłonił wszystko...

Tala dodała gazu i mknęła przed siebie, chcąc uciec jak najdalej od tego miejsca i tego człowieka. Jak mogła się z nim całować, myśląc, że on cokolwiek czuje? Pete nie czuje nic, bo nie jest do tego zdolny. On nienawidzi ludzi, a najbardziej pewnie nie lubi dzieci. Widziała, jak patrzył na Rachel i Cody'ego.

Spojrzała na zegarek. Było jeszcze wcześniej, opuściła rezerwat godzinę przed czasem, ale jeśli on myśli, że jej to potraci z pensji... Niedoczekanie!

Odrzuciła warkocz na plecy i zerknęła w lusterko. Rzeczywiście, ma we włosach żdźbła siana, ale czy to zaraz znaczy, że wygląda jak kocmołuch i dzieci muszą się jej wstydzić? Cody niczego nie zauważy, ale Rachel pewnie tak.

Nie znosiła tego warkocza. Od dawna. Od jego ciężaru bolała ją głowa, a dzisiaj z jego powodu o mało nie została oskalpowana. Przeszkadzał jej w pracy i miała go dość.

Adam uwielbiał jej długie włosy. Mówił, że wygląda jak indiańska dziewczyna. Nie obcinała ich tylko ze względu na niego.

Wyjechała na główną ulicę miasteczka i nie zwracając uwagi na trąbiące na nią samochody, energicznym łukiem zajechała pod salon fryzjerski.

Z impetem otworzyła oszklone drzwi. Estelle siedziała i czytała jakieś ilustrowane pismo.

- Umyć ci włosy? - zapytała, nie wstając.

Tala nagle poczuła, że uginają się pod nią nogi. Siłą przewyciężyła chęć ucieczki i mocno przytrzymała się klamki. Zaniknęła oczy, a potem otworzyła je szeroko i wpatrzyła się we fryzjerkę.

- Stało się coś?

Tala zamrugła powiekami.

- Możesz mi obciąć włosy, ale szybko, bo zaraz muszę jechać po dzieciaki? - zapytała jednym tchem.

Estelle odłożyła magazyn i uniosła się z krzesła.

- Jasne. Teraz jestem wolna. Klientki przyjdą dopiero po czwartej, po pracy. Zaraz ci podetnę końcówki.

Tala wzięła głęboki oddech jak przed skokiem do wody.

- Chciałabym, żebyś mi je obcięła bardzo krótko, tak na chłopaka.

Estelle jęknęła.

- Nie ma mowy. Zawsze miałaś długie włosy.

- Najwyższy czas z tym skończyć.

- Ja tego nie zrobię.

- W takim razie znajdę kogoś innego.

- Nikt w naszym mieście tego nie robi. Co w ciebie wstąpiło?

- Trudno, sama je sobie obetnę. Tala odwróciła się i nacisnęła klamkę.

- Nie! - krzyknęła Estelle. - Natychmiast wracaj i powiedz mi, o co właściwie chodzi.

- Nie traćmy czasu. - Tala wzięła pierwsze z brzegu ilustrowane pismo i przerzuciła strony. - Właśnie o to mi chodzi. - Wskazała zdjęcie fryzjerce. - Zrób mi coś takiego.

Estelle wzięła od niej pismo z obawą i wstrętem, jakby dotykała żmii, a potem zdumiona spojrzała na Talę. Ta wytrzymała jej spojrzenie.

- Możesz mi tak obciąć włosy? Dobrze mi w nich będzie?

- Pewnie, masz taką śliczną, kształtną buzię... I świetne włosy. Byłoby ci bardzo ładnie w takiej fryzurze, ale czy ty się naprawdę dobrze zastanowiłaś?

- A jak długo będą odrastały? Estelle pokręciła głową.

- Nie wiem. Całe lata.

- Ale kiedyś znowu odrosną?

- Myślę, że tak.

- Jak długo ja noszę ten warkocz?

- Od zawsze, już w szkole miałaś warkocz.

- No to najwyższy czas zmienić fryzurę. Do dzieła.

- Pani Irene Newsome mnie zabije.

- To moje włosy.

Estelle przez moment nad czymś się zastanawiała.

- Dobrze, obetnę ci włosy, ale pod warunkiem, że zgodzisz się, żebym zrobiła z nich warkocz. Mogłabyś go sobie potem przypinać. Nie pozwolę ci zmarnować czegoś tak pięknego.

- Taka robota jest bardzo droga, nie mam na to pieniędzy.

- Nie wezmę dużo. A przy okazji ułagodzimy Irene.

- Dobrze. Zaczynamy. Jestem potwornie zdenerwowana i jeszcze muszę odebrać dzieci.

- Mówiłam ci, ty wstrętny potworze, żebyś nie plątał mi się pod nogami, kiedy czekamy na mamę. - Rachel wsiadła do samochodu z naburmuszoną miną.

„Wstrętny potwór” nie pozostał jej dłużny.

- Sama jesteś obrzydliwa. „Ojej, Kevin, ale to cudowne, wspaniale, Kevin, jak ty coś powiesz”, można zwymiotować! - Cody spojrzał w niebo i zanucił: - Rachel ma chłopaka, Rachel ma chłopaka!

- Zamknij się!

- Macie oboje być cicho! Zapadła cisza. Tala przełknęła ślinę.

- Jak było w szkole? - zapytała z wysiłkiem.

Pytanie zabrzmiało beznadziejnie i poczuła się jak stara nudna matka, która potrafi tylko marudzić. Nic dziwnego, że dzieci ledwo ją tolerują. Odpowiedział jej zniechęcony dwugłós.

- Dobrze, mammo.

W chwilę potem Rachel wrzasnęła jak oparzona. Tala mocniej chwyciła kierownicę.

- Twoje włosy! Co ty zrobiłaś z włosami? - Rachel podskoczyła na siedzeniu, opadła i znowu wstała.

- Mammo? - zapytał z wahaniem Cody. - Co ty... Ty obcięłaś włosy?

Głos mu się załamał i zaczął chlipać.

- Uspokójcie się - rzekła spokojnie Tala. - To przecież tylko włosy, a nie trepanacja czaszki.

- Ale dlaczego? - dociekała Rachel. - Dlaczego to zrobiłaś? Miałaś takie piękne włosy. I tata tak bardzo je lubił.

- Taty nie ma, a włosy bardzo mi przeszkadzały. Zresztą chciałam coś zmienić.

Czy ona naprawdę musi się przed nimi tłumaczyć z tego, że obcięła sobie włosy?

- Mammo, mammo... - rozbeczał się Cody.

Rachel zamilkła. Tala czuła na sobie jej uważne spojrzenie. Cisza zrobiła się trudna do zniesienia.

Gdy wjechali na podjazd przed domem, Cody wyskoczył z samochodu i bez słowa pobiegł do środka. Rachel powoli, z ociąganiem, wysiadła za nim. Zaraz pójdzie i powie babkom, że Tala obcięła sobie głowę... Rachel jednak zatrzymała się i spojrzała na matkę z taką wściekłością, że Tala zachwiała się.

- To wszystko przez niego! - syknęła. - Zrobiłaś to dla niego!

Wpadła do domu i pobiegła na górę; jej kroki głucho zadudniły po schodach.

- Co tu się dzieje? - W głębi korytarza rozległ się głos Irene. - Co napadło te dzieciaki? Jezus, Maria, Talu!

Rozdział 8

Następnego dnia rano jechała do rezerwatu z mocnym postanowieniem, że jeśli któryś z Jacobich piśnie coś krytycznego o jej włosach, to go zabije. Pete siedział w gabinecie, pił kawę i czytał gazetę. Wyglądał na kogoś, kto przez ostatni rok nie zmrużył nawet oka.

- Dzień dobry - rzekła Tala, czekając na reakcję.

- Witaj. - Rzucił na nią okiem. - Wyglądasz jakoś inaczej, chyba coś zrobiłaś z włosami...

Tala powiesiła kurtkę na gwoździu przy drzwiach.

- Podoba mi się - stwierdził Pete. - Wyglądasz tak jakoś... seksownie.

Odwróciła się ku niemu.

- Podoba ci się? Naprawdę?

- Pewnie.

Mace zajrzał i zatrzymał się w progu.

- Ty, kochanie, jak masz ochotę coś zmienić, to już idziesz na całego.

- Tylko nie zaczynaj... Uniósł ręce i roześmiał się.

- Poddaję się, nie moja sprawa. Ale Sophie się zdziwi.

Tala chciała się roześmiać, lecz głos uwiązł jej w gardle, a ramiona zaczęły drżeć. Złapała kurtkę i wypadła na zewnątrz.

- Co jej jest? - Pete zdziwiony spojrzał na ojca.

- Idź za nią, głupcze. Ona płacze.

- Ale dlaczego?

- Idź, mówię ci, bo cię wydziedziczę.

Pete wybiegł w ślad za Talą, nawet nie biorąc kurtki. Na dworze panował ziąb. Ślady stóp wiodły dokoła zagrody słoni ku klatce Maleńkiej.

Tala siedziała na beli lucerny z twarzą ukrytą w dłoniach. W krótkich włosach wyglądała jak mały leśny elf. Pete podbiegł, ukląkł obok i wziął ją w ramiona.

- Co ja takiego zrobiłem?

Tala lekko się cofnęła, a potem poddała.

- Nie płaczę dlatego, że coś zrobiłeś. To znaczy, coś zrobiłeś, ale nie o to chodzi. - Otarła łzy i głęboko westchnęła. - Pół nocy przekonywałam moje teściowe i moje dzieci, że nie zamierzam wyjechać do Nowego Orleanu i zatrudnić się tam jako tancerka tylko

dlatego, że obcięłam włosy. Potem przyjeżdżam tutaj i wy... wy jesteście dla mnie tacy mili.

- Przecież to tylko włosy.

- Dla mojej rodziny i całego tego cholernego miasteczka moje włosy mają symboliczną wartość rosyjskiej ikony.

Pete przysiadł obok niej na beli lucerny.

- W takim razie dlaczego je obcięłaś?

- Miałam ich dość. Były strasznie ciężkie, stale bolała mnie głowa, nigdy nie mogłam ich dosuszyć. Chciałam coś zmienić.

Pete przechylił głowę.

- No to ludzie mają rację. To było symboliczne.

- Ale dlaczego?

Zwrócił ku sobie jej twarz i ujął ją w dłonie.

- Zmieniłaś się i to ich przestraszyło.

Pocałował ją delikatnie. Zesztywniała, a potem odwzajemniła pocałunek. Wkrótce stał się szalony, namiętny. Tala objęła Pete'a, tuląc się do niego całym ciałem. Nigdy dotąd...

Złowrogi pomruk Maleńkiej rozległ się jak daleki grzmot, który zbliżał się niebezpiecznie. Tuż obok nich lwica zmrużyła żółtawe oczy. Oderwali się od siebie. Tala wstała i poszła w stronę domu.

Pete jeszcze przez chwilę leżał na beli lucerny.

- Bardzo ci dziękuję - rzucił w stronę lwicy, która patrzyła na niego złym wzrokiem, zupełnie jak trener, który zaskoczył swojego najlepszego zawodnika z dziewczyną w łóżku w przeddzień decydujących rozgrywek.

Pomruk rozległ się znowu.

- Zamknij się, już swoje zrobiłaś, wszystko popsułaś. Następnym razem zarzucę ci koc na klatkę i będziesz siedziała cicho. Zrobię to, przysięgam.

Cichy grzmot towarzyszył mu, kiedy odchodził.

Maleńka jest zazdrosna. Ta cholerna lwica jest zazdrosna o Talę. A do tego wszyscy się jej boją. Irene, Vertie, dzieciaki. Najgorsze, że on sam też się bał.

Pracowała jak szalona. Nie poszła do przyczepy na lunch, tylko zjadła swoją kanapkę pod klatką lwicy, dzieląc się z Maleńką tuńczykiem.

Pete zdawał się jej unikać tak samo starannie, jak ona unikała jego. Zaraz po ich rozmowie pojechał swoim dziwnym pojazdem

daleko na pastwiska. Tala szukała schronienia u lwicy, a on - wśród słoni. Które z nich dwojga było bardziej szalone?

Po prowizorycznym lunchu Tala zamknęła się w „gabiniecie” przy komputerze i pogrążyła w administracyjnej pracy. W pudle po butach znalazła mnóstwo świstków i papierków, które należało uporządkować i wprowadzić do komputera, by sporządzić listę ewentualnych darczyńców. Rezerwat potrzebował sponsorów, a nikt dotąd skutecznie o to nie zabiegał.

Praca szła powoli, ponieważ Mace i Pete, jak na lekarzy przystało, mieli zupełnie nieczytelny charakter pisma i Tala dopiero po godzinie nauczyła się odcyfrowywać ich hieroglify. Charakter pisma mieli bardzo podobny i w grancie rzeczy nieczytelny. Około drugiej zjawił się Mace, przyniósł coś do picia i usiadł obok przy biurku.

- Zrób sobie przerwę, należy ci się.

- Nie mogę - odparła zaaferowanym głosem. - To idzie wolniej, niż myślałam, a nie chcę kończyć w czasie weekendu. Muszę to dzisiaj zrobić, żebyście mogli w przyszłym tygodniu wysłać to wszystko e - mailem.

- To nic pilnego. Nawet jeszcze nie przygotowaliśmy listów. - Wskazał palcem komputer. - Skoro jesteś w tym taka dobra, to dlaczego pracowałaś w Food Farm, a nie w jakimś biurze?

Tala zaczerwieniła się.

- Nauczyłam się obsługiwać komputer w szkole, a potem wzięłam kilka dodatkowych lekcji, ale nigdy nie miałam czasu ani pieniędzy, żeby skończyć jakiś specjalistyczny kurs. W naszym mieście nie ma dużo pracy, trzeba brać, co się tylko da.

- Przepraszam, nie chciałem być wścibski. Co powiedziawszy, brnę dalej w tym samym stylu. Powiedz mi, dlaczego twoja rodzina tak się uparła na te włosy? Znałem w życiu kilka kobiet i wiem, że zmienianie koloru włosów co pół roku to zwyczajna rzecz.

Tala przesunęła dłonią po swojej fryzurze. Dotyk był bardzo przyjemny.

- Zawsze miałam długie włosy, bo nie mieliśmy pieniędzy na takie fanaberie jak chodzenie do fryzjera. Po raz pierwszy obcięła mi je moja babka, kiedy miałam pójść do przedszkola. Zrobiła to nożycami do strzyżenia owiec i potem obcinała mi je zawsze, kiedy

strzygła owce. Potem przestała, bo doszła do wniosku, że długie włosy to jedyna ładna rzecz, jaką mam, i mogą się kiedyś przydać.

- Doprawdy urocze.

- Babka miała na imię Sakari, co znaczy słodka, ale wcale taka nie była. Okazało się jednak, że miała rację. Adam, mój mąż, uwielbiał moje włosy. Irene i Vertie też, ponieważ lubiły wszystko co on. Dlatego kiedy wczoraj mnie zobaczyły, uznały to za manifestację pewnej postawy. Zupełnie jakbym im oświadczyła: „Wasz syn, mój mąż i ojciec obecnych tu dzieci umarł i jest pogrzebany”. Rozumiesz, coś w tym rodzaju.

- A ty co myślisz? - Głos Mace'a był łagodny.

- Ja po prostu miałam dość długich włosów.

- I nie było w tym żadnej deklaracji niezależności? Tala pochyliła głowę nad klawiaturą komputera.

- Może trochę - przyznała po chwili. - Nigdy nie zapomnę Adama i zawsze będę należeć do rodziny Newsome'ów, ale muszę być sobą. Muszę odnaleźć siebie i żyć własnym życiem. Nie ma już Adama i nikt nie będzie za mnie podejmował decyzji.

- Twoja rodzina na pewno to rozumie, jeśli cię kocha. Jesteś jednak za młoda, żeby resztę życia spędzić sama.

- Za wcześnie o tym myśleć. - Odwróciła wzrok. Zupełnie jakby sama nie myślała o tym przez cały

czas. Powiodła dłonią po włosach; nie mogła się powstrzymać, żeby co jakiś czas nie sprawdzać, że naprawdę pozbyła się czarnej strzechy.

- Nieraz myślę - rzekła w zadumie - że Irene i Vertie najchętniej znalazłyby dla mnie jakiegoś sklonowanego Adama, kogoś, kto nie naruszyłby równowagi rodu, kogo mogłyby wchłonąć bez śladu. Robią to wszystko nieświadomie i najłatwiej jest po prostu im ulec.

- Czy uda ci się przekonać dzieci, że nie zapomniałaś o ich ojcu?

- Może. Rachel jest nieprzewidywalna, a Cody... Cody po pierwszym szoku chowa wszystko w sobie. Nie wiem, co naprawdę czuje. Dzieci nie znoszą zmian.

Śmierć Adama była dla nich szokiem tak ogromnym, że stale jeszcze nie ogarniam jego skutku. Dość już miały zmian, nie mogę im fundować jeszcze jednego wstrząsu. Gdybym tak teraz... - Urwała i spuściła oczy.

- Gdybyś tak teraz... - jak echo powtórzył Mace.

Zapadła cisza, przzerwana tylko hałasem puszek wrzuconej do kosza na papiery. Tala odstawiła swoją na stół z takim rozmachem, że trochę coli wylało się na biurko. Przetarła je rękawem.

- Tak oto wygląda moje życie. Muszę się jeszcze sporo nauczyć.

- Myślę, że i tak wyjątkowo dobrze dajesz sobie radę.

- Nie. Nie daję. Nie umiem być matką i pracować jednocześnie.

Nie umiem tego pogodzić. Nie jestem w tym, jak sądzę, osamotniona. Strasznie cię przepraszam, nie chciałam tego powiedzieć - dodała szybko, rozumiejąc, że popełniła gafę.

- Przecież to prawda. Ale tobie się uda, zobaczysz. Nie staraj się tylko robić wszystkiego naraz. A teraz jedź już po dzieciaki.

- Przecież wczoraj wyszłam wcześniej...

- To co? Ja tu jestem szefem. To znaczy, jednym z szefów.

- W takim razie dobrze, szefie.

Wyłączyła komputer i wstała od biurka. Zanim wyszła, szybko pocałowała Mace'a w czubek głowy.

- Dzięki za wszystko.

Pete wrócił do domu późnym popołudniem, już po wyjściu Tali. Chodził po obejściu i zrzędził, nie mogąc się zabrać za nic sensownego, aż Sweetie podeszła i bez uprzedzenia dała mu trąbą po głowie.

- Cholera jasna!

Nie rozwaliła mu czaszki, ale uderzenie było dość silne. Pete spojrzał w małe, czarne oczka i zaczął sobie masować czerep. Sweetie, spełniwszy swój obowiązek, oddaliła się posuwicie w ślad za siostrami. Wyglądały tak, jakby kolektywnie postanowiły przywołać go do porządku i wydelegowały w tej sprawie Sweetie. A może zgłosiła się na ochotnika...

Mace podszedł do klatki lwicy.

- Obiad podano.

Maleńka z apetytem zaczęła rozszarpywać mięso. Mace spojrzał znad okularów na syna.

- Znowu narozrabiałeś? A swoją drogą, chciałbym wiedzieć, co się dzieje między tobą a tą dziewczyną.

- To nie dziewczyna. To dorosła kobieta i matka.

- I co z tego?

- Ma obowiązki i musi je wypełniać. Wszystko inne powinno się znaleźć na drugim planie.

- Rozumiem, jesteś zazdrosny.
- Nie, nie jestem zazdrosny, bo ja też mam pewne obowiązki, chociaż nie mam dzieci.
- To nie jest zbyt wielka różnica, dzieci czy małe kociaki albo szczenięta.
- Tylko ty tak myślisz.
- Daj spokój.
- Ja nie mam pojęcia o życiu rodzinnym, tato. Jestem za stary, żeby się wszystkiego uczyć od początku. Zresztą, nawet gdybym był nadzwyczaj udaną kombinacją Apolla, Jamesa Bonda i Roberta Redforda, i tak nie mógłbym konkurować ze świętej pamięci Adamem Newsome'em. Bez względu na to, jaki naprawdę był, teraz wyrósł na bohatera i jako taki jest doskonały. A ja, jak sam wiesz, przeciwnie.
- On pewnie też nie był doskonały.
- Ale ma tę przewagę, że już go tu nie ma i nie może pokazać swoich wad. Może to i lepiej, bo nie chciałbym się wiązać z zamężną kobietą. Czy to bardzo źle, że tak o nim mówię?
- Nie znałeś go, dla ciebie jest całkowicie nierealny. Tala pewnie tak samo odbiera istnienie Val.

Pete odłożył widły i spojrzał ojcu prosto w oczy.

- Skąd ona wie o Val?
- Ode mnie. Powiedziałem jej, że mieszkaliście razem, ona umarła, a ty z jakichś powodów nie możesz sobie czegoś wybaczyć.
- Zostaw to.
- Prędzej czy później będziesz się z tym musiał uporać, synu.
- To moja sprawa. Przejadę się teraz.
- A co z kolacją?! - krzyknął za nim Mace.
- Kupię sobie kanapkę w mieście.

Pete wyszedł, trzaskając za sobą drzwiami, a Mace spojrzał na Malenką.

- Mógłby pomyśleć i o nas, prawda?

W chwilę później drzwi otworzyły się znowu i ukazała się w nich głowa Pete'a.

- Przywieźć ci coś? Mace skrzywił się.
- Nie, dziękuję, ale to bardzo miło z twojej strony, że o mnie pomyślałeś.

Drzwi znowu trzasnęły, a po chwili Mace zobaczył, jak land - rover szybko oddala się drogą.

- Wieczór zapowiada się miło i spokojnie - powiedział do siebie.
- Jeden lew, trzy słonie, stary człowiek i telewizor. Nie ma co mówić, życie jest piękne.

Spojrzał na słoniowe trio.

- Miejmy nadzieję, że ten idiota znajdzie drogę do łóżka Tali i da nam spokój do jutra rana.

Dziewczęta ze zrozumieniem zakołysały trąbami.

Pół godziny później Pete z kanapką w jednej dłoni, a kierownicą w drugiej, jechał w stronę domu Newsome'ów. Zupełnie przypadkowo droga wypadła mu właśnie wtedy i zupełnie przypadkowo sprawdził, czy półciężarówka Tali nie stoi na podjeździe. Kiedy jej nie zobaczył, serce mu zabiło mocniej. Może jest sama w swoim domu w lesie?

Pomyślał, że równie dobrze może wracać do rezerwatu przez Bryson's Hollow. Zapadł już mrok i gdy przejeżdżał obok domu Tali, nie od razu dojrzał jej samochód. Czy może do niej wpaść tak, bez zapowiedzi?

Pojechał szosą dalej i zawrócił na najbliższym skrzyżowaniu. Wokół była pustka. Tala mieszka na strasznym odludziu. W promieniu kilku kilometrów nie ma żywej duszy. Dalej też nie. Okoliczne gospodarstwa zostały opuszczone, ludzie powyjeżdżali, pagórki porosły krzakami i drzewami.

Jak ktoś może mieszkać na takim pustkowiu? Nic dziwnego, że dzieci nie chcą opuścić miasta. Dlaczego Adam Newsome uparł się tu trzymać rodzinę? I dlaczego Tala po jego śmierci tu została?

Ten gliniarz miał rację, mówiąc, że trzeba będzie do niej zaglądać w czasie nocnego patrolu.

Skręcił w wąską dróżkę i zobaczył półciężarówkę Tali stojącą przed domem. Może przywiozła dzieciaki do siebie, a może jest sama...

Otworzyła frontowe drzwi, zanim zdążył wysiąść z samochodu. Przemknęło mu przez myśl, że mógł kupić coś do jedzenia i pod tym pretekstem złożyć jej wizytę. Nagłe poczuł się niepewnie, jak szesnastolatek przed pierwszą randką.

Tala stała na ganku i nic nie mówiła.

- Właśnie przejeżdżałem i postanowiłem sprawdzić, czy bezpiecznie dotarłaś do domu.

- Wszystko w porządku.

Nie poprosiła, żeby wszedł. Stał z rękami w kieszeniach, nie wiedząc, co robić.

- Pete...

- Tala...

Odezwali się w tej samej chwili i leciutko uśmiechnęli. Wreszcie zrobiła ruch ręką.

- Wejdź, proszę. Napijesz się herbatki rumiankowej. Lubisz to?

- Pewnie.

Napiłby się herbatki z kwasem solnym, gdyby go poczęstowała. Poszedł za nią do wielkiej wiejskiej kuchni pomalowanej na żółto w czasach, kiedy ich oboje jeszcze nie było na świecie. Na ścianach wisały makaty domowej roboty, na dębowym, okrągłym stole leżał kremowy obrus. Wielkie dębowe krzesła okalały stół.

Wszędzie panowała nieskazitelna czystość i pachniało cynamonem.

- Siadaj, proszę.

Tala z wysokiego kredensu wyjęła biały kubek. Teraz do zapachów tego domu doszła jeszcze woń ciasteczek cynamonowych.

- Cody powiedział mi, że na jutro potrzebne mu ciasteczka - wyjaśniła. - Po treningu mają jakieś spotkanie i każdy obiecał coś przynieść. Wiedział pewnie o tym od tygodnia, ale zapomniał poprosić Lucindę. Zresztą pieczenie ciastek to moja specjalność. Jedna z niewielu, jeśli idzie o kuchnię.

Pochyliła się nad piecem i jej twarz zrobiła się różowa od żaru. Wyglądała jak anioł. Miała na sobie obcisłą koszulkę, pod którą rysowały się piersi. Pete szybko odwrócił wzrok.

- Nie mogę zjadać ciasteczek Cody'ego - powiedział, nerwowo przełykając ślinę.

- Nie przejmuj się. Napiekłam ich tak dużo, że starczy dla wszystkich. Jak mam kłopoty, to piekę ciasteczka.

Wyprostowała się.

- Sprawa włosów stale jest na wokandzie? - spytał z uśmiechem.

Tala napełniła kubki i usiadła na krześle.

- Nie, już przestali o tym mówić. Tylko Irene patrzy na mnie i wzdycha.

Sama też głęboko westchnęła. Miała bardzo obcisłe dżinsy i płaski brzuch, a niżej... Pete przymknął oczy, udając, że delektuje się

herbatą. Z trudem przypomniał sobie, o czym rozmawiali, ale nie potrafił przerwać ciszy. Zrobiła to Tala.

- Zawsze kiedy jestem zdenerwowana, piekę ciasteczka. A teraz jestem. Przecież my się właściwie nie znamy, nic o sobie nie wiemy. Coś się zaczyna dziać, a ja nie rozumiem nawet...

Pete próbował wstać, ale powstrzymała go ruchem dłoni.

- Zostań tam. Wolę, żeby między nami był stół.

- Przecież wiemy o sobie dużo różnych rzeczy - rzekł niepewnie.

- Nie - zaprzeczyła. - Wiem tylko, że jesteś największym dziwakiem, jakiego w życiu widziałam. Opiekujesz się jakimiś starymi słomami, zamiast pracować w klinice, robić pieniądze i karierę.

- Już to kiedyś robiłem.

- I co? Dlaczego przestałeś? Mace mówił mi, że zniknąłeś na kilka lat, a potem się zjawiłeś i założyłeś rezerwat dla słoni.

- Tak było.

- Mnie taka odpowiedź nie wystarczy. Ja tego nie rozumiem. Nie chcę się angażować w związek z kimś, o kim nic nie wiem, tylko dlatego, że wie, jaki guziczek nacisnąć.

Pete zerwał się zza stołu.

- Bardzo dziękuję ci za ciasteczka. Były naprawdę pyszne.

- Siadaj! Nie waż się stąd uciekać!

Zastygł, jakby porażony jej krzykiem. Potem spojrzał na nią, objął ją bez słowa i zaczął całować. Czuł teraz tylko zapach cynamonu i rumianku, i gładką skórę Tali. Po chwili próbowała wyswobodzić się z jego ramion, lecz jej nie pozwolił.

- Nie... - szepnął.

W kuchni panował upał, kurtka ciążyła mu jak ołów. Tala wyswobodziła się jednak z jego ramion i uniosła ku niemu oczy.

- Mace nigdy nie powinien cię zatrudniać. Powiniennem cię tamtej nocy odesłać do doktora Wiskowskiego. Trzeba było cię tam zawieźć, kiedy zjawiłaś się w moim domu z Maleńką.

Wyrecytował to jak słowa modlitwy, której żadne bóstwo nie chce wysłuchać.

- Maleńka by umarła - szepnęła i nagle roześmiała się. - Billy Joe chyba jednak ma rację...

- Dlaczego? - Pete spojrzał na nią zdziwiony. Tala wyswobodziła ręce z jego dłoni.

- Ostatnio jakoś tak się zachowuję, że każdy facet, który mnie widzi, dochodzi do wniosku, że ma przed sobą biedną wdowę, której trzeba pomóc w jej problemach. Widocznie wydzielam jakiś fluid, jestem spięta, i oni to widzą.

Pete zmarszczył czoło.

- Od razu pomyślałem, że ten gliniarz wpadł tutaj nie tylko służbowo.

- Billy Joe ma cudowną żonę i wspaniałe dzieci. Nigdy nie zrozumie facetów, choćbym żyła sto lat.

- To nie jest takie trudne. Jesteś samotna, mieszkasz na odludziu, a do tego jesteś wyjątkowo piękna.

- Wcale nie jestem piękna i nikogo nie potrzebuję, sama mogę zadbać o swoje potrzeby.

Pete uśmiechnął się; zabrzmiało to dwuznacznie i Tala się zarumieniła.

- Chyba wiesz, co miałam na myśli.

- Nigdy nie byłam żonaty i nie mam dzieciaków, które na mnie czekają w domu.

Milczenie Tali uświadomiło mu, że palnął straszne głupstwo.

- Rozumiem - odezwała się w końcu.

- Nie chciałem tego powiedzieć, to tylko tak głupio wyszło...

- Posłuchaj, panie nie wiadomo skąd. U nas w miasteczku, kiedy dziewczyna skończy szesnaście lat, musi mieć kogoś, kto ją obroni. Musi mieć w kimś oparcie. Wychodzi za mąż i ma dzieci, bo ludzie miewają dzieci, jak może wiesz, chociaż nie jestem pewna, czy wiesz. Mężczyźni w twoim wieku zwykle płacą już alimenty przynajmniej jednej pani.

- Nie chcę tego słuchać.

- Ale będziesz. Mace powiedział mi, że kobieta, którą kochałeś, umarła. To wszystko dlatego? Ja nie zamierzam konkurować z kimś, kto nie żyje.

- Ja też nie zamierzam.

- Co takiego?

- Nie zamierzam konkurować z kimś, czyje nazwisko nosi bank w mieście, największy magazyn, szkoła, księgarnia, poczta i kino, a czyja tajemnicza śmierć od pewnego czasu stanowi ulubiony temat rozmów w barze. Nie zamierzam konkurować z jego matką, babką i jego dziećmi, które patrzą na mnie tak, jakby mnie chciały poszczuć

psami, kiedy tylko widzą mnie blisko ciebie. Val przynajmniej spoczywa daleko stąd, w Cleveland.

- Ale jej duch jest tutaj z nami, w tej kuchni. W przypadku Adama tak nie jest. Adam byłby ostatnim człowiekiem, który by mi zakazał wiązać się z kimś innym. Nie wiem, jak było z Val, i dlatego chcę wiedzieć. Dlaczego ona musi nas dzielić?

- Bo ją zabiłem! Zabiłem ją, rozumiesz?!

Rozdział 9

Przez chwilę patrzyła na niego w milczeniu. Jej czarne oczy stawały się coraz większe.

- Nigdy w to nie uwierzę. Ty nie mogłeś nikogo zabić. Powiedziawszy to, z powrotem opadła na kuchenne krzesło i przysunęła sobie kopiały talerz ciastek. Nie spuszczać oczu ze swego gościa, zaczęła chciwie pożerać jedno po drugim.

- Nie zapomniałaś, że Cody miał je wziąć do szkoły? - zapytał wreszcie Pete.

- O Boże! - Gwałtownie odsunęła od siebie talerz i szybko włożyła do ust trzymany w ręku ostatni kawałek.

- Zawsze tak jem, kiedy jest mi smutno - wyjaśniła.

- Musisz mieć metabolizm gazeli.

- Nie zmieniaj tematu.

- Val umarła, bo nie zrobiłem czegoś, co powinienem był zrobić. To wszystko. Nie spełniłem swojego obowiązku i ona przyplącała to życiem.

- Sam wiesz, że to nie wszystko.

- Nie chcę o tym mówić.

Ujęła jego ręce w dłonie, spojrzała błagalnie w oczy.

- Proszę, Pete, powiedz mi. Opuścił ramiona.

- Dobrze, ale to nie będzie przyjemne.

- Kochałeś ją?

- Byłem zbyt zajęty pracą, żeby się nad tym zastanawiać. Bardzo się lubiliśmy. Było nam razem dobrze. Pracowaliśmy w tej samej klinice, wielkiej, znanej klinice. Mieszkaliśmy razem. Wszystko jakoś się układało.

- Jakoś się układało - powtórzyła jak echo.

Pete uniósł oczy i zamyślił się. Widać było, że wraca do wspomnień sprzed lat.

- Myślałem tylko o tym, żeby jak najszybciej zostać najlepszym i najbardziej znanym weterynarzem na świecie.

- Po to, żeby pokazać ojcu... - szepnęła.

- Tak, częściowo tak. Chciałem być tak dobry, żeby wreszcie musiał zwrócić na mnie uwagę. Dlatego bardzo ciężko pracowałem.

- A Val? Wystarczało jej to?

- Sądziłem, że tak. Oboje mieliśmy obowiązki...

- Jak rozumiem, ona nie była dla ciebie najważniejsza. Pete opuścił głowę.

- Nie. Ale miałem wrażenie, że ja również nie jestem dla niej najważniejszy.

- Jak sobie wyobrażałeś przyszłość?

- Nigdy o tym nie myślałem. Mgliście sobie wyobrażałem, że kiedyś, w przyszłości, możemy się pobrać, mieć dzieci. Odkładałem to na potem, kiedy już będziemy mieli prywatną praktykę, kiedy zrobimy karierę. Już wtedy bardzo dużo zarabialiśmy, ale nie śpieszyłem się. Sądziłem, że mamy jeszcze czas.

- A Val? Jak ona to odbierała?

- Nie wiem. Po pewnym czasie zaczęła mówić ludziom, że jesteśmy zaręczeni i zamierzamy się pobrać. Nie przeszkadzało mi to. Po trzech latach znajomości oświadczyła, że powinniśmy coś zmienić. Nie rozumiałem, o co jej chodzi.

- O małżeństwo.

- Nigdy tego nie powiedziała wprost. Prawdę mówiąc, ostatnimi czasy rzadko rozmawialiśmy. Zawsze widywaliśmy się w pośpiechu. Albo ona miała dyżur, albo ja, mijaliśmy się w domu. Wieczorem byliśmy tak zmęczeni, że nie starczało nam siły na pocałunek na dobranoc. Co z nas byłoby za małżeństwo? Uważałem, że trzeba jeszcze z tym poczekać. To właśnie próbowałem jej powiedzieć i wydawało mi się, że rozumiała.

- Jesteś tego pewien?

- Pewnego dnia, po wyjściu Val do pracy, znalazłem list, w którym proponowano jej, żeby została współwłaścicielem małej kliniki dla zwierząt w Beverly Hills. Niżej leżała kartka: "Jeśli nie masz dla mnie lepszej propozycji, wyjadę".

- Boże, ona...

- Zrozumiałem wtedy, że była w kontakcie z tamtymi ludźmi od dłuższego czasu, ale nic mi nie mówiła, a teraz tak po prostu zamierza wyjechać.

Złożył dłonie na stole, żeby powstrzymać ich drżenie.

- Dopiero wtedy zdałem sobie sprawę, jak wiele dla mnie znaczy. Zależało mi na niej, ale czułem, że próbuje wyrzucić na mnie presję, zmusić do czegoś, na co nie jestem jeszcze przygotowany. Przestraszyłem się, a kiedy się boję, przestaję nad sobą panować i robię się agresywny. Pojechałem do kliniki, wyciągnąłem ją z

gabinetu, badała właśnie jakiegoś pudła z zapaleniem ucha, i zrobiłem straszną awanturę.

Przerwał. Tala czekała bez słowa.

- Ja krzychałem na nią, ona na mnie, a w końcu zaczęła płakać. W końcu postanowiliśmy, że spokojnie rozmówimy się wieczorem w domu, po powrocie z pracy. Potem pojechałem zastąpić jednego z kolegów, który miał robić testy tuberkulinowe jakieś sto kilometrów od miasta. Sądziłem, że to dobry pomysł i że po drodze wszystko sobie przemyślę.

Ujechałem jakieś trzydzieści kilometrów i postanowiłem zawrócić, żeby z nią porozmawiać; nie chciałem czekać do wieczora. Val już w klinice nie zastałem. Pojechała z pogotowiem do zoo, wezwana do jakiegoś afrykańskiego słońca. Zazwyczaj ja jeździłem na takie wezwania. Słońce to była moja specjalność. Natychmiast pojechałem za nią, żeby jej pomóc. Potem zamierzałem ją przeprosić i oświadczyć się. Trzeba to było zrobić od razu, w pierwszej kolejności.

Opuścił głowę; patrzył teraz na swoje dłonie.

- Ale już nie miałem okazji tego zrobić.

- Jak to? Dlaczego?

- Słoń miał zranioną trąbę, takie długie głębokie cięcie. Zachodziła obawa, że wpadnie w szał.

- Dlaczego miał wpaść w szał?

- Samce wpadają w szał, kiedy z jakiegoś powodu poziom testosteronu podnosi się im ponad normę.

- I wtedy stają się agresywne?

- Tak. Bywa, że wtedy szaleją i niszczą wszystko dokoła. Tamten słoń z natury był spokojny, ale i tak na wszelki wypadek zastosowano dodatkowe środki bezpieczeństwa. Val wiedziała, że to konieczne.

- Może nie wiedziała, że on może być agresywny.

- Wiedziała. W takiej sytuacji, kiedy istnieje ewentualność, że słoń może wpaść w szał, na ogół odkłada się wszystkie zabiegi. W tym jednak przypadku nie można było czekać, chodziło o trąbę. Słoń z raną trąbą nie może jeść i umiera. Ponadto trąba bardzo łatwo ulega infekcji, trzeba było jak najszybciej zaszyć ranę i podać mu jakiś antybiotyk.

Pete przymknął oczy. Mówił dalej jak w transie; jakby oczami duszy widział opowiadaną scenę.

- Zrobiono wszystko, co trzeba, niczego nie zaniedbano. Pilnowało go czterech mężczyzn, kończyny miał unieruchomione łańcuchami. Val wstrzyknęła mu środek usypiający. Kiedy podszedłem do klatki, słoń już klęczał. Wyglądał na odurzonego. Na miejscu Val zachowałbym się tak samo.

- A co zrobiła?

- Spryskała środkiem odkażającym ranę i zamierzała, zanim zacznie szyc, zrobić mu jeszcze kilka zastrzyków wokół rany, żeby zapobiec infekcji. Krzyknąłem, że idę jej pomóc. Spojrzała na mnie i wbiła igłę.

Pete ukrył twarz w dłoniach.

- Musiała chyba trafić w nerw. - .. Nie wiem, nigdy się tego nie dowiem. Słoń podniósł się w jednej chwili. Usłyszałem hałas zrywanych łańcuchów i krzyknąłem, żeby uciekała. Uniósł ją w górę i cisnął o betonową podłogę. Do końca życia będę słyszał ten trzask. Doznała rozległych urazów czaszki i zmarła w drodze do szpitala. To już wszystko.

- To był wypadek. Straszny wypadek, ale ty nic tu nie zawiniłeś. To samo mogło się zdarzyć tobie.

- Ale to się nie zdarzyło mnie, tylko Val. Może gdybym jej nie zawołał, skupiłyby się i nie trafiła w nerw. Może zdążyłaby uciec? Może mogłem ją uratować? Może ja na jej miejscu dałbym większą dawkę środka usypiającego albo kazał założyć dodatkowe łańcuchy? Nie wiem, i już nigdy nie będę wiedział. Powiedzieć ci na zakończenie coś zabawnego? Kiedy ona umierała w karetce pogotowia, ja siedziałem w klatce i szyłem temu słoniowi ranę.

- Pete...

- Tylko to mogłem zrobić. Zabiłem ich oboje.

- Oboje? Potem zabito tego słonia? Pete pokręcił głową.

- Na początku chcieli to zrobić, ale tak długo walczyłem, aż zmienili zdanie. Nawet rodzice Val nie chcieli jego śmierci.

- W takim razie, kogo...

- Zrobiono sekcję. Na szczęście, rodziców Val przy tym nie było. Wrócili już do hotelu, kiedy lekarz mi powiedział, że... Val spodziewała się dziecka.

Spojrzała na Pete'a bez słowa, potem nagle się zerwała, podbiegła do niego i mocno go objęła. Najpierw się opierał, a potem położył głowę na jej ramieniu. Czują, że drży, wiedziała, że płacze.

Mogłaby się założyć, że płacze pierwszy raz w życiu. Nosił to w sobie przez cztery lata. Czy właśnie to wyczuwały w nim słonie? Tę rozpacz i ten straszny ból? Potem wstał i poszedł w stronę pokoju prowadzącego na ganek. Nie chciała, żeby teraz odchodził. Zerwała się z krzesła i pobiegła za nim.

- Pete! Poczekaj! Nie wychodź! Usłyszała dźwięk zamykanych drzwi.

- Pete!

Stał na ganku zapatrzony w mrok ogarniający podwórze. Przystanęła obok niego, nie dotykając go, ale tak blisko, żeby poczuł, że jest przy nim. Po bardzo długiej ciszy, która zdawała się trwać wiecznie, wreszcie zaczął mówić:

- To ja powinienem był zginąć, nie Val.

- To był po prostu ślepy los i nic więcej.

- Nie rozumiesz, o co mi chodzi. Straciłem nie tylko ją, straciłem również siebie. Byłem dobrym lekarzem zwierząt, bo pomiędzy mną a nimi istniała zawsze nieśmiałość porozumienia. I właśnie to zniknęło bezpowrotnie. Zwierzęta to wyczuwają, nie mają do mnie zaufania. Sama widzisz, jak traktują mnie moje słonie i Maleńka.

Zwrócił ku niej twarz, ale w ciemności nie dostrzegła jego oczu.

- Dlatego jestem tak strasznie zazdrosny o ciebie. Masz dar, który straciłem, tracąc Val. Kiedy ją odepchnąłem.

- Dlatego właśnie pojechałeś w świat? Po to, żeby odzyskać ten dar?

- Wtedy tak dokładnie tego nie wiedziałem, ale chyba o to chodziło.

- I nie udało się?

- Od tamtej pory nic mi się nie udaje. Pytałaś mnie, dlaczego nie założę własnej kliniki. Teraz już wiesz. Jeszcze jestem dobrym weterynarzem, umiem postawić diagnozę, umiem wyleczyć zwierzę i zrobić mu operację, ale to nieuchwytnie coś, co łączyło mnie ze zwierzętami, zniknęło. To samo zresztą dotyczy ludzi. Ludzie mnie nie lubią.

- Ja bardzo cię lubię, wiesz o tym.

- Ale nie od początku.

- Kiedy tylko zobaczyłam cię z dziewczętami, natychmiast cię polubiłam. Założyłeś rezerwat zaraz po powrocie z Malezji, prawda? Dlaczego wróciłeś do kraju?

- Tam nic sensownego nie można zrobić. W Malezji nie ma środków ani dotacji państwowych. Jest za dużo ludzi i za mało funduszy. Tutaj przynajmniej mogę kilku słoniom zapewnić spokojną starość prawie na wolności.

- To chyba świadczy o tym, że ta nie została tak zupełnie zerwana?

- Zapytaj o to słonice. Między nami jest nieprzekraczalna bariera. One oczekują ode ranie czegoś więcej niż jedzenia, kąpieli i spaceru po pastwisku i wiedzą, że nie mogę im tego dać. Stąd ten nieustanny wyrzut w ich oczach.

- Poświęciłeś bardzo wiele czasu i pieniędzy, zakładając ten rezerwat. Dziewczeta może tego nie rozumieją, ale tobie to powinno poprawić samopoczucie. Przecież wszystko - powiodła wokół dłonią - ta ziemia, urządzenia, stodoła, ogrodzenia, to wszystko bardzo dużo musiało cię kosztować.

- Pieniądze zdobyłem w dość dziwny sposób. Po prostu tak się objawiła ironia losu. Kiedy zaczęliśmy mówić ludziom, że jesteśmy zaręczeni, ubezpieczyliśmy się na życie i sporządziliśmy testamenty, w których wszystko, co posiadamy, zapisaliśmy sobie nawzajem. Val na dodatek dostała jeszcze spadek po babce, potem ja odziedziczyłem wszystko. Nie jestem bardzo bogaty, ale mogę spędzić resztę życia, doglądając starych, chorych słoni.

- Mace nazwał to twoją pokutą...

- Staram się w ten sposób uczcić pamięć Val.

- Umartwiając się? Nic dziwnego, że słonie są takie sfrustrowane. Kiedy widzą, jak się maltretujesz... Równie dobrze mógłbyś maltretować je.

- Nie rozumiem.

- Przestań się umartwiać.

- I kto to mówi? Bardzo jesteś mądra. Zupełnie jakbyś wiedziała, jak trzeba żyć. Siedzisz tutaj sama na tym pustkowiu, a twoje dzieci wychowują ciotki.

Tala z trudem powstrzymała gniew.

- Zostałam tutaj, bo przyrzekłam Adamowi, że nigdy nie opuszczę tego miejsca. Mój mąż chciał założyć tutaj rezerwat dla leśnej zwierzyny i ptaków. Chciał kupić ziemię Brysonów, ale nie zdążył.

- Dlaczego nie wynajmiesz tego wszystkiego? Mogłabyś sobie znaleźć coś w mieście i zamieszkać tam z dziećmi.

- Za wynajem tej farmy nigdy nie dostanę niczego w mieście. I tak na wszystko brakuje mi pieniędzy, bo ojciec Adama wydziedziczył go, kiedy syn, zamiast objąć posadę w rodzinnym banku, ożenił się z ubogą dziewczyną i został strażnikiem przyrody.

- Adam przecież pracował, musiał zostawić jakieś pieniądze.

- Ale nie tyle, żeby zapewnić dostatnie życie trzem osobom. Dlatego tutaj mieszkam sama.

Odwróciła głowę.

- To jedyny powód?

- Nie. - Oparła głowę na dłoni. - Rachel nie chce tu mieszkać, mówi, że nie znosi tego miejsca i zwierząt. A Cody miewa tu koszmarnie sny, nawet jednej nocy nie jest w stanie spędzić w tym domu. - Wytarta oczy. - Ta ziemia była w mojej rodzinie od niepamiętnych czasów. Kiedyś zrobię tutaj rezerwat, tak jak chciał Adam. To jedyny sposób, żeby uczcić z kolei jego pamięć.

Jej głos niebezpiecznie zadrżał.

- Robię, co uważam za słuszne. Nikogo nie krzywdzę, żyję na własny rachunek. Dlatego niewiele mnie obchodzi, co pan o tym sądzi, doktorze Jacobi.

Pete poprawił się na krześle.

- Poczekaj, wcale nie chciałem cię atakować, nie musisz się bronić. A może jednak... Mówiłem ci przecież, że kiedy się czegoś boję, staję się agresywny.

- A czego ty się boisz, mój ty panie od starych, chorych słońi?

- Ciebie!

- Mnie?

- Ciebie i twojej rodziny. Jak może zauważyłaś, życie rodzinne niezbyt mi się udaje.

- Co nie znaczy, że musisz się boczyć na moją rodzinę.

- W takim razie najlepiej będzie, jak się pożegnam. - Pete zrobił taki ruch, jakby zamierzał odejść.

- Do widzenia.

- Do widzenia.

Głos Tali brzmiał oschle, policzki płonęły. Całe szczęście, że powiedział jej wprost, co myśli o jej rodzinie i o jej dzieciach. To

pozwoli Tali wrócić na ziemię. Gdyby utknęła w jego ramionach, już nigdy nie stałaby się samodzielna i niezależna.

Nie zamierza, uciekając od Irene i Vertie, wpaść w orbitę Pete'a i Mace'a. Taka zamiana byłaby tyleż niekorzystna, co niedorzeczna.

Patrzyła, jak Pete wsiada do samochodu i szybko odjeżdża. Już prawie przejechał wzgórze, kiedy nagle gwałtownie zahamował i zawrócił. Podjechał pod dom i wyskoczył z samochodu. Wrócił, żeby ją przeprosić? Wrócił, żeby zostać? Serce Tali mocno zabiło.

- Dlaczego wróciłeś? - zapytała.

- Bo twoja cholerna stodoła się pali!

Rozdział 10

- Tam są narzędzia Adama! - Tala rzuciła się w stronę stodoły. - I traktor!

Dym sączył się zza zamkniętych drzwi budynku, z okna wydobywały się pomarańczowe płomienie. Przerażone koty śmigały wśród języków ognia.

- Tala! Wracaj! - krzyknął Pete, biegnąc za nią. Dopadła drzwi stodoły, otworzyła je i podbiegła do traktora. Pete szarpnął ją za ramię.

- Uciekaj stąd! Dzwonź po straż pożarną!

- Ale ja...

- Sam wyprowadzę ten traktor. Idź stąd!

- Tam są narzędzia Adama!

- Zostaw je! Uciekaj!

Kaszłąc i dusząc się od dymu, Pete wskoczył na traktor. Oczy zaszyły mu łzami, wytarł je rękawem koszuli.

Traktor na szczęście ruszył i Pete skierował go w stronę wyjścia.

Dopiero wtedy dostrzegł źródło ognia. Płonęła sterta starego siana przy drzwiach. Jeszcze chwila, a zajmie się cały budynek.

Zwrócił traktor ku płonącemu sianu, opuścił podnośnik, nabrał na niego stertę i pchając przed sobą płonący ładunek, wyjechał ze stodoły, rozwalając ścianę. Przez chwilę obawiał się, że pozostałe nadwątlone ściany nie wytrzymają, runą i pogrzebią go pod sobą.

Płomienie strzeliły wysoko w górę i dach zatrzeszczał złowrogo. Pete oddalił się na bezpieczną odległość.

- Pete!

Tala stała na ganku. Zeskoczył z traktora i podbiegł do niej. Siano palące się wysoko na podnośniku traktora wyglądało jak płonąca pochodnia.

- Gdzie są węże do podlewania? Musimy zgasić tę cholerną stodołę!

- Ale...

- Nie ma czasu do stracenia. Jeśli zaraz nie opanujemy ognia, pożar przeniesie się dalej. Zadzwoń! - Pete szarpnął ją za ramię.

Tala wyciągnęła spod ganka gumowy szlauch.

- Tak, ale dojazd tutaj zajmie im ponad kwadrans, może nawet jakieś dwadzieścia minut.

- Daj mi go. - Wyrwał jej wąż z ręki. - Sam to zrobię, mam nadzieję, że woda nie zamarzła.

Na szczęście udało mu się uruchomić szlauch. Skierował strumień wody na drzwi stodoły, a następnie na płonący dach. Płomienie skurczyły się z sykiem i po chwili zniknęły. Teraz widać było tylko tłące się, purpurowe od żaru gonty.

Z oddali dobiegło ich wycie syren; to nadjeżdżała wreszcie straż pożarna. Ze wzgórza odpowiedział jej przeciągły głos kojotów.

Wozy wjechały na podjazd i wysypali się z nich strażacy w pomarańczowych kombinezonach.

- Jak widzę, nieźle daliście sobie radę sami...

Źródło ognia dopalało się w żelaznej łopacie podnośnika i Pete poczuł się bardzo zmęczony. Prawie nie mógł oddychać, zupełnie jakby miał wypalone płuca. Oczy piekły go, jakby w nie nasypiano soli. Osunął się na kolana i zaniósł głębokim, suchym kaszlem.

- Niech pan idzie do naszego samochodu, dadzą panu tlen - poradził jeden ze strażaków. - Powinien pana obejrzeć lekarz, mogło dojść do zatrucia dymem.

Pete zakasłał.

- Nie warto, wszystko w porządku.

Strażacy dogaszali tłące się resztki, iskry z lekkim trzaskiem wlatywały w górę. Pete przyglądał im się bezmyślnie, ciężko dysząc. Nie wiedział, gdzie jest Tala.

W pewnej chwili poczuł obejmujące go ramiona.

- Nic ci się nie stało? - zapytał.

- Nic a nic.

- Szkoda, że nie możesz zobaczyć swojej twarzy. - Uśmiechnął się spierzchniętymi wargami.

Lekko dotknął palcem jej nosa, rozmazując smugę sadzy.

- Nic mi się nie stało - powtórzyła - ale ty... mogłeś zginąć. - Jej głos niebezpiecznie zadrżał. - Ty idioto! Ty koszmarny idioto! - krzyknęła z nagłą furją.

Stała przed nim mała i zadziorna, z dłońmi wspartymi o biodra.

- Serdeczne dzięki za dobre słowo - rzekł z powagą i rozkasłał się znowu.

W godzinę później siedzieli w trójkę - Tala, Pete i komendant straży pożarnej - na stopniach ganku. Strażacy zwijali węże i ładowali ekwipunek do wozów.

- W przypadku takiego starego siana zwykle nie dochodzi do samozapalenia - powiedział z namysłem komendant. - Świeże to co innego, może się samo zapalić.

Pete stanowczo pokręcił głową.

- Tu nic się samo nie zapaliło. Ktoś podłożył ogień. Strażak spojrzął w stronę osmolonego traktora.

- Takiej ewentualności wykluczyć nie można, ale i tak nie znajdziemy żadnych śladów w tych nadpalonych belkach.

- Wiem.

Strażak z uznaniem spojrzął na Pete'a.

- Gdyby pan nie wywlókł tego palącego się siana na zewnątrz, wszystko by się spaliło, do cna.

Pete nie zareagował na pochwałę.

- A tak wystarczy kilka nowych desek, żeby załatać dziurę w ścianie, i po krzyku.

Pete spojrzął na mówiącego.

- Kto to mógł zrobić? - zapytał. Komendant straży pożarnej pokręcił głową.

- Nie wiem. Może jakieś okoliczne dzieciaki.

- Dobrze zamknęłam drzwi od stodoły - oznajmiła Tala. - Jak by się dostały do wewnątrz?

- Pewnie wlażyły przez okno albo wrzuciły do środka zapaloną świecę - odparł bez przekonania strażak. - W każdym bądź razie, gdyby pan doktor nie zauważył dymu i nie wywalił tej ściany, wszystkie zabudowania spłonęłyby przed naszym przyjazdem.

- I tak zjawiliście się bardzo szybko - rzekła Tala.

- Dziękuję.

- To nasz obowiązek.

Marzyła tylko o tym, by położyć głowę na ramieniu Pete'a i przez chwilę o niczym nie myśleć. Nie myśleć, odpocząć, zasnąć. Wiedziała jednak, że gdyby to zrobiła, nazajutrz całe miasto plotkowałoby o tym, że między nią a tym lekarzem od słoni coś jest. Takie plotki nie były jej potrzebne. I tak musi jeszcze wytłumaczyć jakoś obecność doktora Jacobiego u siebie w domu o tak późnej porze.

Całe podwórko tonęło teraz w światłach.

- Dzisiaj leśne zwierzęta do nas nie przyjdą... Strażak spojrzął na nią ze zdziwieniem.

- Co takiego?

- Nic, nic.

Wstał i zaczął się żegnać.

- Teraz idę, a jutro podeślę tu kogoś, żeby za dnia wszystkiemu dokładnie się przyjrzał. Tylko tego nam brakowało - dodał, schodząc po stopniach - żeby jakaś banda dzieciaków zaczęła podkładać ogień pod okoliczne stodoły. Może się zdarzyć, że człowiek nie zauważy w porę, co się dzieje, i tragedia gotowa.

- Nie wydaje mi się, żeby to były jakieś dzieciaki - powiedział Pete, kiedy strażak odszedł.

- A któż by inny? - zapytała.

Pete zamyślił się głęboko.

- Pomyśl, jaki to dziwny zbieg okoliczności - rzekł po chwili. - Ktoś próbuje zepchnąć cię z drogi, ktoś w nocy skrada się dokoła twojego domu, ktoś otwiera stodołę... Równie dobrze mógł podłożyć ogień.

- Ale po co?

- Nie mam pojęcia. Masz jakichś wrogów? Wyprostowała się; jej twarz wyrażała zdecydowanie.

- Nie, na pewno nie.

- Twój mąż miał.

- Adam złapał kilku kłusowników i ludzi, którzy polowali i łowili ryby, nie mając na to pozwolenia, ale wszyscy strażnicy przyrody tak robią.

- Ale wszystkich nie zabijają.

- Adama zabił pewnie ktoś przypadkiem, a potem przestraszył się i uciekł.

- Chyba że w dalszym ciągu tu mieszka, ma dom, rodzinę... jakby nigdy nic.

- Tutejsi ludzie - zaczęła Tala lekko zniecierpliwionym głosem - kiedy polują poza sezonem, na ogół robią to, żeby wyżywić rodzinę. Wiedzą, że kiedy wpadną, stracą pozwolenie, zapłacą grzywnę albo nawet pójdą siedzieć. Ryzykują to, ale nigdy nie zabijają strażników. Zresztą nikt z tutejszych nie ma takiej dziwnej strzelby jak ta, z której zabito Adama. To musiał być jakiś przyjezdny. Pete, to się zdarzyło prawie dwa lata temu. Nie chcę do tego wracać.

Odwróciła głowę.

- Przepraszam.

Pete ujął jej dłoń; przez chwilę próbowała się wyswobodzić, żeby nikt nie zauważył jego poufalego gestu. Potem dała sobie spokój: przecież wszyscy już chyba wiedzą, że pracuje w rezerwacie. Nic dziwnego, że pracodawca próbuje dodać jej otuchy.

Samochody straży pożarnej z wolna opuszczały podjazd. Po chwili przed domem i osmaloną stodołą nie było już nikogo.

Nagle od frontu podjechał jakiś samochód, trzasnęły zamykane drzwiczki. Tala szybko oderwała się od Pete'a.

- Co się stało? - spojrzał na nią zdziwiony. Zza rogu domu wybiegły Vertie i Irene.

- O Boże! Co tu się dzieje? - Irene stanęła jak wryta, z osłupieniem wpatrując się w czarną dziurę w miejscu, gdzie dawniej była ściana stodoły. - Nic ci się nie stało, Talu?

Obrzuciła Pete'a nieprzyjaznym spojrzeniem i przysiadła na stopniach obok synowej.

- Jesteś cała usmolona. Nie poparzyłaś sobie twarzy? Pete wstał i odszedł na bok. Vertie energicznie wyciągnęła do niego rękę.

- Szeryf Craig dzwonił do nas i powiedział, że zachowałeś się jak prawdziwy bohater, synku. Uratowałeś stodołę i całą resztę. Bez ciebie wszystko by spłonęło.

- Ja tylko zauważyłem dym, nic więcej. Poklepała go po ramieniu.

- Słyszałam zupełnie co innego. O Boże! Ale to okropnie wygląda!

W długich, kowbojskich butach przebrnęła przez błoto i dotarła do wypalonej ściany.

- Zazwyczaj te stare stodoły tak łatwo się nie palą, bo w drewnie nie ma już żywicy - powiedziała z namysłem, marszcząc nos.

- Tej ktoś pomógł - wymknęło się Pete'owi i ugryzł się w język.

Irene natychmiast złapała go za słowo.

- Co pan ma na myśli? Talu, o co tu chodzi?

- Pete podejrzewa, że to jakieś dzieciaki zaproszyły ogień - wyjaśniła niechętnie Tala.

Irene podeszła do niej i zmusiła ją do wstania.

- Co to się wyprawia na tym świecie - westchnęła. - Kto by pomyślał! A teraz pojedziesz z nami, nie masz tu nic do roboty.

- Nie mogę, musiałabym wziąć jakieś rzeczy... - próbowała ociągać się Tala.

Irene jednak nie tak łatwo rezygnowała.

- Nie szkodzi, poczekamy, aż się spakujesz.

- Na razie zapraszam do kuchni - próbowała zyskać na czasie Tala. - Tutaj jest strasznie zimno. Zaraz zrobię herbatę. Pete, chodź z nami.

- Muszę wracać do domu.

Vertie energicznie ujęła go pod ramię.

- Nie ma mowy. Idziesz razem z nami, chłopcze, musisz wszystko opowiedzieć. Umieram z ciekawości, jak to się stało.

Po chwili siedzieli już wszyscy w kuchni, za wielkim dębowym stołem, z kubkami mocnej herbaty w rękach. Tala wiedziała, że Pete czuje się nieswojo, ale była mu wdzięczna, że mimo to został. Bez niego nie potrafiłaby stawić czoła Irene, a nie miała ochoty opuszczać farmy. Tę noc pragnęła spędzić we własnym łóżku.

- No, słuchamy, jak do tego doszło? - zaczęła Irene, stawiając kubek na stole.

- Kto został z dziećmi? - przerwała jej Tala.

- Lucinda - wyjaśniła Irene. - Po telefonie szeryfa postanowiła z nimi posiedzieć, nawet ich nie budziłyśmy. Wolałabym, żeby się o niczym nie dowiedziały.

Tala westchnęła.

- Ja też, ale jutro rano całe miasto nie będzie mówić o niczym innym.

Vertie podskoczyła na krześle.

- Czy ktoś mi wreszcie powie, jak to było z tym pożarem?

Pete i Tala zaspokoiли jej ciekawość, nie wyjaśniając jednak, jak to się stało, że Pete był na miejscu. To nie miało nic wspólnego z pożarem, a ponadto tylko dodatkowo skomplikowałoby sprawę.

Kiedy skończyli, Vertie się wyprostowała.

- Mogło być gorzej - oświadczyła. - Gdyby nie ten deszcz, poszłyby wszystkie drzewa i ogień przeniósłby się na okoliczne wzgórza, a wcale nie mam ochoty tracić swojej ziemi. Ty też nie, jak rozumiem, Talu.

Pete spojrzał na nią pytająco.

- Ma pani tutaj ziemię?

- Wśród tego wszystkiego, co odziedziczyłam po ojcu, jest też kawałek ziemi tutaj, dokładnie nie wiem gdzie. - Vertie zrobiła

nieokreślony ruch dłonią. - Tatuś kiedyś to kupił, bo chciał sobie polować.

- Ale chyba nie zamierza pani go karczować ani robić wycinki lasu? - Pete wyglądał na zaniepokojonego.

Vertie roześmiała się głośno.

- Ani mi to w głowie, chłopcze! Ja wierzę w siły natury, a nie w jakieś leśne szkółki. Takie wycinanie to tylko erozja i katastrofa. Nasadzą potem malutkich, rachitycznych sosenek i uważają, że równowaga została przywrócona. Nie, synku, ja jestem taka jak Adam. Kocham dzikie zwierzęta i uwielbiam biegać po polach i łąkach. Adam był taki sam, jak tylko dorósł, zaczął znikać w lesie na całe dni.

- Ale mimo to skończyłaś najlepszą szkołę i wyszłaś za bankiera - powiedziała Irene. - Nie mogę zrozumieć, dlaczego zawsze musisz pozować na dzikuskę.

Vertie popatrzyła na nią z wyższością.

- Na nikogo nie pozuję, po prostu nie jestem taka sztywna jak ty. Zresztą wszyscy wiedzą, jaka jestem naprawdę.

- Tylko ty nie - podsumowała Irene i zwróciła się ku Tali: - Jedziesz z nami?

- Nie - odparła z uśmiechem Tala. - Prześpię się tutaj, a rano wpadnę, żeby zjeść z dziećmi śniadanie i porozwozić je gdzie trzeba. Cody ma pewnie trening, a Rachel próbę tańców. Wtedy będzie okazja, żeby im opowiedzieć, co się tu wydarzyło.

- Ale, Talu...

- O mnie się nie martw.

- Gdyby i tobie coś się stało...

- Nic mi się nie stanie. Przymierzam.

Irene przez chwilę jeszcze nalegała, a potem niechętnie ustąpiła. Ucałowała synową i poszła ku drzwiom; Vertie ruszyła za nią. Pete podniósł się również. Tala znacząco spojrzała na niego.

- Pan również się żegna, doktorze, prawda? - zapytała sucho Irene.

- Tak, oczywiście. - Pete dotknął dłoni Tali. - Pani Newsome ma rację, powinnaś z nią jechać. Nie chcę, żebyś tu została sama.

- Nie martw się, nic mi się nie stanie. Jutro rano do ciebie zadzwonię.

Tala stała i patrzyła, jak obydwa samochody opuszczają podjazd. Potem weszła do domu, dokładnie zamknęła wszystkie drzwi, spod kanapy wyjęła strzelbę. I dopiero wtedy przypomniała sobie o narzędziach Adama.

- Przecież one się zniszczą - szepnęła.

Przez następną godzinę wycierała je i pakowała w brezentowe płachty. Potem wróciła do domu. Była tak zmęczona, że chciała się położyć na dole, na kanapie, ale zrezygnowała. Najpierw trzeba wziąć prysznic.

Widok, jaki ujrzała w łazienkowym lustrze, przestraszył ją samą.

- Nic dziwnego, że Irene była tak przerażona. Zrzuciła przesiąknięte dymem, ciemne od sadzy ubranie, umyła się i z ulgą wśliznęła do łóżka.

Pete się myli, ona nie ma wrogów, przemknęło jej jeszcze przez myśl, zanim na dobre pograżyła się we śnie. Przez całą noc prześladowały ją koszmary. Zrywała się, myśląc, że Maleńka siedzi na łóżku i przygląda się jej, mruczając głośno.

Potem wszystko utonęło w wyciu wiatru i zapadła w sen.

Wyrwał ją z niego dźwięk telefonu. Podskoczyła na łóżku i sięgnęła po słuchawkę.

- Tak? - zapytała zaspanym głosem.

- Mamo, to ty?

Rozbudziła się natychmiast i mocniej przycisnęła słuchawkę do ucha.

- Cody! Czy coś się stało?

- Nie, ale babcia mi powiedziała, że na farmie wybuchł pożar.

- Nic takiego, maleńki. Po prostu spaliła się sterta siana.

- Nie jestem maleńki. Szkoda, że tego nie widziałem. Musiało być strasznie fajnie!

- A ja bardzo się cieszę, że cię tu nie było. - Zerknęła na zegar. - Synku, jest siódma rano - westchnęła. - Przecież trening masz dopiero o jedenastej.

Cody był bardzo podniecony.

- Wcale nie mamy treningu, dlatego dzwonię. Zobacz, co się dzieje za oknem!

Tala rozchyliła zasłony. Szara ściana deszczu odgradzała ją od świata.

- Rachel też nie będzie miała próby? - zapytała.

- Tak. Wybiera się z Ashley do kina - poinformował ją Cody. - Ja i Mike też byśmy chcieli na coś pójść.

- Ale na co?

W jego głosie usłyszała wahanie.

- Na taki fajny film rysunkowy... Z potworami i ufoludkami.

- Potem będziesz miał złe sny.

- Nie! Przysięgam, że nie! - Niemal widziała, jak Cody uderza się w piersi. - Nie jestem już dzieckiem. Ale ten film jest dopiero od dwunastu lat.

- Poproś babcię - poleciła Tala.

W chwilę później usłyszała głos Irene.

- To film rzeczywiście dla starszych dzieci.

- A na co idą Ashley i Rachel? Irene, jak zwykle, wiedziała wszystko.

- W gazecie piszą, że to taka nowa wersja jakiejś starej bajki. Ale nastolatki powinny się ubawić, to w sam raz dla nich. Swoją drogą - dodała, ścisząc głos - ta Ashley jest okropna. Ja mogę z nią wytrzymać najwyżej godzinę, ale Rachel jest zachwycona. Jak obie naraz zaczną gadać... Już czuję, że mnie boli głowa.

- Zajmę się nimi. Może zabiorę je na lunch i zakupy przed filmem.

- Na razie nie jest źle. Siedzą w pokoju Rachel i zachowują się wyjątkowo cicho. Ale lepiej nie budzić licha. Jeszcze trochę poczekam, a potem zabiorę wszystkich na lunch do klubu. Nie zwracaj sobie głowy dziećmi. Wracaj z powrotem do łóżka, a potem zrób sobie ciepłą kąpiel i ziołową maseczkę. Musisz o siebie zadbać. Po tej ostatniej nocy należy ci się solidny wypoczynek.

- Dzięki, właśnie tak zrobię. Mam po nich później pojechać do kina?

- Nie, Vertie zabierze ich wszystkich w drodze powrotnej z ujeżdżalni.

- Z jakiej ujeżdżalni? Irene głęboko westchnęła.

- To jej ostatnia mania. Postanowiła na stare lata nauczyć się ujeżdżać konie. Wy i te wasze świetne pomysły... Kiedyś naprawdę wpędzicie mnie do grobu. Umówmy się, że za to przyjedziesz dziś do nas na kolację, zostaniesz na noc, a jutro rano pojedziemy razem do kościoła, dobrze?

- Jeśli mówisz, że sobie poradzisz...

- Podobno Ashley znowu zostaje u nas na noc, więc będziesz miała okazję obejrzeć ją sobie podczas kolacji. - Irene roześmiała się.
- Może wtedy docenisz swoją córkę. Jest co prawda okropna, ale przynajmniej od czasu do czasu przestaje mówić.

- Będę musiała pomyśleć, co zrobić z tą stodołą.

- Przy takiej pogodzie i tak nic nie zdasz, a jeśli zamierzasz teraz pracować zamiast trochę wypocząć, to przysięgam, że zaraz ci każę przyjechać tutaj i zająć się dziećmi!

Tala melancholijnie spojrzała w okno. Szara kurtyna deszczu szczelnie spowijała wszystko wokół.

- Poddaję się - powiedziała. - Wygrałaś.

- W takim razie widzimy się o szóstej i zostajesz z nami na noc. Przrzekasz?

- Słowo honoru.

- Jadę do miasta, tato - oświadczył Pete, sięgając po grubą kurtkę.
- Muszę zrobić zakupy.

- W taką pogodę?

Mace spojrzał na niego znad gazety, wyjął fajkę z ust i wypuścił kłęb dymu.

- Dziewczęta są nakarmione i napojone. Maleńka czuje się dobrze, klatka jest sprzątnięta. Nie ma nic do roboty.

- Zajrzysz do Tali?

Pete zatrzymał się z dłonią na klamce.

- Może wpadnę do niej na chwilę zobaczyć, jak się miewa. Nic sobie nie wyobrażaj, tato, zrobiłbym to w przypadku każdego pracownika.

- Oczywiście, synku. - Mace wygodniej rozparł się na kanapie. - Nigdy w to nie wątpiłem.

Pete spojrzał na niego podejrzliwie, ale po niewinnej minie ojca nic nie można było poznać. Wszedł wprost pod lodowaty prysznic deszczu i zaklął w duchu. Doskonały pomysł wychodzić z domu w taki piękny ranek...

Zatrzymał się w sklepie i mężnie zniósł wrogie spojrzenie właściciela. Czuł, że został rozpoznany i że jego notowania w dawnym miejscu pracy Tali nie są wysokie. Zakupy - mleko, ciasteczka, kawę i herbatę dla ojca, jajka, jabłka i mrożonki - załadował do samochodu i pomyślał, że niewątpliwą zaletą okropnej pogody jest fakt, że przynajmniej mrożone dania się nie rozmrożą.

Właściwie mógł już wracać do domu. Postanowił jednak wpaść jeszcze do straży pożarnej i porozmawiać z komendantem. Komendant grał właśnie z kolegami w karty.

- Będzie mi pan mógł poświęcić chwilkę? Komendant wstał i uściśnął mu rękę.

- Dzisiaj wygląda pan o wiele lepiej - powiedział. - A jak kaszel?

- Prawie przeszedł. Trochę tylko szczypią mnie oczy.

- Słucham. Co mogę dla pana zrobić?

Przeszli do garażu i stanęli obok strażackiego wozu noszącego jeszcze ślady wypadków ostatniej nocy.

- Przepraszam za najście, ale chciałbym zapytać, co pan sądzi o tym wczorajszym pożarze.

Komendant oparł się o ścianę i spojrzał na niego z lekkim zdziwieniem.

- Dlaczego pan pyta?

- Ponieważ pani Newsome miała przedtem pewne... nieprzyjemne przygody. Ktoś próbował zepchnąć ją z drogi, kiedy wracała do domu, a potem w nocy słyszała jakieś kroki w obejściu. To chyba nie są przypadki.

- Chętnie bym pomógł, ale nie wiem jak. Pani Tala to bardzo dzielna kobieta. Adam też był taki, wszyscy bardzo go szanowali. To, co się z nim stało, to wielki wstyd dla nas wszystkich.

- Myśli pan, że ktoś chciał ją przestraszyć?

- To niemożliwe. Ludzie ją bardzo lubią. Urodziła się tutaj i tu mieszkała całe życie. Niejedno przeszła, wypadek Adama i to wszystko.

- Może ktoś chce ją zmusić do sprzedaży ziemi? Komendant straży wybuchnął śmiechem.

- Nie ma takiej potrzeby. Tutaj, w okolicy, jest kilkanaście opuszczonych gospodarstw i można mieć tyle ziemi, ile dusza zapagnie. I to znacznie lepszej niż jej.

Pete zrozumiał, że niczego więcej się nie dowie. Pożegnał się i udał wprost do biura szeryfa. Nie miał nadziei, że go zastanie w sobotni, deszczowy poranek, ale musiał spróbować.

Dyżur miał właśnie Billy Joe. Siedział z nosem w miejscowym dzienniku.

- Przepraszam, że przeszkadzam - powiedział Pete.

Billy Joe o mało nie spadł z krzesła, zerwał się, odrzucił gazetę i wybiegł z biurka, żeby uścisnąć dłoń gościa.

- Zachował się pan jak prawdziwy bohater, doktorze - rzekł z podziwem. - Gdyby nie pan...

- Zastałem może szeryfa Craiga?

- Tak, ale nie wiem, czy będzie mógł pana przyjąć.

- Billy zerknął w stronę uchylonych drzwi w głębi korytarza

- A mógłby pan zapytać?

- Jasne.

Zastukał do drzwi, wszedł do środka i po chwili wrócił.

- Przyjmie pana.

Pete widział już szeryfa kilka razy, ale właściwie go nie znał. Craig był roslą mężczyzną, nieco niższym od Pete'a, o szerokich barach i spojrzeniu człowieka, który potrafi walczyć. Po wymianie kilku zdawkowych zdań Pete przeszedł do rzeczy.

- Wiem, że niełatwo coś na ten temat powiedzieć, ale chciałbym się czegoś dowiedzieć o zabójstwie Adama Newsome'a.

Szeryf wyprostował się i popatrzył mu prosto w oczy.

- Tak? A z jakiego powodu, jeśli wolno zapytać?

- Tala Newsome pracuje teraz u nas w rezerwacie. Chcielibyśmy z ojcem czegoś się dowiedzieć o tej sprawie, żeby nie popełnić w rozmowie jakiejś gafy.

Szeryf nie wyglądał na przekonanego.

- Wiem, że śledztwo jest w toku - ciągnął Pete - i nie chciałbym, żeby mi pan mówił coś, co mogłoby zaszkodzić w śledztwie, ale...

- No właśnie.

Craig był nieprzenikniony i niezbyt przyjazny. Pete miał wrażenie, że szeryf czyta w nim jak w otwartej książce.

- Mógłbym oczywiście sięgnąć po stare gazety i próbować czegoś się dowiedzieć, ale wolałem zapytać pana, myśląc, że może mi pan powiedzieć coś, czego nie znajdę w prasie.

- Zrobimy tak - odezwał się po chwili Craig, ciężko opierając się o biurko. - Pan mi będzie zadawał pytania, a ja w miarę możliwości spróbuję na nie odpowiadać.

- W porządku. Po pierwsze, ile razy i gdzie do niego strzelano?

- Jeden strzał prosto w serce. Dziurę miał wielkości pięści. Jakimś cudem pocisk utkwiał w ciele, a nie poleciał na koniec świata.

Zgon nastąpił natychmiast. Pewnie nawet nie wiedział, kto do niego strzelał.

- Gdzie to było?
- Trudno powiedzieć.
- Jak to?
- Już po morderstwie ciało zostało przeniesione.
- Skąd pan wie?
-
- Rozumiem. Jaka to była broń?
- Jakaś bardzo dziwna strzelba, pocisk zupełnie nietypowy, nigdy czegoś podobnego nie widziałem.
- Czy kogoś podejrzewano?
- Nie.
- A według pana, jak do tego doszło?
- Ja nic nie myślę, ja prowadzę śledztwo.
- Rodzina uważa, że to był jakiś kłusownik.
- Adam był bardzo zasadniczy. Nigdy nie ustępował. Jak złapał kogoś na kłusowaniu albo na łowieniu ryb poza sezonem, nie przepuścił. On by pociągnął do odpowiedzialności największego prezesa największego przedsiębiorstwa świata, gdyby go na czymś przyłapał.
- Myśli pan, że tak właśnie było?
- To był pewnie jakiś niedzielny myśliwy, bogaty facet z zabytkową strzelbą, który przyjechał z daleka, żeby sobie zapolować na jelenia. Pewnie myślał, że jak ma forszę, to może robić, co zechce. Adam go przydybał nad rannym jeleniem i...
- Znaleźliście w pobliżu jakieś ranne albo zabite zwierzę?
- Nie. Może tamten zabrał je z sobą, a może poszło w las i nigdy nie znajdziemy ciała. Albo znajdziemy je za kilka lat, pewnie bez głowy, bo to dobre trofeum myśliwskie.
- I co było dalej?
- Adam pewnie próbował go zatrzymać, facet dostał pietra, strzelił albo strzelba sama wypaliła podczas szamotaniny. Zobaczył, że zabił strażnika przyrody, nie wiedział, co robić, zaciągnął go do samochodu, wywiózł z lasu i wyrzucił ciało przy drodze.
- A jeleni?
- Zabrał go.

- To musiał być niezły siłacz, skoro udało mu się zaciągnąć do samochodu ciało sporego mężczyzny i martwego jelenia. Poza tym było ryzyko, że ktoś go zobaczy.

- Jak miał terenowy samochód, mógł wjechać głęboko w las.

- Znaleźliście ślady kół?

- Może i coś było, ale strasznie wtedy lało i deszcz wszystko zmył.

Pete przez chwilę milczał.

- A może było ich kilku? Craig nie od razu odpowiedział.

- Może - odparł w końcu.

- Może jeden był przyjezdny, a drugi tutejszy, nagał mu zwierzynę i pokazywał stanowiska.

- Nie ma na to żadnych dowodów. A teraz ja zadam panu jedno pytanie, doktorze. - Szeryf przechylił głowę, nie spuszczać wzroku z Pete'a. - Dlaczego właściwie tak się pan tym wszystkim interesuje?

Pete zawahał się. Wiedział, że musi odpowiedzieć.

- Zbyt wiele niedobrych rzeczy zdarzyło się ostatnio Tali Newsome. Ciekawi mnie, czy to wszystko ma związek ze śmiercią jej męża.

Szeryf wzruszył ramionami.

- Nie sądzę. Niby dlaczego? Chyba że nie wszystko mi powiedziała. Może wie coś więcej.

- Na pewno powiedziała panu wszystko, szeryfie. Nigdy nie ukryłaby czegoś, co może pomóc w odnalezieniu zabójcy męża.

- Dlaczego ktoś miałby robić jej krzywdę w dwa lata po tamtej tragedii?

- Nie mam pojęcia. Chciałem jeszcze... To już będzie na pewno ostatnie pytanie. Jaki on był, ten Adam Newsome?

- Stanowczy, wierzył w to, co robi. Rozumiał, że człowiek może polować, żeby jeść, ale nie dla zabawy ani przyjemności. Sam nigdy nie strzelał do zwierząt.

- Nosił broń?

- Tak, pistolet. Znalaziono go w olstrach.

- Więc nie czuł się zagrożony, nawet nie wyjął broni. Może znał swojego zabójcę, może to był ktoś stąd?

- Nie wiem, nie chcę tak myśleć. A teraz, jeśli pan pozwoli, zabiorę się z powrotem do pracy. Przyszedłem w sobotę, żeby napisać

kilka zaległych raportów. Zwykle wtedy nie pozwalałam sobie przeszkadzać.

- Bardzo pana przepraszam, szeryfie, ale chciałbym wiedzieć jeszcze jedno. Jakim mężem i ojcem był Adam Newsome?

To w żaden sposób nie mogło rozwiązać zagadki tamtego morderstwa, ale Pete czuł, że od tego, co teraz powie Craig, bardzo wiele zależy.

Z drżeniem serca czekał na odpowiedź. Musiał koniecznie się dowiedzieć, z jak wielkim cieniem przyjdzie mu walczyć.

Szeryf przymknął oczy, potem otworzył je i wbił w swego rozmówcę.

- To był człowiek zaangażowany, miał swoje ideały i wszystko im podporządkowywał. Urodził się w bardzo bogatej rodzinie, ale wmówił sobie, że będzie żył jak biedak. W rezultacie cały ciężar codziennego życia spadł na Talę, a ona nigdy mu nie okazała, jakim kosztem zgadza się na jego wyobrażenia o życiu.

- A jakim był ojcem?

- Surowym, ale sprawiedliwym. Kochał swoją rodzinę, ale nigdy nie miał dla niej czasu. Słyszałem, jak nieraz odmawiał dzieciakom, kiedy go o coś prosiły. Ale bardzo ich kochał. Kochał również Talę, ale nie wiem, czy zdawał sobie sprawę z tego, że tylko dzięki niej mógł być taki, jakim chciał być. Na pewno nigdy nie żałował, że się z nią ożenił, mimo że to kosztowało go utratę majątku, bo ojciec go wydziedziczył.

- Rodzina nie była dla niego czymś najważniejszym, jeśli dobrze rozumiem?

- To samo można powiedzieć o każdym facecie, o mnie i o panu. Mężczyźni mają swoje sprawy i one są dla nich najważniejsze. - Skrzywił się. - Chociaż, prawdę mówiąc, ja ożeniłem się z kobietą, która umie mi przypomnieć, że ona i dzieci powinny być na pierwszym miejscu.

- Bardzo panu dziękuję, szeryfie. - Pete wstał. W drodze do drzwi zatrzymał go głos Craiga.

- Jestem jedną z niewielu osób, które wiedzą, co naprawdę oznacza imię Tala. Powiedzieć panu, doktorze?

Pete odwrócił się.

- Tak, oczywiście.

- Tylko kilka osób wiedziało, że babka Tali ma poczucie humoru. Nigdy tego nie okazywała, bo nie miała po temu okazji. Kiedy jej mąż przywiózł dziecko ze szpitala, powiedział, że mała jest głodna jak mały wilczek. Dlatego tak właśnie je nazwała - mały wilczek. I to bardzo do niej pasuje.

Wilczek. Rzeczywiście bardzo dobrze dobrane imię. Lojalna, odważna, gotowa do walki w obronie rodziny. Wracając do domu, Pete rozmyślał nad tym, czego się dowiedział o Adamie. Czuł, że ma z tym człowiekiem więcej wspólnych cech, niż chciałby przyznać.

Kiedy mieszkał z Val, też był zaangażowany i obowiązkowy. Nie widział nic poza pracą. Chciał być najlepszym, największym weterynarzem na świecie, żeby pokazać ojcu, co potrafi.

Może nadszedł czas na zmiany, może najwyższy czas zrobić coś innego. Może należałoby zacząć od Tali i jej rodziny. Przede wszystkim powinien przekonać siebie samego, że to, co rodzina Tali i ludzie w miasteczku myślą o nim, nie ma żadnego znaczenia.

Chciał się z nią przespać. Żaden mężczyzna przy zdrowych zmysłach nie przepuściłby takiej okazji. On jednak chciał także czegoś więcej. Chciał, żeby Tala stała się częścią jego życia. I żeby została w nim na zawsze. On sam zaś pragnął zająć w jej życiu poczesne miejsce.

Nie miał wiele do ofiarowania. Nie należał do społeczności miasta, w której Tala zajmowała pozycję osoby lubianej i szanowanej. Powinien coś zrobić, żeby i jego szanowano.

Przejeżdżając obok domostwa Newsome'ów, nie zauważył samochodu Tali. Pewnie jest jeszcze na farmie; może próbuje załatać czymś tę dziurę w stodole.

Przynajmniej to może dla niej zrobić. To zresztą całkiem dobry pretekst. Trzeba zobaczyć, jak wypalona ściana stodoły wygląda przy świetle dziennym, żeby dokładnie ocenić szkody.

Gwałtownie zahamował, przepuszczając ogromnego żółtego tira. Zamyślił się tak, że nie zauważył czerwonego światła. Taki tir bywa nieraz większy od słonia...

Uśmiechnął się do siebie. Jak mógł myśleć, że nie ma nic do zaoferowania jej rodzinie? Ma coś, co przynajmniej powinno przekonać do niego jej dzieci.

Ma trzy słonie.

Rozdział 11

Serce waliło mu jak szalone, kiedy zbliżał się do drogi prowadzącej na farmę Tali. Znajomej półciężarówki nie było. Po tej okropnej nocy, którą Tala przeżyła - którą przeżyli oboje - powinna teraz przecież siedzieć przy kominku z kieliszkiem wina i dobrą książką w ręku.

Przypomniawszy sobie, że jej dzieci mają w sobotę dodatkowe zajęcia. Może trener Cody'ego nie odwołał ćwiczeń ze względu na pogodę. Pete w swoim czasie na własnej skórze odczuł, co to znaczy mieć pana od gimnastyki, któremu nawet do głowy nie przyjdzie, że podopieczni mogą nabawić się zapalenia płuc.

A Rachel musi mieć te swoje próby tańca w jakiejś sali, pod dachem. Tak czy inaczej deszcz nie wpłynął pewnie na zmianę ich planów i matka musiała je porozwozić na dodatkowe zajęcia.

Mimo nieobecności gospodyni Pete postanowił zrobić to, po co przyjechał. A przecież zajrzał na farmę tylko po to, żeby zobaczyć za dnia szkody wyrządzone przez pożar. Włożył robocze rękawice, wysiadł z land - rovera, obszedł dom i znalazł się na podwórzu. Stary traktor stale jeszcze tam stał.

Wiatr przegnał na chwilę zasłonę deszczu i odsłonił wypaloną ścianę stodoły. Na podłodze stała woda. Pete wszedł do środka i powoli przyzwyczaił oczy do półmroku. Krople deszczu bębniły o dach jak artyleryjskie pociski. Na tyłach stodoły zobaczył narzędzia Adama, starannie ułożone i przykryte brezentowymi płachtami. Tala umocniła ich końce kamieniami, by wiatr nie zerwał przykrycia i nie zniweczył jej pracy, wystawiając je na łaskę ulewy. Zrobiła to chyba w nocy, kiedy wszyscy już się rozjechali.

Musiała się czuć straszliwie samotna, a nie mogła opuścić tego miejsca mimo nalegań i próśb Irene. Pomyślał, że powinien jej jakoś ulżyć i pomóc; na razie, na przykład, może naprawić szkody wyrządzone przez pożar. Starannie wymierzył długość i szerokość otworu, który trzeba było załatać. Postanowił, że wracając do domu, wstąpi do miasta i kupi odpowiednie deski. A potem naprawi inne szkody. Tymczasem może oczyścić traktor.

Zrobił, jak postanowił, a potem wprowadził traktor do stodoły, zostawiając Tali karteczkę z wiadomością. Gotowa jeszcze pomyśleć, że ktoś go ukradł.

- Pete?

Jej głos doszedł go tak niespodziewanie, że nie od razu się odwrócił. Serce zabiło mu mocno. Z powodu deszczu bębniącego o dach stodoły nie dosłyszał jej samochodu ani kroków.

Zwrócił się ku niej z wysiłkiem, próbując opanować zmieszanie. Na rzęsach Tali krople deszczu lśniły jak diamenty. Jej czarne oczy miały głębię przepaści.

- Ja... - zaczął i urwał, bo głos uwiązł mu w gardle. Nie poruszył się, ale Tala i tak znalazła się w jego ramionach. Przyłgnęła do niego całym ciałem. Przed chwilą czuł przenikliwe zimno; teraz nagle ogarnął go żar.

Wszystkie postanowienia, żeby nie zepsuć jej opinii, postępować powoli i rozsądnie, nie zrażać do siebie jej rodziny - wszystko to zniknęło w mgnieniu oka, zostało zastąpione przez czyste pożądanie jak pożar ogarniające całe jego ciało.

Przypadli do siebie w długim pocałunku. Pod dłonią czuł krótkie włosy Tali, w jej ciele - żądę równie wielką jak jego własna. Biodra Tali poruszyły się rytmicznie i Pete przestał myśleć. Wiedział tylko to, że pożąda jej jak nigdy żadnej kobiety dotąd. Deszcz, chłód, błoto i rozdzielające ich warstwy ubrania nie mogły przeszkodzić w zaspokojeniu tak wielkiej namiętności. Tala jednak leciutko się odsunęła i spojrzała na niego swoimi ogromnymi oczami. Czuł mocne bicie jej serca.

- Nie tutaj... - szepnęła. - W domu... Oderwała się od niego i pobiegła w stronę ganku. Pete przez ułamek sekundy stał bez ruchu. Boże, co się z nim dzieje. Gdyby nie Tala, zachowałby się jak dzikie zwierzę i wziął ją tutaj, na wiązce słomy w wypalonej stodole, w strugach deszczu.

Musi za nią biec i przekonać ją, że nie jest bezmyślnym samcem pragnącym jedynie zaspokoić chwilową żądę, że potrafi być czuły i łagodny, że potrafi naprawdę kochać...

Wypadł ze stodoły prosto w deszcz i dobiegł do ganku. Wytarł buty z błota obok śladów Tali. Z otwartych drzwi kuchni sączyło się światło. Na podłodze leżała niedbale rzucona mokra kurtka Tali. Powiesił swoją na oparciu krzesła, zdjął buty i w samych skarpetkach poszedł do pokoju.

Tala stała na środku pokoju i patrzyła na niego. Mokre spodnie oblepiały jej ciało, przemoknięta koszulka podkreślała krągłość piersi.

Stali tak naprzeciw siebie, czekając, kto uczyni pierwszy krok i czy którekolwiek w ogóle to zrobi.

Oderwała stopy od podłogi i bezszelestnie zbliżyła się do niego. Szła bardzo powoli, a kiedy znalazła się tuż obok, Pete uniósł dłoń i delikatnie pogładził ją po policzku. Zupełnie jakby miał przed sobą rannego ptaka, którego boi się spłoszyć.

Przymknęła oczy i przytuliła się do niego. Zaczął całować jej oczy, powieki, włosy, szyję. Potem uniósł ją i przez chwilę trzymał w ramionach. Była krucha, lekka jak piórko i bardzo drobna. Wreszcie, nie wypuszczając jej z objęć, ruszył na piętro, nie wiedząc, gdzie znajduje się sypialnia.

Otworzył pierwsze drzwi i ujrzał małżeńskie łożo. Zawahał się w progu, postawił ją na podłodze i pytająco zajrzał w oczy.

- Czy... tutaj...

Uśmiechnęła się lekko i dotknęła jego policzka. Potem weszła do sypialni i ściągnęła sweter przez głowę.

- Tak, tutaj - powiedziała.

Rozpięła mu koszulę i dotknęła jego piersi. Przez głowę Pete'a przemknęła w popłochu litania przyrzeczeń i dobrych postanowień: „Nie śpieszyć się, wytrzymać, tylko cierpliwość i czułość, żadnego gwałtownego ruchu...”

Tala przyłgnęła do jego gołej piersi i uniosła ku niemu twarz. Pocałował ją, a potem poczuł jej dłonie na swoich gołych plecach. Nie pamiętał, jak to się stało, że nagle znaleźli się w łóżku, nie pamiętał, kiedy zrzucili z siebie mokre ubrania i zostali nadzy. Wszystko nagle roztopiło się w wybuchu namiętności. Czuł rytmiczne ruchy Tali i słyszał jej głos.

- Pete... Pete...

Czuł, jak leci gdzieś wysoko, a potem spada w przepaść. Tala wyprężyła się i opadła z zamkniętymi oczami.

Na chwilę zapomniał, jak bardzo jest ciężki w porównaniu z jej drobnym ciałem. Opadł na nią, a potem szybko zsunął się na bok. Teraz wszystko było łatwe i proste.

- O mało nie dostałem zawału - powiedział żartobliwie. Tala roześmiała się głośno.

- Ja też.

Czuł zapach jej nagiego ciała. Przesunął dłońmi po jej plecach i udach, ucząc się jej na pamięć. Zamierzał być czuły i delikatny, i nic z tego nie wyszło. Zachował się jak ktoś, kto zupełnie się nie kontroluje.

- Przepraszam - szepnął. - Nie chciałem ci zrobić nic złego.

- I nie zrobiłeś. Było wspaniale.

Jak mógł kiedykolwiek myśleć, że ona jest nieśmiała i bezbronna?

- O czym myślisz? - zapytała.

- Zaskoczyłaś mnie. Jesteś niezwykle namiętną kobietą, nie przypuszczałem....

Nie powinien tego mówić, ale naprawdę go zaskoczyła.

- Sama o tym nie wiedziałam. Dowiedziałam się dopiero dzisiaj, przed chwilą.

Pete usiadł na łóżku.

- Jak to? Przysiadła obok niego.

- Nigdy nie podejrzewałam, że jestem... że jestem zdolna do czegoś takiego.., jak przed chwilą. To bardzo dziwne tak sobie pomyśleć, że ma się w środku kogoś zupełnie innego, kogoś, kto istnieje, ale dotąd nie dawał o sobie znaku życia. Sama nie wiem, czy to dobrze, czy źle.

- Dobrze, bardzo dobrze, ja przynajmniej jestem z tego zadowolony. Nie gniewaj się na to twoje drugie ja, zrób to dla mnie.

- Dla ciebie? Ty egoisto!

Objął ją i mocno przytulił.

- Nie mów tak, bo znowu poczuję się winny. Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Winny? Dlaczego miałbyś się czuć winny?

- Ważę przeszło sto kilo, czyli jakieś dwa razy więcej od ciebie. I przedtem solennie sobie przyrzekałem, że będę łagodny i czuły, i cierpliwy. To ostatnie chyba nie bardzo mi się udało.

- Masz za to wiele innych zalet... - Tala pocałowała go w ramię. - To było cudowne, zupełnie jak lot w przepaść albo wybuch ogromnego pocisku.

- Ja czułem to samo, a teraz...

- Teraz będę spać - powiedziała cichnym głosem - Było cudownie...

Otulił ją kołdrą i delikatnie ułożył w swoich ramionach. Gdy uśmiechnęła się przez sen, poczuł, jak opadają mu powieki. Objął ją

mocno. Zapadając w sen, pomyślał jeszcze: To nie tylko było cudowne, to był prawdziwy cud.

Poczuł, że się poruszyła, i obudził się. Zwinnie ześliznęła się z łóżka i przeciągnęła jak kotka, a potem pochyliła się nad nim i pocałowała go.

Przyciągnął ją do siebie i usłyszał rozkoszne mruczenie, które słyszał już za pierwszym razem. Teraz, za chwilę, wszystko będzie inaczej, będzie się z nią kochał powoli, rozkoszując się każdą sekundą...

- O Boże! Już tak późno?

Wyśliznęła się z jego ramion ze wzrokiem wbitym w wiszący na ścianie zegar.

- Wracaj do mnie!

Nie posłuchała go. Podbiegła do szafy w rogu pokoju i zaczęła nerwowo przerzucać ubrania.

- Tala! Załamala dłonie.

- Pete, strasznie mi przykro, ale muszę lecieć. Obiecałam Irene, że przyjadę do nich o szóstej na kolację. A jest już wpół do szóstej! Tak bardzo nie chciałam się spóźnić!

Pofrunęła do łazienki, obdarzając go w przelocie lekkim pocałunkiem.

- Nie musisz wstawać, Pete, leż sobie. Strasznie cię przepraszam, naprawdę!

Trzasnęły drzwi łazienki, rozległ się szum wody. Pete skrzywił się; jego ciało nie chciało natychmiast posłuchać jej polecenia. Leż sobie spokojnie...

Wstał z westchnieniem i zaczął zbierać porozrzucone ubrania. A tym razem miał się z nią kochać długo, powoli, cierpliwie i czule...

Odnalazł spodnie i flanelową koszulę. Przysiadł na łóżku i zaczął wkładać skarpetki. Szybko skończył się ubierać i starannie posłał łóżko, na wypadek niespodziewanej wizyty Irene albo dzieci. Mogłyby się zdziwić, co matka robiła, żeby tak skotłować pościel.

Po chwili drzwi łazienki otworzyły się. Tala podeszła do toaletki i zaczęła wkładać złote kolczyki.

- Kiedy wrócisz? - zapytał.

- Przyrzekłam im, że zostanę na noc i jutro rano pójdziemy razem do kościoła. - Wyjęła z szafy czarne spodnie i czerwony sweter i włożyła je do plastikowej torby. - Muszę wziąć coś do przebrania na

jutro. - Pochyliła się nad dolną szufladą, wystawiając pupę. - Potrzebne mi jeszcze coś do spania i do zmywania makijażu. Nienawidzę spać umalowana - dodała.

Wyprostowała się i znowu zerknęła na zegar.

- Irene mnie zabije! Nie znosi, jak ktoś się spóźnia na kolację.

- Nie spóźnisz się tak bardzo - powiedział. - Mamy jeszcze chwileczkę...

Objął ją i zaczął całować.

- Nigdy nie przypuszczałam - szepnęła - że to może być takie... że my... nawet nie marzyłam...

Nagłym ruchem oderwała się od niego.

- Ale życie jest bardzo skomplikowane. Ja mam rodzinę, ty masz swoje dziewczęta.

Pete zmarszczył czoło.

- Dziewczęta nie pisną słówka, jeśli się spóźnię godzinę na kolację.

Tala spojrzała na niego spod oka i uśmiechnęła się szelmowsko.

- Już w to wierzę...

- No dobra - ustąpił - coś niecoś powiedzą.

- Zupełnie jak jelenie i sarny, one też... - rzekła zamyślona nagle

Tala i raptem się poderwała. - Rany boskie, przecież ja przyjechałam tu specjalnie w taki deszcz, żeby je nakarmić, i zostawiłam karmę dla nich w bagażniku!

Pete już szedł ku drzwiom.

- Zaraz się tym zajmę. Gdzie mam to zanieść?

- Z tyłu za domem jest taki wielki żelazny pojemnik. Sypimy do niego owies dla jeleni i saren. Myszy nie mają tam dostępu. I jeszcze jedno, Pete, czy mógłbyś wysypać kilka wiaderk piasku albo trocin przed ganek? Jest tam takie straszne błoto...

- Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem.

Wziął kurtkę z oparcia kuchennego krzesła i włożył buty. Deszcz przestał już padać, ale ciężkie chmury wisiały jeszcze nad ziemią.

Wyjął z bagażnika wór karmy i napełnił nią metalowy pojemnik, a potem wziął wiadro z piaskiem i poszedł w stronę domu. Na ganku niemal zderzył się ze stojącą na schodach Talą.

- To niesamowite - powiedziała, patrząc na niego z podziwem.

- Co?

- Nigdy jeszcze nie widziałam, żeby ktoś niósł ciężar w taki sposób jak ty, zupełnie jakby to nic nie ważyło, a przecież każdy z tych worków ważył prawie sto kilo.

Wyglądała tak niezwykle pięknie, że miał ochotę kopniakiem otworzyć drzwi, cisnąć wiadro, złapać ją i zanieść z powrotem na łóżko.

- Muszę już jechać, Pete - usłyszał zamiast tego - ale ty możesz zostać. Kiedy będziesz wychodził, po prostu zamknij drzwi.

- Po co miałbym tu zostawać bez ciebie? Przecież to nie ma sensu.

- Jesteś na mnie zły? Skrzywił się.

- Jestem wściekły, ale nie na ciebie, tylko, jak zwykł mawiać mój ojciec, „na całokształt wysoce niesprzyjających okoliczności”.

Uśmiechnęła się.

- Zawsze możesz jeszcze pocałować mnie na do widzenia.

Pocałował ją, ale tym razem to on się wycofał.

- Lepiej już jedź, bo naprawdę sporo się spóźnisz. Te kilka minut Irene na pewno ci wybaczy. I uważaj na siebie. Będę za tobą jechał aż do miasta.

- To niepotrzebne. Nic mi się nie stanie.

- I tak zrobię swoje. Poglądziła go po policzku.

- Dobrze. I dziękuję. - Wskoczyła do samochodu i wychyliła się przez okienko. - Czy nadal zamierzasz pokazać słońce moim dzieciom jutro po południu?

Zupełnie o tym zapomniał. A tak marzył, że niedzielę spędzą razem, sami, we dwoje.

- Tak, oczywiście. Przyjedziesz z nimi?

- Nie mogę - odrzekła ze smutkiem. - Muszę zająć się tym Oxleyem.

Posłała mu ręką całusa i zapaliła silnik.

Pete wsiadł do land - rovera i pojechał w ślad za nią. Miał nadzieję, że ten, kto w nocy podłożył ogień, nie będzie już więcej próbował zrobić jej krzywdy. Przez chwilę chciał zawrócić, by jeszcze raz wszystko posprawdzać, ale pomyślał, że Billy Joe gotów go zastrzelić, jeśli go spotka samego na farmie. Zresztą na razie nie musi się o nią bać; w domu Irene Tali mc nie grozi, tam nareszcie jest bezpieczna.

Z dała od niego, ale naprawdę bezpieczna.

Rozdział 12

- Sami teraz widzicie - oświadczyła Irene na widok Tali. - Jak mnie posłucha i chociaż jeden dzień sobie wypocznie, zaraz inaczej wygląda. - Pocałowała synową w policzek i z góry spojrzała na Vertie.
- Co ty na to?

Vertie przez chwilę zwlekała z odpowiedzią.

- Wygląda, jakby wzięła długą, cudowną kąpiel - powiedziała wreszcie i dodała znacząco: - Sama bym chętnie wzięła taką kąpiel.

Tala zaczerwieniła się i spuściła oczy.

- A gdzie są dzieci? - zapytała, zmieniając temat.

- Na górze. Myją ręce przed kolacją. - Irene uniosła oczy i głęboko westchnęła. - Bardzo się cieszę, że Rachel ma przyjaciółkę od serca, ale nieraz myślę, że mogłaby sobie znaleźć kogoś mniej egzaltowanego.

Już wkrótce, podczas kolacji, Tala miała okazję przekonać się, co Irene miała na myśli. Najlepsza przyjaciółka Rachel, Ashley Rogers, była osobą absolutnie nie do wytrzymania. Potrafiła przy tym dokonać niezwyklej sztuki polegającej na mówieniu bez przerwy przy jednoczesnym napychaniu sobie brzucha... A do tego nigdy nie mówiła z pełnymi ustami! Tala miała jej dość już po pierwszych piętnastu minutach.

Rachel siedziała wpatrzona w przyjaciółkę jak w obraz i spijała „mądrość” z jej ust.

Tala kilka razy próbowała przerwać niepoprawnej gadule, żeby zapytać Cody'ego, jak było w kinie, lecz nieprzerwany potok wypływający z ust Ashley stanowczo to wykluczał. Wszyscy musieli wysłuchać dokładnego sprawozdania z obejrzonej przez panią komedii muzycznej, ze specjalnym uwzględnieniem wyglądu, stroju, makijażu i biżuterii, jaką miała na sobie nastoletnia gwiazdka, ich aktualny idol. Tala musiała zresztą przyznać, że obie smarkule miały imponującą, niemal komputerową pamięć.

Potem rozmowa zesłała na chłopców ze szkoły.

- Jak tylko pójdziemy do szkoły średniej, zaraz wstąpimy do zespołu dopingującego drużyny piłkarskie - oświadczyła Ashley. - Jesteśmy o wiele lepsze niż inne dziewczyny. Mówię ci, te chłopaki w średniej są... no, super. Nie to, co te maluchy z podstawówki.

Gdy Cody wywrócił oczami, Tala spojrzała na niego ze zrozumieniem.

- Chłopaki z drużyny są najlepsi. Nawet jak już skończą szkołę i są starzy, i tak są fantastyczni. Niektórzy starzy faceci w ogóle są super. Na przykład Sean Connery i doktor Jacobi.

Tala podejrzewała, że Ashley ma na myśli Mace'a. Może rzeczywiście jest trochę w stylu Seana Connery'ego, ma siwe włosy i brodę...

- Jest super tak sobie hodować słonie, no nie? Ashley najwyraźniej chodzi jednak o Pete'a. Stary facet, no, no! Ciekawe, co on by na to powiedział.

- Fantastycznie! Naprawdę będę mogła z wami pójść? Strasznie się cieszę! Rachel mówi, że będę mogła iść zobaczyć słonie! - ciągnęła podekscytowana Ashley.

Tala spojrzała na córkę.

- A zapytałaś doktora Jacobiego, czy twoja przyjaciółka może przyjść? Nie można tak przyprowadzać kogoś bez zaproszenia.

Zrobiła wszystko, by jej głos nie zabrzmiał zbyt surowo. Rachel nawet na nią nie spojrzała.

- Dzwoniłam już do Mace'a. Zgodził się - rzuciła w przestrzeń.

Jej twarz wyrażała spokojne zadowolenie z siebie. Udało jej się dokopać matce. Jeden zero.

- A co na to doktor Pete Jacobi? - zapytała Irene. - W końcu to przecież jego rezerwat.

- Nie było go, ale Mace powiedział, że możemy, więc możemy. Przecież on jest jego ojcem.

Wszystko jasne. Ojcowie ustanawiają reguły. Ojców się słucha. Ojcowie są najważniejsi. Jak nie ma ojca, nie ma reguł i można robić, co się chce. Rachel nie mogła matce dać tego jaśniej do zrozumienia.

Ashley pokręciła się na krześle.

- Mam nadzieję - zaszczebotała kokieteryjnie, mrużąc przy tym oczy - że nikomu nie będę przeszkadzać. Nie chciałabym się znaleźć w takiej głupiej sytuacji...

- Wszystko będzie dobrze, Ashley - rzekła Tala, myśląc jednocześnie, że Pete dostanie nieźle w kość od całej trójki.

Irene spojrzała na nią.

- Pan Oxley przyjedzie po ciebie o drugiej. To taki uroczy człowiek...

Zwłaszcza w porównaniu z tym odludkiem od słoni...

- Dzwonił dziś po południu, myślał, że cię zastanie. Nie podałam mu twojego telefonu domowego, bo chciałam, żebyś sobie spokojnie pospała.

- Dziękuję, Irene. - Tala wbiła wzrok w talerz i oblała się czerwienią, próbując nie patrzeć na Vertie.

Czuła na sobie jej lekko kpiący wzrok. Nerwowo dobrała sobie czegoś z najbliższego półmiska i zaczęła przeżuwać, nie czując smaku potrawy.

- Weź sobie trochę śmietany - poradziła niewinnym głosem Vertie. - Musisz być silna, żeby wytrzymać te wszystkie słońce.

Tala spojrzała na nią, ale z twarzy starszej pani niewiele można było wyczytać.

Po kolacji chciała zadzwonić do Pete'a, żeby usłyszeć jego głos, ale nie było okazji. Zamiast tego grała w karty z Vertie, słysząc z jednej strony dźwięk fortepianu, na którym Irene grała Chopina, a z drugiej - jakąś dziką muzykę dochodzącą z pokoju Rachel. O dziesiątej wstała od stolika. Trudno, zadzwoni do Pete'a jutro rano.

- Przepraszam, Vertie - powiedziała, ziewając ukradkiem - ale ledwo się trzymam na nogach. Jestem potwornie zmęczona.

- Nic dziwnego. - Vertie starannie przetasowała karty.

- Zamierzasz mi wszystko opowiedzieć?

- Co takiego mam ci opowiedzieć?

- Nikt nas nie będzie słyszał w tym hałasie. Irene wali jak szalona, a na górze tamte dwie włączyły jakąś piekielną muzykę. A do tego Cody w swoim pokoju walczy ze smokami za pomocą komputera.

Tala przełknęła ślinę.

- Irene jest ślepa jak kret, że tego nie widzi - ciągnęła Vertie. - Ja, jak tylko na ciebie spojrzałam, od razu się domyśliłam, że coś jest na rzeczy. Wyglądasz jak motyl, który właśnie przyfrunął z wielkiego wspaniałego kwiatu.

- Uśmiechnęła się domyślnie. - I przypuszczam, że właśnie tak jest.

Przez krótką chwilę Tala chciała wszystkiemu zaprzeczyć, lecz zaraz zrezygnowała.

- Opowiem ci, ale nie tutaj - powiedziała cichym głosem. - Mogę przyjść trochę później do ciebie? Potrzebuję twojej rady.

- Załatwione. W takim razie za pół godziny u mnie w sypialni. Tylko wskoczę w piżamę i możemy rozpocząć konferencję.

Vertie wstała i krzywiąc się boleśnie, dotknęła dłonią kręgosłupa.

- Strasznie mnie boli. Tylko pół godziny siedziałam na koniu i już się nie mogę pozbierać, a dawniej, bywało, że i dwadzieścia godzin nie schodziłam z siodła.

- To było parę lat temu...

- Wiem, wiem, ale muszę porządnie poćwiczyć, jeśli chcę w sierpniu pojechać na wczasy w siodle.

- Co takiego?!

- To tylko dwa tygodnie. Zabiorę dzieciaki, na pewno się ucieszą. A na deser skoczmy sobie na kilka dni do Disneylandu.

- Vertie...

- Wiem, co robię. Zostaw mnie w spokoju. Wyprostowała się jak świeca i pewnym krokiem poszła w stronę schodów.

- Oczekuję cię za pół godziny, młoda damo.

Pół godziny później, ułożywszy Cody'ego do snu i powiedziawszy dobranoc panienkom, które już co prawda ściszyły muzykę, ale widać było, że zamierzają przegadać i przechichotać całą noc, Tala zapukała do sypialni Vertie.

- Proszę, wejdz - usłyszała.

Tala uchyliła drzwi. Miała na sobie niebieską piżamę i błękitny szlafroczek, który dostała od Adama na ich ostatnie Boże Narodzenie.

Vertie spoczywała na szezlongu pokrytym żółtym jedwabiem.

Ubrana była w długie, powłóczyście indyjskie szaty koloru pomarańczy.

- Nalej sobie brandy - powiedziała, zachęcającym gestem wskazując niewielki barek stojący w rogu pokoju.

Tala odmówiła.

- W takim razie siadaj.

Tala usiadła, rękami obejmując kolana i nie wiedząc, od czego zacząć. Vertie spojrzała na nią spod oka.

- Jak widzę, mamy problem. Możesz mi powiedzieć jaki?

Tala głęboko odetchnęła.

- Jak to jest - zaczęła z namysłem - że wydaje ci się, że wiesz wszystko o seksie, bo przez wiele lat kochałaś się z mężczyzną, a potem nagle okazuje się, że o niczym tak naprawdę nie miałaś pojęcia, bo są rzeczy, o których istnieniu po prostu nie wiedziałaś...

Vertie przeciągnęła się i przymknęła oczy.

- Masz na myśli, o ile dobrze rozumiem, tak zwaną dziką namiętność?

- Tak. I to tak zupełnie niespodzianie. Stoimy w stodole, rozmawiamy o wypalonej ścianie i... nagle bum!

- W stodole, powiadasz? W tym deszczu? Tala zaczerwieniła się jak piwonia.

- Nie, ale prawie.

- No to w czym problem? Nie bardzo rozumiem.

- Zastanawiam się, poważnie się zastanawiam, jak to będzie następnym razem, jeśli w ogóle będzie następny raz. Czy to znowu będzie jak... jak burza?

Vertie usiadła i ujęła rękę Tali.

- Z tego, co mówisz, rozumiem, że z moim wnukiem to nie było jak burza?

Tala próbowała się wycofać.

- O Boże, jak ja mogę dyskutować z tobą o takich sprawach...

- A z kim, jak nie ze mną? Masz kogoś innego? Zresztą dobrze trafiłaś, bo ja też mogłabym ci niejedno o tych rzeczach opowiedzieć. Różnie w życiu bywało, nieraz jak burza, a nieraz tak, jakby się płynęło łodzią w pogodny dzień w dół rzeki i zanurzało palce w srebrzystej wodzie. Różnie... A czasem tylko tak, szybko, na chybicka, na kuchennym stole przed wyjściem do pracy w banku. - Uśmiechnęła się do siebie. - To też było niezłe.

Tala roześmiała się. Vertie rozładowała atmosferę i przerwała tamy. Teraz można już mówić o wszystkim.

- Najważniejsze, że za każdym razem było zupełnie inaczej - dodała Vertie, pociągając łyk z trzymanej w dłoni szklanki.

Tala przełknęła ślinę.

- Dawniej... - powiedziała, nie mogąc wymówić imienia Adama, nie teraz, w rozmowie z jego babką - dawniej to było takie łagodne i czułe, jakby... jakby on się bał każdego gwałtowniejszego gestu.

Vertie zapatrzyła się przed siebie.

- Nie mogę powiedzieć, żebym po śmierci Edwarda robiła to bardzo często, ale to i owo się zdarzyło, nigdy jednak to nie było tak samo jak z nim. Nigdy nie było burzy, było miło i przyjemnie, ale nigdy nie było prawdziwej miłości.

- Myślisz, że to moje właśnie teraz, to jest... prawdziwa miłość?

- Miłość w jednej chwili, nienawiść w drugiej, nie wiem, kochanie. W tych sprawach nigdy nic nie wiadomo.

- A czy kiedyś my będziemy mogli też tak... jakbyśmy płynęli rzeką w pogodny dzień?

- Sama musisz się tego dowiedzieć. Im prędzej, tym lepiej.

- A co z Irene, z Rachel, z Codym? Vertie wzruszyła ramionami.

- Będą się wściekać, jak się dowiedzą, więc najlepiej nic nie mów, dopóki sama nie będziesz absolutnie pewna.

W oczach Tali pojawił się smutek. Stały się teraz jeszcze ogromniejsze i bardziej czarne.

- A czego ja mogę być pewna? My nie mamy przyszłości. On żyje w dwóch komórkach przylegających do gabinetu weterynaryjnego i pomieszczenia dla słońi. Jego ojciec mieszka w przyczepie. Nie chce otworzyć praktyki, chociaż doktor Wiskowski sam nie daje sobie rady. Do tego jest kompletnie rozbity wewnętrznie i nie potrafi poradzić sobie z przeszłością. Nie mam pojęcia, czy jest w stanie unieść ciężar nowego związku, a tym bardziej nowej rodziny. To wszystko jest bez sensu.

Vertie uniosła się na łokciu.

- Poczekaj, nie rezygnuj tak od razu - powiedziała stanowczym głosem, jakby podjęła jakąś ważną decyzję. - Powiem ci, moja droga, gdzie jest pies pogrzebany. Tylko mi nie przerywaj, proszę. Bardzo kochałam swojego wnuka, ale zawsze wiedziałam, że nie dorósł mojemu Edwardowi, czyli swojemu dziadkowi, do pięt.

- Vertie...

- Prosiłam, żebyś mi nie przerywała. Adam myślał tylko o jednym: o swojej pracy. Nic innego nie miało dla niego znaczenia. A ty mu na to pozwalałaś. Adam nigdy nie musiał myśleć o codziennych, życiowych sprawach, takich jak buty dla małego albo zakupy dla domu, podatki, opłaty, benzyna. Wszystkie sprawy związane z farmą i domem załatwiałaś ty.

- Ale on o wszystkim decydował.

- Tak tylko myślał, bo ty mu pozwalałaś tak myśleć.

Pozwalałaś na to, bo był wykształcony, skończył dobrą uczelnię, a ty byłaś zwykłą dziewczyną, z którą się ożenił, chociaż mógł poślubić absolwentkę Harvardu. Irene i dzieci go uwielbiają i nie mają pojęcia, kim byłby bez ciebie. Nie wiem, czy doktor Jacobi jest dla ciebie odpowiedni, czy nie, ale kobieta w twoim wieku powinna

mieć przy sobie kogoś. Nie możesz przeżyć reszty życia bez miłości. Tylko tym razem musisz najpierw się przekonać, czy jesteś dla niego najważniejsza, ty i dzieci, czy też na pierwszym miejscu zawsze będą te jego słonie.

W niedzielę rano Pete wysprzątał wszystko w obejściu i wyczyścił do białości dom. Zrobił, co mógł, żeby jego skromne progi zyskały choć trochę przychylności ze strony Irene. Wykąpał słonie i oczyścił klatkę Maleńkiej.

- Zachowujcie się dobrze - polecił słonicom, patrzącym na niego małymi, drwiącymi oczkami. - Pamiętajcie, że liczę na was.

Wiedział, że doskonale go rozumieją, a czy zechcą posłuchać, to zupełnie inna sprawa.

O pierwszej zajrzał do przyczepy ojca.

- Jadę teraz po te dzieciaki.

Mace spojrział na niego uważnie znad czytanej niedzielnej gazety.

- Zapomniałem ci powiedzieć, synu, że dzwoniła Irene. Przywiezie je tutaj sama swoim samochodem. Przyjedzie z nimi jeszcze jakaś koleżanka Rachel.

- Tylko tego brakowało! Kto jej pozwolił?

- Ja. A co? Będzie ci przeszkadzała?

- Nie.

Pete zatrzasnął za sobą drzwi. Dzień zapowiada się okropnie, zupełnie jakby wszyscy się zmówili przeciwko niemu. A do tego Tala spędzi popołudnie z tym ulizanym lalusiem Oxleyem. I dlaczego nie dzwoni? Przecież zdaje sobie sprawę, że on nie może do niej zatelefonować do siedziby Newsome'ów.

Telefon odezwał się w chwili, kiedy zdenerwowany wchodził do swojego pokoju. Tala, nareszcie!

Dzwoniła Mary Ann Hildebrand.

- Witaj. - Pete z rezygnacją oparł się o stół. W słuchawce usłyszał śmiech.

- Co masz taki grobowy głos? Nie cieszysz się, że dzwonię? A co? Czekałeś na telefon od Pameli Anderson?

- Nie, już dobrze, słucham cię.

- Pomyślałam, że jeśli po południu nie będzie za ciepło, moglibyśmy wpaść i zabrać tę lwicę, jeśli już wyzdrowiała.

- Nie!

- Rana się nie zagoiła? Przecież mówiłeś, że wszystko idzie znakomicie.

- Bo tak jest rzeczywiście, tylko... Mary, nie możecie jej zabierać dzisiaj po południu.

- Jest jakiś konkretny powód?

- Będzie tu mnóstwo ludzi, a nikt nie wie, że ona tu jest. Dobrze ją nakarmiłem i przykryłem klatkę, żeby siedziała cicho i nie zwracała na siebie uwagi.

- W takim razie przyjedziemy po nią później, jak twoi goście wyjdą.

- To nie jest najlepszy pomysł. Ja... nie mogę jej oddać, zanim nie pożegna się z nią... ta pani, która ją znalazła na szosie.

W słuchawce przez chwilę panowała cisza.

- Jasne - odezwała się w końcu Mary Ann. - To rzeczywiście byłoby okropne. Umówimy się później.

- Dziękuję za wyrozumiałość.

- I jeszcze jedno. Ty, jak rozumiem, zdajesz sobie sprawę z tego, że łamiesz prawo w każdej minucie, którą ta lwica spędza u ciebie.

- Tak, wiem o tym. A czy moglibyście ją zabrać jutro w porze lunchu? Zjedlibyśmy coś razem, a przedtem, rano, Tala by się z nią pożegnała.

- Zaraz zapytam Jima.

Pete zacisnął rękę na słuchawce, aż pobieleły mu kostki. Tala musi mieć dostatecznie dużo czasu, żeby się przygotować na to, co nastąpi.

- Pete? Już jestem. Jim się zgodził. Powiedz swojemu ojcu, że bardzo liczymy na jego grillowane kanapki.

- Zaraz mu powiem.

A wieczorem powie Tali, że Maleńka ich opuszcza.

Na razie czeka go jednak całe długie popołudnie z rodziną Newsome'ów i nieustanna myśl o tym, co zrobić, żeby jak najszybciej znaleźć się z Talą w łóżku.

Tak bardzo się niepokoiła o przebieg wizyty na terenie rezerwatu słoni, że prawie nie słuchała tego, co do niej mówił Oxley.

- Mów mi po imieniu, jestem Vince - oświadczył na wstępie, prowadząc ją do ogromnego cadillaca. Na plecach poczuła jego dłoń. - Wszystkie panie tak do mnie mówią.

Słuchała jednym uchem jego opowieści o budowanych w okolicy domach, o mieszkaniach i ich wyposażeniu, udając zainteresowanie i starając się nie okazać, że nic a nic jej to wszystko nie obchodzi.

- Są też baseny i sale przyjęć, które można wynajmować na odczyty i różne uroczystości - wyjaśniał dalej Oxley - a jeśli się chce czegoś bardziej intymnego, to na te okazje są bardzo miłe pokoje. Mamy tu bardzo dużo uroczych pokoi, kochanie.

Ton, jakim to powiedział, sprawił, że Tali zrobiło się niedobrze. Musiała jednak na własne oczy zobaczyć cuda, o których z takim entuzjazmem jej opowiadał. Pokoje o małych oknach, ciasne sypialnie, oszczędnościowo zbudowane kuchnie i wąskie, niedbale zrobione schody. Tylko łazienki były ogromne. Ciekawe, po co komu łazienka większa od pokoju?

Oxley, jakby mimochodem, objął ją ramieniem.

- Nie wyglądasz na zachwyconą, ale są tu większe apartamenty. Słyszałem, że masz sporo ziemi. Mogłabyś ją sprzedać i kupić sobie duże, wygodne mieszkanie.

- Co takiego słyszałeś o mojej ziemi?

- Ludzie mówią, że masz ogromną posiadłość.

- Same pagórki, lasy, trochę łąk i jakiś strumień. Do tego stary dom i nadpalona stodoła - odparła lekceważącym tonem.

- Dom i stodoła rzeczywiście nie są wiele warte - ciągnął Oxley - ale te tereny bardzo dobrze nadają się na przykład na ośrodek wypoczynkowy. Wzgórze nad rzeką to bardzo dobry punkt.

Spojrzała na niego uważnie.

- Trzeba by zburzyć mój dom?

Oxley skinął głową.

- Tak. Wybuduje się na jego miejscu coś nowego.

Nie odpowiedziała. Myślała tylko o tym, żeby jak najszybciej pojechać do rezerwatu. Nie mogła jednak ciągnąć tam Oxleya. Musi jeszcze przez jakiś czas znosić jego gadanie, czuć jego ciepłą dłoń na plecach i zapach drogiej wody kolońskiej.

- Możesz mnie zaprosić na farmę? - zapytał w pewnej chwili Vince. - Nigdy tam nie byłem, a chciałbym zobaczyć, jak to wygląda. Może napijemy się kawy.

- Oczywiście.

Pokazała mu drogę i po jakimś czasie zajechali na podjazd przed jej domem.

Oxley wysiadł z samochodu.

- To rzeczywiście straszne pustkowie.

Nie chciała, żeby jej otwierał drzwi; szybko wyskoczyła z auta i pobiegła na schodki wiodące na ganek.

- Wcale się nie dziwię, że pani Newsome boi się o ciebie. Nie powinnaś tu sama mieszkać. To niebezpieczne, zwłaszcza w nocy. W mieście byłoby ci lepiej.

- Zawsze czułam się tu bezpieczna.

Zaprosiła go do środka i Oxley pozachwycał się wszystkim przez grzeczność. Obejrzał dokładnie kuchnię, łazienkę i sypialnię. Tala pobłogosławiła w myślach Pete'a za starannie zasłane łóżko. Po pewnym czasie spojrzała na zegarek i odetchnęła z ulgą.

- Przykro mi, ale na mnie już czas.

Wyskoczyła z cadillaca, gdy tylko zajechali pod domostwo Newsome'ów. Samochodu Irene jeszcze nie było. Szybko pomachała Oxleyowi dłonią, przyrzekając, że zastanowi się nad wyborem mieszkania, i mocno zatrzęsnęła za sobą drzwi.

Wpadła do domu, wbiegła do salonu i rzuciła się na kanapę. Machinalnie sięgnęła po gazetę, ale nie mogła przeczytać słowa. W końcu usłyszała dźwięk nadjeżdżającego samochodu. Zamknęła oczy i pomodliła się w duchu, żeby wszystko było dobrze.

Otworzyła dzieciom wejściowe drzwi szeroko uśmiechnięta, lecz jej uśmiech zamarł na widok Cody'ego. Chłopiec przemknął obok niej i bez słowa pobiegł na górę do swojego pokoju. Zdążyła zauważyć, że ma twarz zalaną łzami i potargane włosy.

Rachel potrafiła ją i pomknęła za bratem.

- Cody! Poczekaj, malutki, jestem przy tobie!

Tala ze zdumieniem spojrzała na Irene i Vertie. Ta pierwsza trzęsła się ze zdenerwowania.

- Co tam się stało? - zapytała łamiącym się głosem. Irene machnęła ręką i bez słowa weszła do domu.

Podeszła do barku i naląła sobie pełną szklanekę sherry. Vertie pokręciła głową.

- Lepiej nie pytaj.

Rozdział 13

Pobiegła w kierunku schodów.

- Cody! Syneczku! Co ci się stało?

Drzwi do pokoju chłopca były zamknięte. Z wnętrza dobiegał łagodny kojący głos Rachel i łkanie jej brata. Tala energicznie zastukała.

- Dzieci, proszę mi otworzyć!

- Idź stąd. Sama sobie poradzę.

Głos Rachel był suchy i zniecierpliwiony. Tym razem jej matka się tym nie przejęła.

- Rachel, natychmiast otwórz drzwi - rozkazała.

- Mamo - wykrztusił Cody, zanosząc się łkaniem - nic mi nie jest.

- Sama chcę sprawdzić - nie ustępowała Tala. - Jeśli nie otworzycie, wyważę drzwi.

Rachel przez jakiś czas próbowała jeszcze protestować, ale po chwili rozległ się dźwięk odciąganej zasuwki. Tala ostrożnie uchyliła drzwi i znalazła się twarzą w twarz z córką.

- Co mu się stało?

- Nic takiego. Po prostu jest zdenerwowany i nie chce z nikim o tym mówić, zwłaszcza z tobą.

- Z tobą rozmawia.

Rachel wyprostowała się dumnie.

- Nic dziwnego, przecież jest moim bratem. Tala odepchnęła ją i weszła do środka.

- I moim synem.

Cody leżał na łóżku w pozycji embriona. Nie drgnął, kiedy weszła. Tala usiadła obok niego i delikatnie położyła rękę na ramieniu synka.

- Kochanie, cokolwiek się stało, nic się nie martw, wszystko będzie dobrze. Podobały ci się słonie?

Cody wydał głośny jęk. Rachel spojrzała na matkę z niechęcią i zniecierpliwieniem.

- Czy mu się podobały? Przecież wiesz, jakie są - syknęła.

- Co one takiego zrobiły? - Tala uniosła oczy na stojącą obok córkę.

- Nic takiego. - Rachel oparła się o drzwi i splótła ręce. - Słonie są bardzo fajne. Po prostu Cody się przestraszył. Potrzeba trochę czasu, żeby doszedł do siebie.

Doskonale o tym wiedziała; nie przypuszczała tylko, że Rachel również zdaje sobie z tego sprawę.

- Zaraz się uspokoi. - Rachel przysiadła na łóżku obok brata. - Po prostu bardzo się zdenerwował, a to wcale mu niepotrzebne. - Pogłaskała Cody'ego po głowie.

- Nie przejmuj się, misieńku, każdy czasem się czegoś przestraszy. To nic takiego.

- Ale ty nie - załkał Cody, nie podnosząc głowy. - Ty niczego się nie boisz. Nigdy.

- Ja? Pewnie, że się boję. Boję się przez cały czas. Tylko umiem to ukryć.

I rozplakała się tak nieoczekiwanie, że Tala przez sekundę nie wiedziała, co począć.

- Tak strasznie się boję, że stanie się coś złego... Cody rozpaczliwie przytulił się do matki.

- Nigdy już tam nie chodź, mamo. Nigdy tam nie wracaj, tak bardzo cię proszę...

Tala objęła go mocno.

- Ale dlaczego, syneczku? - zapytała, próbując powstrzymać łzy.

- On się boi, że ty też umrzesz - wyznała Rachel opanowanym już tonem.

Tala poczuła, że głos zamiera jej w gardle.

- A ty, córeczko? - zapytała. Rachel spuściła oczy.

- Ja... też - wyznała. Potem uniosła wzrok na matkę.

- Bardzo lubię mieszkać tutaj i nigdy nie chcę wracać na farmę, nigdy, nigdy, nigdy. I tak strasznie się boję, że mogłabym stracić również ciebie.

Rachel objęła dziewczynkę i z całej siły przytuliła ją do piersi.

- To normalne, że się o mnie martwisz, córeczko

- powiedziała - ale mogę cię zapewnić, że nic, ale to nic mi nie zagraża. Zawsze będę z wami i nic złego mi się nie stanie.

Odpowiedziało jej milczenie i smutny wzrok dwóch par oczu. Zrozumiała, że dzieci nie bardzo jej wierzą.

- Kiedy wasz ojciec zginął, uświadomiłam sobie, jak bardzo niepewną rzeczą jest życie. Mam nadzieję, że ta świadomość nie stanie się waszym udziałem zbyt wcześnie - powiedziała.

Odgarnęła włosy z czoła Cody'ego. Dziecko było spocone i zmęczone i wiedziała, że zaraz zaśnie. Cody, kiedy był malutki, zaraz po wielkim płaczu zapadał w sen.

- Ale musicie wiedzieć, że strach przed nieszczęściem niczego nie załatwia - dodała jeszcze.

Cody uniósł na nią zaczerwienione oczy.

- Nie rozumiem.

- Sama zawsze strasznie się bałam, kiedy wasz tata spóźniał się do domu albo kiedy któreś z was miało kaszel

- wyjaśniła. - Wiedziałam, że to nie ma sensu, ale próbowałam przechytryć los. Wyobrażałam sobie, że kiedy tak się będę trzęsła ze strachu, kaszel nie przejdzie w zapalenie płuc, a wasz tata szczęśliwie wróci do domu. Byłam tak nieszczęśliwa i przerażona, że uważałam, że nie ma już miejsca na coś jeszcze gorszego. To wszystko jest bardzo skomplikowane. Nie wiem, czy mnie rozumiecie.

Rachel wzruszyła ramionami.

- To jakieś głupoty. Idę do siebie.

Tala zrozumiała, że córka próbuje zatuszować niedawną chwilę słabości. Wiedziała, że musi pozwolić jej odejść. Porozmawia z nią później, kiedy utuli syna. Cody jednak usiadł na łóżku, wyraźnie zainteresowany tym, co mówiła.

- Mój sposób nie poskutkował - ciągnęła Tala - bo jak powiedziała twoja siostra, był głupi. Mogłam się bać o waszego tatę tak bardzo, jak tylko potrafiłam, ale to nie zapobiegłoby jego śmierci. Jedno nie ma z drugim nic wspólnego.

- Bałem się, bo te słonie... Te słonie są takie... strasznie wielkie i takie... strasznie niebezpieczne.

Gody patrzył na nią rozszerzonymi z lęku oczami. Tala wzięła go za rękę.

- Następnym razem pojedziemy do nich sami. Poznam cię ze słoniami, jak należy, i pokażę ci, jakie są miłe i przyjazne.

- Ale... one są takie ogromne.

- Grzechotniki są małe. Czy to znaczy, że są mniej groźne?

- Mamo! Mamo! - Cody opadł na łóżko i przytulił się do poduszki. - Nie chce mi się jeść. Nie zejdę na kolację, chciałbym sobie trochę pospać. Mogę?

- Oczywiście. Spij, kochanie, śpij.

Tala zdjęła małemu buty i otuliła go kocem. Cody w jednej chwili zapadł w sen, przytulając do siebie poduszkę jak pluszowego misia. Przez chwilę jeszcze nad nim stała, a potem pochyliła się i pocałowała zaczerwieniony policzek chłopca. Wyszła, cichutko zamykając za sobą drzwi.

Za drzwiami sypialni Rachel panowała cisza. Mimo to Tala zapukała do jej drzwi.

- Czy mogę na chwilę wejść? - zapytała, nie słysząc zaproszenia.

- A musisz?

- Tak.

Rachel siedziała w fotelu ze słuchawkami na uszach.

- Zdejmij to - poleciła jej matka.

Rachel niechętnie posłuchała.

- Dziękuję ci, córeczko, że zaopiekowałaś się Codym.

- Normalka.

- Nie wiedziałam też, że tak bardzo się o mnie boisz. Rachel spojrzała gdzieś w bok.

- Jesteś już duża - mruknęła z ironią w głosie - dasz sobie radę. Taka duża dziewczynka...

- Owszem - odparowała Tala - dam sobie radę, ale przy okazji mogę się też zaopiekować tobą i twoim bratem. Z tym też sobie poradzę.

- Tylko nie tam, na farmie!

- Dobrze, wymyślę coś innego.

- Przecież nigdy nie sprzedasz ukochanego rezerwatu tatusia. -

Rachel uśmiechnęła się ironicznie.

Tala przysiadła na brzegu łóżka córki.

- Masz do mnie żal. Obwiniasz mnie za to, że zginął, prawda?

Rachel chłodno spojrzała na matkę.

- Gdyby nie spotkał ciebie, pracowałby w banku, jak to było ustalone, i teraz by żył. Mieszkalibyśmy w mieście i mieli dużo pieniędzy - wyjaśniła spokojnie.

- A on byłby głęboko nieszczęśliwy. I musisz wiedzieć, że ani ciebie, ani Cody'ego nie byłoby na świecie. Chyba to rozumiesz.

Rachel wzruszyła ramionami; na twarzy miała wyraz niewysłowionej pogardy.

- Myśmy się na świat nie prosili.

- Nikt z nas nie prosił się na świat, ale skoro już się na nim znaleźliśmy, musimy przeżyć życie jak najlepiej i jak najpełniej.

- Powinnaś zostać kaznodzieją.

Tala policzyła w myślach do dziesięciu, zanim odezwała się znowu.

- Dobrze, a teraz ja coś ci powiem. Od pewnego czasu wszyscy obchodzimy się z tobą jak z jajkiem. „Rachel już taka jest, Rachel ma humory”, i tak dalej. Musisz jednak wiedzieć, że mamy już tego serdecznie dość. Każda ludzka istota ma swoje problemy i nikomu nie wolno innym z tego powodu zatruwać życia. Masz trzynaście lat, a ja jestem twoją matką i żądam, żebyś się zachowywała wobec mnie z szacunkiem.

- Namawiasz mnie do hipokryzji, dziękuję bardzo.

- Opanowanie i greczność wobec ludzi to nie hipokryzja, tylko obowiązek. Mówię ci to wszystko, bo cię kocham i wierzę, że ty też kochasz mnie i Cody'ego.

Rachel przeniosła na nią pochmurny wzrok.

- Jeśli mnie kochasz, to sprzedaj farmę i przenieś się do miasta. Zamieszkajmy wreszcie jak ludzie.

- A dokąd mamy się przenieść, jeśli wolno zapytać? Do tych klatek, które buduje pan Oxley? Przecież tam nie zmieści się nawet twoje łóżko!

- Kup taki dom, jaki ma Ashley, duży i wygodny.

- Ojciec twojej przyjaciółki jest lekarzem. Nie mogłabym kupić nawet przybudówki do ich domu.

- W takim razie zarabiaj więcej pieniędzy. To chyba proste.

Tala wybuchnęła śmiechem.

- Bardzo trafnie to ujęłaś. To rzeczywiście bardzo proste, a ja specjalnie jestem biedna i mieszkam na wsi, żeby ci zrobić na złość. To mój jedyny cel w życiu.

Nie mogła przestać się śmiać; śmiała się i śmiała, aż łzy płynęły jej po twarzy.

- Mamo? Mamusiu? Co ci się stało?

Tym razem Rachel była naprawdę przerażona. Nagle zerwała się i jednym ruchem znalazła się w ramionach matki. Potem płakały już obie, zanosząc się łkaniem, jakby nigdy nie miały przestać.

- Tak bardzo cię kocham, mamusiu - wykrztusiła Rachel.

- I ja też bardzo cię kocham - szepnęła przez łzy Tala. - Od dzisiaj wszystko będzie inaczej, zobaczysz.

Upewniwszy się, że Cody śpi spokojnie, a Rachel czymś się zajęła, Tala zastukała do sypialni Vertie.

- Irene ma migrenę, a ja chciałabym się wreszcie dowiedzieć, co tam się dzisiaj stało. Muszę jechać do rezerwatu - powiedziała, nie wchodząc do środka. - Mogłabyś rzucić okiem na dzieci?

- Tak. Zadzwoń do ciebie, gdyby coś się działo.

- Cody pewnie będzie już spał przez całą noc. Zawsze tak robi, jak się zdenerwuje. A Rachel sama sobie weźmie coś do zjedzenia, kiedy zgłodnieje.

- O nas się nie martw. Jedź do niego.

Rozdział 14

Po raz pierwszy posłużyła się kluczem, który jej dał Mace, i sama otworzyła bramę wjazdową do rezerwatu. Wjechawszy, zamknęła ją i podjechała pod dom od strony pokoju Pete'a. W oknach nie świeciło się światło, mimo że land - rover stał zaparkowany na podjeździe.

Dochodziło wpół do dziewiątej i Pete nie mógł jeszcze spać. Gdy przyłożyła ucho do drzwi, usłyszała cichą muzykę. Coś powolnego i bardzo smutnego, nie bardzo wiedziała co.

Coś rozpaczliwie smutnego.

Uniosła rękę, żeby zapukać, ale po chwili ją opuściła. Z pęku kluczy wybrała odpowiedni i sama otworzyła sobie drzwi.

Nie zrobiłaby tego za nic w świetle - nie starczyłoby jej odwagi, żeby tak wchodzić do cudzego domu - ale bała się, że Pete z powodu tego, co się wydarzyło, nie zechce jej wpuścić, a musiała z nim porozmawiać. Przekreśliła klucz w zamku, nacisnęła kłamkę i znalazła się w ciemnym pomieszczeniu, gdzie stał komputer.

Dźwięki muzyki dochodziły z sypialni, drzwi były uchylone. Podeszła i stanęła w progu.

- Pete? - szepnęła nieśmiało.

W odpowiedzi usłyszała zduszone sapnięcie.

- Idź stąd.

Otworzyła drzwi. Pete leżał w ubraniu na łóżku, ramieniem zakrywając sobie oczy. Po chwili zwrócił ku niej głowę.

- Jak się tu dostałaś? - zapytał takim tonem, jakby wcale nie oczekiwał odpowiedzi.

- Otworzyłam bramę kluczem.

Podeszła do łóżka i pochyliła się nad leżącym mężczyzną. Pociągnęła nosem.

- Piłeś?

- Jestem trzeźwy jak świnia, ale mam zamiar wkrótce temu zaradzić - oświadczył, wcale na nią nie patrząc.

Tała przysiadła na łóżku.

- Chcesz ze mną porozmawiać o tym, co się stało? - zapytała łagodnie.

Odwrócił się do ściany.

- O czym mielibyśmy rozmawiać? Wolę pospać. Zrozumiała, że nie chce jej pomóc.

- Wiem, że coś się tutaj stało dziś po południu - zaczęła, starannie dobierając słowa - i to coś raczej niedobrego, ale nie wiem co. Może mi powiesz, o co chodzi.

Pete zrobił ruch, jakby próbował się podnieść, ale zrezygnowawszy, z powrotem opadł na łóżko.

- W lodówce jest jakiś ohydny alkohol. Mogłabyś mi podać butelkę i taką wysoką szklankę? - poprosił.

- W wysokich szklankach pije ci się lepiej? Szybciej się upijasz?
- Tala nawet nie drgnęła.

- Proszę, zrób to.

- Nie. Jeśli chcesz się upić, to się upij, ale bez mojego udziału.

- Nie jesteś dobrym pracownikiem, odmawiasz wykonania służbowego polecenia. Trzeba cię będzie zwolnić. Doskonały pomysł: zwalniam cię.

- Świetnie. Jutro rano Mace przyjmie mnie z powrotem. Na razie powiedz, co zrobiłeś moim dzieciom.

- Co ja im zrobiłem? - Pete zerwał się jak smagnięty biczem. - Po pierwsze, ta dziewczyna, co przyjechała z Rachel, ta Ashley... Ty wiedziałaś, że ona ani na chwilę nie zamyka ust? - Przyłożył dłonie do piersi i ciągnął piskliwym głosem: - Ale one są duże, te słonie! Ale one są fajne! Są takie duże i takie fajne! Pan to musi być strasznie silny, że pan się ich nie boi i tak się nimi opiekuje! Taki duży i taki silny.

- A co Rachel i Cody? - przerwała mu Tala. Pete ręką przeczesał włosy i położył się znowu.

- Na początku było całkiem nieźle. Już myślałem, że może się uda. Skoro tylko Rachel się zorientowała, że jej przyjaciółka jest zachwycona, też postanowiła okazać trochę entuzjazmu. Zresztą chyba naprawdę polubiła słonice, a i one ją zaaprobowały. Zwykle, kiedy widzą kogoś obcego, zachowują się z rezerwą, a tym razem przyjaźnie poruszały trąbami.

- A co potem?

Pete mówił dalej, jakby nie dosłyszał jej pytania.

- Mace jak zwykle był świetny. Zawsze umiał doskonale radzić sobie z cudzymi dziećmi. Ja opowiedziałem im coś o różnicach pomiędzy słoniami z Afryki i z Indii. Rachel wydawała się bardzo zainteresowana tym tematem.

- No i co stało się dalej? - powtórzyła Tala.

- Słonice stały tuż obok prętów, a Rachel leciutko dotykała trąby Sophie. Nie zauważyłem, że Cody'ego z nami nie ma. Spostrzegłem go dopiero, kiedy usłyszałem głośny jęk. Cody stał w drzwiach, zapatrzony w słonie jak zahipnotyzowany. Był zielony z przerażenia. Bałem się, że zemdleje. Już miałem do niego podejść, kiedy Sophie nagle uniosła trąbę i donośnie zatrąbiła. Zanim zdążyłem zrobić krok, Cody już uciekł. Wpadł do samochodu Irene, zamknął się w środku i schował pod tylnym siedzeniem.

Tala poczuła zimny dreszcz.

- Chyba przesadzasz - rzekła zmartwiałym głosem. Pamiętała jednak, że kiedyś na farmie, kiedy miał koszmarne sny, obudził się bliski ataku hysterii. Ale to były koszmarne sny, a tutaj - to była jawa.

- Nie przesadzam, Irene próbowała do niego przemówić, potem Mace... Nawet ta cała Ashley robiła, co mogła. Ja na jego miejscu wyszedłbym z samochodu choćby po to, żeby jej kazać się zamknąć. Ale on wcale nie zareagował.

- Gdzie wtedy byłeś?

- Stałem jak wbity w ziemię i nie miałem pojęcia, co robić. Słonice bardzo się zdenerwowały. Podobnie jak ja, nic z tego nie rozumiały. Chciały jakoś pomóc, wyszły na podwórze i zaczęły krążyć dokoła samochodu. To tylko pogorszyło sytuację.

- O Boże...

- Cody na chwilę podniósł głowę, zobaczył je i oszalał ze strachu.

- Jak go stamtąd wyciągnęliście?

- To wyłącznie zasługa Rachel. Podeszła prosto do samochodu, nie zwracając uwagi na słonie, zupełnie jakby pracowała z nimi przez całe życie. To było niesamowite, ona wcale się ich nie bała. Szła takim pewnym krokiem, jakby była gotowa je odepchnąć, gdyby przypadkiem weszły jej w drogę.

- A Cody? Co zrobił Cody?

- Rachel stanęła przy oknie i zaczęła przemawiać do brata łagodnym głosem. Po chwili Cody nieco się uspokoił, przestał przynajmniej szlochać. Potem usiadł i odblokował zamek.

- I... wysiadł?

- Nie. Irene chciała otworzyć drzwi, ale Vertie ją powstrzymała, mówiąc, że lepiej niech to zrobi Rachel.

- I Rachel się udało?

- Jak zawodowemu psychologowi. Zawsze, ilekroć widziałem twoje dzieci, nieustannie się kłóciły, a teraz... Rachel usiadła obok brata na tylnym siedzeniu i objęła go. Potem przez kilka minut coś do niego mówiła. Cody prawie zupełnie się uspokoił, ale w dalszym ciągu nie chciał wyjść na dwór. Wtedy Rachel powiedziała, że wcale nie musi. Wszystkie wsiadły do samochodu i odjechały. Cudowne popołudnie, nie ma co...

- Pete, tak strasznie mi przykro, że to tak wyszło.

- A taki byłem pewny... Uważałem, że tym razem zdobędę ich sympatię i będą mi jedli z ręki. Ale ze mnie głupiec. Ja po prostu nie dorosłem do tej roli.

Nerwowo przeczesał dłonią włosy.

- Do jakiej roli? - zapytała Tala.

- Do roli ojca.

- Ich ojciec nie żyje, Pete. Ty jesteś dla nich tylko miłym panem, który pozwolił popatrzeć na słońce.

- Jasne. Powinienem wiedzieć, że nic z tego nie będzie. Nie umiem postępować z dziećmi.

Tala pochyliła się i pocałowała go w usta. W pierwszej chwili nie odpowiedział. Potem przyciągnął ją do siebie. Oderwała się od niego pierwsza i nieco odsunęła.

- To nie twoja wina. Po prostu moje dzieci mają bardzo ciężkie życie. Los mocno je doświadczył, śmierć ojca zbytnio im ciąży. Nie są może łatwe, ale to dobre dzieciaki.

- Ale ja nie mam pojęcia o dzieciach.

- Nikt nie ma. Tego nie można nauczyć się z książek, ale myślę, że to popołudnie pewnie na coś im się przydało. Przeżyły coś, co sprawiło, że się otworzyły i dały upust uczuciom.

Popatrzył na nią przeciągle, a potem wstał i ciężkim krokiem ruszył do lodówki. Usłyszała, jak wyjmuje butelkę, wsypuje lód do szklanki, a potem nalewa do niej alkohol.

Podeszła do niego. W kuchni panowała taka sama ciemność jak w całym mieszkaniu.

- Zostaw to. Mój dziadek popijał, kiedy coś mu nie wyszło albo nie miał pieniędzy. Okropnie się wtedy zachowywał i źle to wspominam.

- Napastował cię? Tala się roześmiała.

- Babka by go zabiła. Tylko ona jedna mogła mi dokuczać, nikt inny nie miał do tego prawa. A dziadek nawet po pijanemu wiedział, że jeśli podniesie na nią rękę, już nie żyje.

Przysiadła na rogu stołu.

- Alkohol nie rozwiązał jego problemów i nie rozwiąże twoich - powiedziała smętnie.

- Ale przynajmniej na kilka godzin o wszystkim zapomnę. To też coś warte.

- A potem koszmary powrócą. Zostaw to, bardzo cię proszę.

Wstrzymała na moment oddech, czekając, co zrobi. Pete spojrzał jej w oczy i powoli wylał zawartość szklanki do zlewu.

Tala odetchnęła. Pete wzruszył ramionami.

- Zresztą wcale tego nie lubię - powiedział obojętnie. - Ja też nie.

Stanął przy oknie i zapatrzył się w ciemność zalegającą pagórki.

- Wiesz - zaczął po dłuższej chwili z wahaniem - że opiekowałem się kiedyś maleńkim gorylem? To było w zoo, miałem tam praktyki.

Nie bardzo wiedziała, po co jej to mówi, ale mu nie przerywała.

- Jego matka została złapana jako niemowlę i umieszczona w wędrowniej menażerii. Potem trafiła do zoo. Była dzika, nie lubiła ludzi. Na nieszczęście prawie zaraz zaszła w ciążę. Urodziła śliczną maleńką samiczkę.

W dalszym ciągu nie miała pojęcia, dlaczego Pete jej to opowiada.

- O mało jej nie zabiła zaraz po urodzeniu. Zupełnie nie rozumiała, że to jej dziecko, uważała, że to jakiś dziwaczny intruz, którego należy się pozbyć.

- I ty się zaopiekowałeś...

- Nie miałem wyboru. Złapała ją za łapkę i cisnęła w moją stronę. Złapałem ją w powietrzu. Kiedy zabrałem dziecko, matka całkowicie się uspokoiła.

- Co z nim zrobiłeś? - zaciekała się Tala.

- Karmiliśmy je z butelki, a kiedy podrosło, przyłączyliśmy je do stada. Inne samice natychmiast wzięły je pod opiekę.

- A jak się zachowała jego własna matka?

- Nie miała pojęcia, że to nowe jest jej dzieckiem. Potem inne samice zaczęły rodzić młode, ona też ponownie zaszła w ciążę. Tym razem była doskonałą matką.

- Skąd ta różnica w zachowaniu?

- Goryle nie mają instynktu w takich sprawach, podobnie jak niektórzy ludzie. Na ogół uczą się tego, podglądając innych i widząc, jak oni zachowują się w danej sytuacji. Muszą się tego nauczyć, póki są młode, bo potem już nie potrafią.

- Jaki z tego wniosek?

- Ja się nie nauczyłem, a teraz jest już za późno.

- Przecież miałeś dobry przykład. Mace jest doskonałym ojcem.

- Jasne, Mace był wspaniałym ojcem. Kiedy byłem mały, miałem z dziesięć nianiek i opiekunek. Nigdy go nie widywałem. Mój ojciec pracował dzień i noc. Nigdy nie przychodził do szkoły, nigdy nie widziałem go na żadnym meczu. Nie miałem matki, nikt mi nie piekł ciasteczek i nikt mnie nie prowadził w niedzielę do kościoła. Kiedyś nocowałem u kolegi w domu i doznałem szoku. Ja nie wiedziałem, jak może wyglądać prawdziwe życie rodzinne. Nie miałem rodziny, matki ani ojca.

- Twoja matka nie chciała umrzeć.

- O nic jej nie obwiniam. To wszystko była tylko wina Mace'a. Zarzucałem mojemu ojcu, że go przy mnie nie ma, bardzo nad tym bolałem. Teraz zrozumiałem, dlaczego tak było. Tak bardzo cierpiał, że zapomniał o moim istnieniu.

- Ale przecież w pewnym momencie ty też chciałeś założyć rodzinę? Myślałeś, żeby ożenić się z Val.

- Tylko dlatego, że to było wtedy najlepsze wyjście. Tala zamyśliła się.

- Ja również nie miałam zbyt szczęśliwego dzieciństwa. Mój dziadek zmarł, kiedy miałam dziesięć lat, i musiałyśmy z Sakari same dawać sobie radę. Ty przynajmniej nie zaznałeś prawdziwej biedy, a my ledwo wiązałyśmy koniec z końcem.

- Nie, nie zaznałem biedy, to prawda. Miałem rower, deskorolki, nawet własną linię telefoniczną. Nie miałem tylko ojca ani matki. Dlatego nadal nie wiem, co to znaczy być ojcem.

- Nie masz potrzeby. To są moje dzieci.

- I zamierzasz na zawsze zostawić je pod opieką Irene i Vertie? - zapytał nieoczekiwanie.

Tala aż drgnęła. Ach, to o to mu chodzi. Poczwała, jak ogarnia ją złość. Spojrzała na niego z gniewem.

- Opowiedziałeś mi śliczną bajeczkę o gorylach, co to się uczą kochać własne dzieci, a Mace niedawno uraczył mnie opowieścią, jak to słonice pięknie opiekują się cudzym potomstwem. Wszystko po to, żeby mi wytknąć moje rodzicielskie zaniedbania, tak?

- Poczekaj, ja...

- Stale masz mi za złe, że korzystam z pomocy rodziny i nie rozumiesz, że nie mogę inaczej. Dzieciom tam jest lepiej i doskonale o tym wiesz.

- Nie chciałem...

- Chciałeś. Mnie się ta sytuacja też nie podoba, ale wiem, że na razie nie jestem w stanie jej zmienić.

Odwróciła się na pięcie i szybkim krokiem ruszyła w stronę drzwi. Pete zabiegł jej drogę.

- Kocham cię.

Zatrzymała się i zdumiona zamrugła oczami.

- Co takiego?

- Powiedziałem, że cię kocham.

Złożyła ręce jak do modlitwy.

- O Boże, co my teraz zrobimy? Pete mocno ją objął i przytulił.

- Możemy się tylko modlić, żeby się udało.

Wszystkie lęki i obawy zniknęły, kiedy poczuła na sobie jego dłonie. Delikatne, czułe dłonie, kojący, rozkoszny dotyk.

Pete rozpiął jej bluzkę powoli i łagodnie, jakby rozpakowywał drogocenny skarb. Kochali się z wielką miłością. Kiedy skończyli, Tala długo jeszcze leżała na jego piersi, nie chcąc tracić kontaktu z jego ciałem.

Gdy pocałował ją we włosy, szepnęła coś niewyraźnie.

- Co mówisz, kochanie? - zapytał.

- W dół rzeki, z palcami zanurzonymi w srebrzystej wodzie - powiedziała głośniej.

- Nie rozumiem.

- Nie szkodzi. Przytul mnie mocniej.

- Z przyjemnością.

Rozdział 15

- Muszę już iść - szepnęła Tala. W odpowiedzi przytulił ją do siebie jeszcze mocniej.

- Muszę wpaść po drodze do domu, zabrać kilka rzeczy i jechać do miasta. Dzisiejszej nocy muszę być blisko dzieci, na wypadek gdyby mnie potrzebowały. A w poniedziałek rano chcę razem z nimi zjeść śniadanie i odwieźć je do szkoły.

Pete przez chwilę milczał, a potem usiadł na łóżku.

- Dobrze, w takim razie odwiozę cię do domu - zaproponował.

Tala podniosła się również.

- Nie ma potrzeby, dam sobie radę - zaproponowała.

- Powinnaś coś zjeść. Nie jadłaś kolacji, ja też jestem głodny. A w przeciwieństwie do ciebie, nie umiem żyć samym powietrzem.

Jakby na potwierdzenie tych słów, zaburczało mu w brzuchu.

- A co to ma do rzeczy?

- To, że zatrzymamy się w mieście, kupimy coś do zjedzenia i zrobimy sobie kolację u ciebie, na farmie. Przy okazji nakarmimy koty i jelenie, a potem pojedę za tobą do domu Newsome'ów i upewnię się, że szczęśliwie dojechałaś.

- Pete...

- Tylko mi nie mów, że to niepotrzebne i że świetnie dasz sobie radę. Wszystkie niedobre rzeczy, jakie ci się ostatnio przytrafiały, miały miejsce na farmie albo w drodze do niej. Jakoś nic złego tam się nie dzieje podczas twojej nieobecności. To wystarczający powód, żeby nocować u ciotek.

- Zupełnie jakbym teraz słyszała Vince'a... to znaczy Oxleya.

- To już jesteście po imieniu?

- Nie mogłam przez cały czas zwracać się do niego per pan, spędziliśmy razem kilka godzin. On też mówi, że powinnam się przenieść do miasta.

- I ma rację. A teraz jedziemy.

W końcu zaszli po prostu do pizzerii i Tala nie miała wątpliwości, że ludzie wezmą ich na języki, a Irene natychmiast o wszystkim się dowie. Szkoda, że sama nie zdąży jej powiedzieć, ale trudno. Najwyższy czas zachowywać się jak dorosła kobieta.

- Chciałbym ci coś powiedzieć - rzekł Pete, sięgając po ostami kawałek pepperoni.

Tala zamarła; w tonie jego głosu było coś, co nie zwiastowało nic dobrego.

Wziął ją za rękę.

- Dziś po południu dzwonił Hildebrandowie. To ci od rezerwatu dla lwów.

Tala wstrzymała oddech.

- Jutro mają przyjechać po Maleńką.

- Nie!

Jej oczy napełniły się łzami.

- Dlaczego tak szybko?

- Chcieli ją zabrać dzisiaj, ale poprosiłem o zwłokę, bo chciałem, żebyś się mogła z nią pożegnać. Ona nie może u nas zostać, Talu. To nie jest dla niej odpowiednie miejsce. A do tego naraża na niebezpieczeństwo cały mój rezerwat.

- Wiem. - Złożyła dłonie. - Zrozum, ja po prostu tak strasznie nie lubię pożegnań. Trochę za dużo ich miałam w życiu. - Podniosła na niego oczy. - Jutro po południu?

- Mary Ann i Jim przyjadą do nas na lunch, a potem ją zabiorą do siebie.

- W jaki sposób? Trzeba ją będzie uśpić?

- Niekoniecznie. Mają specjalny samochód, odpowiednio zabezpieczony, dobrze wentylowany. Pewnie będzie spała przez całą drogę.

Z ociąganiem skinęła głową.

- Zgadzasz się? - zapytał jeszcze Pete.

- Muszę - odparła.

- Jest mi bardzo przykro, że jeszcze to musiałem ci powiedzieć po takim ciężkim dniu.

Tala uśmiechnęła się.

- Chwilami był całkiem niezły... Pete wstał.

- W takim razie chodźmy stąd. Może uda nam się wygospodarować jeszcze chwilkę...

Tak się jednak nie stało. Starczyło im czasu jedynie na kilka pocałunków pod rozgwieżdżonym niebem, podczas karmienia jeleni i saren. Noc była chłodna i jasna. Księżyc nie świecił, lecz do rozświetlenia nieba wystarczało wyraźne pasmo Drogi Mlecznej.

- Wygląda zupełnie tak, jakby ktoś naprawdę wylał mleko z wielkiego dzbana... - Nagle Tala drgnęła. - Słyszysz?

- Co?

- Maleńką. Czasem w nocy, kiedy jest cicho, słyszę od strony rezerwatu, jak ryczy.

- Przecież to niemożliwe. To za daleko.

- Ale posłuchaj, przecież to lew. Wyraźnie słyhać. Pete nadstawił uszu. W chłodnym powietrzu rozległo się coś, co przypominało stłumiony, przeciągły grzmot.

- Słyszysz? To Maleńka - nie ustępowała Tala.

Pete uśmiechnął się i pocałował Talę w czubek nosa, a potem wsiedli do samochodów i odjechali.

Już na szosie Pete otworzył okno i usłyszał ten sam dźwięk. Zmarszczył czoło. To z całą pewnością nie była Maleńka; to był jakiś znacznie większy drapieżnik.

Następnego dnia rano Vertie sama odwiozła dzieci do szkoły, bo Irene uprzejmie, lecz bardzo stanowczo poprosiła Talę, by została z nią na śniadaniu. Kiedy kończyły już drugą filiżankę herbaty, spojrziała na nią z pytaniem w oczach.

- Jak ci się udało wczorajsze popołudnie? - zapytała tonem uprzejmej rozmowy.

- Mogłabym powiedzieć, że było uroczo, ale nie chcę kłamać - odparła z westchnieniem Tala.

- Pan Oxley to bardzo miły człowiek. Pochodzi z dobrej rodziny, jest wykształcony, doskonale wychowany... - zaczęła z namaszczeniem Irene, lecz Tala jej przerwała.

- To wszystko prawda, ale nie jest w moim typie. Przykro mi, Irene.

Irene spuściła oczy i utkwiała wzrok w haftach obrusa.

- A doktor Jacobi jest w twoim typie? - zapytała po chwili, nie podnosząc oczu.

Tala skinęła głową i zebrała wszystkie siły. Nadeszła godzina prawdy i nie było już odwołania.

- Poszliśmy wczoraj wieczorem na pizzę - oświadczyła dzielnie.

- Trzymał cię za rękę.

- Masz bardziej szczegółowe informacje, niż myślałam. Tak, to prawda, trzymał mnie za rękę.

- I to wszystko?

Tala gwałtownie odstawiła filiżankę.

- Dlaczego zadajesz mi takie pytania?

Irene odwróciła głowę, wytarła usta lnianą serwetką i znowu spojrzała na synową.

- Bo się boję - odpowiedziała po prostu.

- Boisz się? Czego?

- Straciłam Adama, straciłam Hollisa, za kilka lat dzieci dorosną i odejdą, Vertie też nie jest najmłodsza, zresztą ona... Bardzo mi z nią oczywiście dobrze, ale sama wiesz, jaka ona jest. Boję się, że i ciebie stracę.

Tala przykucnęła przy jej krześle.

- Irene, nigdy mnie nie stracisz. Ja nigdy od ciebie nie odejdę. Jesteś moją rodziną, matką mojego męża, babką moich dzieci... Ja z tobą zostanę.

- Jestem tylko matką twojego pierwszego męża.

- Przestań, bardzo cię proszę. Pamiętasz, jak było w Biblii? My obie jesteśmy jak Ruth i Naomi. Ruth ponownie wyszła za męża, ale nigdy nie zostawiła Naomi. Przeciwnie, sprawiła, że Naomi żyło się lepiej i szczęśliwiej.

- Wyszła za męża? Ty też zamierzasz wyjść za męża? - Irene gwałtownie drgnęła.

- Tak tylko mówię, teoretycznie, dla porównania. Przecież to niemożliwe. Nie mamy warunków, żeby być razem. Pete Jacobi za cały dom ma dwa małe pokoiki obok pomieszczenia, gdzie bada i operuje zwierzęta.

- Jeśli się pobierzecie, przeniesiecie się do miasta. Z przyjemnością kupię wam dom na prezent ślubny.

Tala wiedziała, ile takie zdanie kosztowało jej teściową. Poczuła dotkliwy ból w sercu.

- Jesteś bardzo kochana. Zawsze taka byłaś, od pierwszej chwili, od tamtego święta Dziękczynienia, kiedy Adam po raz pierwszy przyprowadził mnie do was na kolację. Strasznie się bałam, byłam potwornie spięta, ale ty zachowałam się tak wspaniale, że od razu poczułam się jak w rodzinie. Nigdy ci tego nie zapomnę i nigdy nie przestanę ci być za to wdzięczna.

Irene zerwała się z krzesła tak nieoczekiwanie, że herbata rozlała się, plamiąc jej biały, nieskazitelny kostium. Tala w ostatniej chwili uratowała porcelanową filiżankę. Irene podeszła do okna i stała tam, kurczowo trzymając się zasłony, jakby się bała, że upadnie.

Tala przestraszyła się, że teściowa dostała jakiegoś ataku. Po chwili jednak spostrzegła, że jej ramionami wstrząsa ciche łkanie. Irene batystową chusteczką wytarła nos i nie odwracając się ku Tali, przemówiła cichym, ale bardzo wyraźnym głosem.

- Nie masz mi za co być wdzięczna.

- Nie rozumiem.

Irene wyprostowała się i oparła o parapet.

- Nie masz mi za co dziękować. Ta kolacja to miała być zasadzka. Tak to sobie obmyślałam, ale wszystko przybrało inny obrót. Kiedy Adam nam powiedział, że cię kocha i zamierza się z tobą ożenić, jak tylko wróci z Princeton, a potem zostanie strażnikiem przyrody zamiast iść do szkoły handlowej, myśleliśmy, że razem z jego ojcem dostaniemy zawału. To był dla nas straszny szok.

Tala poczuła dziwny chłód. Zawsze wiedziała, że ojciec Adama jej nie aprobował, ale Irene nigdy nie okazała, że z nią jest tak samo.

- Wiedziałam, że jeśli mu zabronimy się z tobą spotykać, tym bardziej się zaangażuje i już nigdy od ciebie nie odjedzie. Zupełnie jak Romeo i Julia... Dlatego zaprosiłam cię na uroczystą kolację i urządziłam wszystko tak, żeby się okazało, jak bardzo jesteś w naszym domu nie na miejscu. - Irene uśmiechnęła się smutno. - Kazałam wyjąć najlepszą porcelanę i srebra, te wszystkie widelce... Nawet Vertie nie wiedziała, jak się niektórymi posługiwać.

Tala też się uśmiechnęła, i to znacznie weselej.

- Na tydzień przed tą kolacją wypożyczyłam sobie z miejskiej biblioteki jakiś stary podręcznik o tym, jak się zachować przy stole w wytwornym towarzystwie. Nauczyłam się go na pamięć.

Irene otworzyła aż usta ze zdziwienia; oczy miała wilgotne.

- I za to cię kocham. Nigdy bym nie przypuszczała, że zrobisz coś podobnego. To cała ty.

- Chciałam, żeby Adam był ze mnie dumny. Nazw połowy potraw nawet nie umiałam wymówić i byłam pewna, że wszystko zaraz potrączę i rozleję, ale ty traktowałaś mnie tak ciepło i tak serdecznie... Nie podejrzewałam, że to wszystko...

- Nie patrz tak na mnie, Talu. - Irene podeszła, ujęła ją za ramiona i potrząsnęła. - Od pierwszej chwili, kiedy cię ujrzałam, zrozumiałam, że jesteś córką, której nigdy nie miałam, a którą tak bardzo chciałam mieć. Zrozumiałam, że jesteś wymarzoną żoną dla

mojego syna. Od tamtej pory ani na chwilę nie przestałam cię kochać. Wierz mi, taka jest prawda.

- A wszystko dlatego, że wiedziałam, do czego służy każdy widelec? - ze smutkiem w głosie zapytała Tala.

Irene nerwowo zmięła serwetkę.

- Byłam bardzo zazdrosna o Adama. Widziałam, jak na ciebie patrzył, widziałam, jak bardzo cię kocha. Zobaczysz, jak to będzie, kiedy Cody przyprowadzi do domu pierwszą dziewczynę.

- Czy Vertie też uczestniczyła w tej znowie?

- Nie! Skądże! A ja... Zanim wniesiono na stół indyka, myślałam, że umrę ze wstydu.

Ciężko opadła na krzesło, nawet nie zauważając rozlanej herbaty, i ujęła Talę za rękę.

- Od razu wiedziałam, że uszczęśliwisz Adama, pomożesz mu być sobą, dodasz mu odwagi, pozwolisz żyć własnym życiem, a nie życiem jego ojca. Byłaś jego żaglem, sterem i okrętem.

Tala zacisnęła palce na dłoni Irene. Teraz jej oczy też były pełne łez.

- Jesteś młodą kobietą. - Irene pogładziła ją po dłoni.

- Powinnaś mieć kogoś, kogo mogłabyś kochać. Tylko... powiedz, dlaczego to ma być właśnie ten doktor Jacobi? Dlaczego nie możesz sobie znaleźć kogoś... - Irene zawahała się i urwała.

- Bardziej podobnego do Adama - łagodnie zakończyła Tala.

- Zdaję sobie sprawę, że to niemożliwe, ale doktor Jacobi jest taki...

- Duży?

Irene westchnęła, a potem cichutko się roześmiała.

- To też, ale przede wszystkim jest taki sztywny, mało ujmujący. Dzieci go nie lubią, on też chyba ich nie lubi.

Tala przypomniała sobie wydarzenia ostatniej nocy.

- On po prostu zupełnie nie potrafi okazywać uczuć - oznajmiła - ale to nie oznacza, że ich nie ma.

Irene zapatrzyła się przed siebie.

- Jest taki chłodny, nieprzystępny. Jakby stale na coś zagniewany, tyle w nim goryczy...

- Wiem, ale Rachel też nie jest zbyt przystępna i ujmująca, a Cody... Bardzo się o niego boję, Irene.

- Ja też, ale tłumaczę sobie, że to wszystko minie, kiedy tylko odzyska wewnętrzną równowagę, a na to trzeba jeszcze czasu.

- Tak strasznie się przestraszył tych słoni. Biedna Sophie. I pomyśleć, że zwykle Cody jest taki dzielny. Na boisku nie boi się zaatakować o wiele starszego chłopaka, który waży dwa razy tyle co on. A przy baseballu... Sama widziałaś, jakie piłki odbiera.

- Ale to są sytuacje, do których jest przyzwyczajony, to jego codzienność. A słonie doktora Jacobiego to dla niego zupełna nowość. Sądzę, że Cody jest bardzo niepewny, boi się, że znowu kogoś straci. Powinnaś przy nim być. Zabierz go w weekend na farmę.

Tala spojrzała na nią ze smutkiem.

- Nigdy ci tego nie mówiłam, ale ostatnim razem, kiedy tam nocował, miał całą noc koszmarne sny i musiałam przy nim siedzieć i trzymać go za rękę.

- Boże...

- Nie chciałam cię dodatkowo martwić. Ale dlatego od tamtej pory już go nie namawiam, żeby ze mną jeździł. Rachel też woli mieszkać u ciebie. To znacznie bardziej jej odpowiada na obecnym etapie życia. Może pokazywać koleżankom, że mieszka w najpiękniejszym domu w mieście, a nie na jakiejś opuszczonej farmie na odludziu. A Cody, mój mały Cody, po prostu boi się mieszkać w swoim domu.

- On się boi, że cię straci. Ja, prawdę mówiąc, też się stale tego boję. Boję się, że utracę was wszystkich/Mieszkam z twoimi dziećmi, ale tak naprawdę to przecież nie mam do nich żadnego prawa.

- Ty nie masz prawa? Przecież jesteś ich babką, ich jedyną rodziną. Irene, ty jesteś ich jedynym, prawdziwym oparciem, jesteś przy nich i zawsze masz dla nich czas.

Wiem, że Rachel miała w szkole lekcje wychowania seksualnego, ale ze sprawą pierwszej miesiączki przyszła właśnie do ciebie i to ty wszystko jej wytłumaczyłaś. Irene oblała się rumieńcem.

- To akurat wytłumaczyła jej Vertie.

- Nieważne. Chciałam powiedzieć, że moje dzieci mogą być szczęśliwe, dlatego że mają z kim porozmawiać o swoich problemach. Jak nigdy nikogo takiego nie miałam. Przecież z Sakari nie można było o niczym mówić. Kiedyś próbowałam ją o coś zapytać i usłyszałam, żebym zamknęła buzię, bo od razu widać, że ze mnie takie samo ladaco jak z mojej matki.

Tala spuściła głowę, Irene pogłaskała ją po włosach.

- Kochanie moje, biedactwo.

Tala uniosła głowę, opanowała się już.

- Nigdy nie potrafiłam porozumiewać się z ludźmi, zawsze z tym miałam problemy. Dopiero kiedy spotkałam Adama... otworzyłam się, a potem byłeś ty i Vertie. Zawsze będziesz dla mnie kimś wyjątkowym, bardzo bliskim i kochanym. Pamiętaj o Ruth i Naomi.

Irene głęboko westchnęła.

- Naomi nigdy nie planowała tak urządzić Ruth jak ja ciebie w tamto święto Dziękczynienia. Czy potrafisz mi przebaczyć?

Tala wzruszyła ramionami.

- Nie uczyniłaś nic złego, po prostu chciałaś, żeby twój syn miał dobre życie. Przecież ja każdego bym wystraszyła. Jakaś mała dzikuska nie wiadomo skąd, z jakiejś farmy, wychowywana przez zupełnie prostych ludzi, która nigdy nawet nosa nie wyściubiła z Bryson's Hollow. Ja pewnie na waszym miejscu postąpiłabym tak jak ojciec Adama i zakazała mu się z kimś takim spotykać. Irene roześmiała się, a potem zaraz spoważniała.

- Kochasz tego doktora Jacobiego? - zapytała.

- Dopóki dzieci go nie aprobuja, nie jest ważne, co do niego czuję. - Tala wyprostowała się i z jeszcze większym smutkiem spojrzała na teściową. - Bardzo bym chciała, żeby on był taki spokojny, zrównoważony i pewny jak Adam, ale...

- Nikt taki nie jest, Talu - szepnęła Irene. Tala mocno ucałowała ją w policzek.

- Jaki śliczny, wzruszający obrazek... - Na progu ukazała się Vertie. - Czyżbyście się do śniadania napiły bourbona, że takie jesteście czułe?

- Nie. - Iren w szybko otarła oczy, delikatnie, by nie zmazać makijażu. - Ale nie mogę ci przyrzec, że nie napiję się jeszcze przed lunchem.

- A co? Umarł ktoś? - uśmiechnęła się ironicznie Vertie.

- Nie - odparła Tala - żyjemy wszyscy, i to z każdą chwilą bardziej intensywnie. - Wstała i jeszcze raz pocałowała Irene. - A teraz na mnie już czas. Nie mogę się spóźnić do pracy. Dziewczęta nie lubią czekać.

Mary Ann Hildebrand była postawną, siwowłosą kobietą o ogorzałej twarzy, energicznych ruchach i donośnym głose. Miała błękitne wesołe oczy i zmarszczki na twarzy.

Jej mąż miał około pięćdziesiątki, był szczupły, niski i bardzo ruchliwy. Kiedy wyskoczyli z dużego samochodu, Tala natychmiast pomyślała o Afryce i safari.

Apetyty mieli jak drapieżnicy, którymi się opiekowali, i opiekane kanapki Mace'a zniknęły ze stołu jak zaczarowane. Tala siedziała wciśnięta w kąt przyczepy i w milczeniu przysłuchiwała się rozmowom o polowaniach, safari, pracy w zoo i problemach z prowadzeniem rezerwatu.

Mary Ann postanowiła jej nieco przybliżyć omawiane problemy.

- Musisz wiedzieć - powiedziała, zwracając się do Tali - że nie tylko my i Pete prowadzimy coś takiego. W naszym stanie jest sporo takich placówek. Jest bardzo dużo porzuconych i skrzywdzonych zwierząt, którym trzeba pomóc. Zajmujemy się właśnie takimi ofiarami bezmyślności i próżności ludzkiej. My i tacy szaleńcy jak my.

- Mrugnęła do niej okiem. - A teraz może będzie lepiej, jak się zajmujemy naszą nową podopieczną.

Jim nie poruszył się.

- Poczekaj, aż skończę kawę. Dawno nie piłem tak dobrej. Mace zna się na rzeczy, a ja już zapomniałem, jaki z niego znakomity kucharz.

Małeńka siedziała w swojej klatce, patrząc na Talę i Mary Ann złotymi nieruchomymi oczami. Mary Ann przyklękła przy niej.

- Jak się czujesz, panienko? Jesteś gotowa do podróży? Czeka już na ciebie twój nowy dom.

Lwica poruszyła lekko łbem, postawiła uszy.

- Jest jeszcze bardzo młoda - stwierdziła Mary Ann.

- Może mieć najwyżej jakieś dwa lata. Ta rana wygląda bardzo dobrze, Pete jest doskonałym chirurgiem. Pracował z moim Jimem przedtem, zanim...

Umilkła zmieszana i spojrzała na Talę.

- Wiem, co się stało - uspokoiła ją Tala.

- To dobrze, bo ja nie bardzo umiem trzymać język za zębami. - Mary Ann roześmiała się i lwica podskoczyła.

- Widzisz? Jim zawsze mówi, że śmieję się, jakby ryczał lew. Pewnie ma rację. On się na tym zna, a ja nigdy nawet nie przypuszczałam, że będę się w życiu zajmować lwami.

- Poglądziła Maleńką po łbie. - Skończyłam historię sztuki i marzyła mi się praca w jakimś cichym, małym muzeum.

- Co sprawiło, że zmieniłaś zdanie?

- Nie co, tylko kto. Jim Hildebrand we własnej osobie, jego sny i marzenia. - Wstała. - A teraz nie wyobrażam sobie, że mogłabym robić co innego. Jim, podstaw samochód, żeby ona mogła od tyłu do niego wejść.

- Nazywamy ją Maleńka.

- Doskonale. Maleńka, chodź do mamusi.

Lwica przeszła do samochodu z taką gracją, jakby udawała się na koronację. Tala wtuliła się w ramiona Pete'a i próbowała nie płakać.

Potem załadowali pokarm dostarczony przez zoo i resztki mrożonego mięsa przywiezionego przez Talę. Samochód zaopatrzony był w lodówkę i karmie nic nie groziło.

Kiedy Hildebrandowie już mieli odjeżdżać, Jim wychylił się przez okno i skinął na Pete'a.

- A co się tyczy tamtej sprawy - powiedział - to jak niczego nie znajdziesz, zadzwoń do mnie. Zawiadomię kogo trzeba, postawię ich w stan pogotowia. Załatwimy to, nic złego się nie stanie, zobaczysz.

- O czym on mówił? - zapytała Tala, kiedy odjechali.

- Powiem ci później, jak już będę pewien.

- Powiedz mi teraz. Pocałował ją w czubek nosa.

- Daj mi czas do jutra. A na razie przyrzeknij, że dzisiejszą noc również spędzisz w mieście.

- Pete...

- Mam wrażenie, że zaczynam rozumieć wydarzenia ostatnich dni. Muszę tylko coś jeszcze sprawdzić.

Tala zeszywniała.

- Pete, proszę, nie rób nic, co może okazać się niebezpieczne.

- Przyrzekam. A ty zostań dziś u teściowej, dobrze? Wolałbym, żebyś została ze mną, ale Irene chyba nie byłaby zadowolona.

- Już jej powiedziałam, że się widzimy.

- To my się widzimy? Tak nazywasz to, co robimy? Nigdy bym nie przypuszczał. - Zrobił niewinną minę i mrugnął okiem.

- Przestań, Pete. Trzeba nakarmić słonie, już się niecierpliwią.

- Co zamierzasz zrobić z Talą?

Mace uważnie spojrział na syna i najwyraźniej czekał na jego odpowiedź. Siedzieli właśnie w przyczepie i jedli kolację.

- Na razie niewiele mogę chyba zrobić, nie sądzisz? - odparł Pete.

- Sądzę, że jest wręcz przeciwnie.

Pete wstał i zaczął krążyć po niewielkim pomieszczeniu niczym lew w klatce.

- To nie jest łatwa sprawa, istnieją pewne przeszkody.

Mace spojrział na niego znad okularów.

- Chyba nie masz na myśli tego, co się stało podczas tej nieszczęsnej sobotniej wizyty? - zapytał.

Pete rzucił się na kanapę, oparł wysoko nogi i przymknął oczy.

- Ta wizyta to tylko część niepowodzeń. Czekają mnie jeszcze następne. Chyba nie sądzisz, że Irene pozwoli, żeby Tala mieszkała w takich warunkach. Uważa, i słusznie, że Tali należy się coś znacznie lepszego. Mieszkam w dwóch klitkach i jest mi z tym dobrze, ale nie mogę wymagać, żeby Tala się zgodziła żyć w takich warunkach. Ona chce mieszkać z dziećmi pod jednym dachem jak prawdziwa rodzina. Jak prawdziwa, dobrze sytuowana rodzina.

Machnął ręką w stronę, gdzie znajdowały się słonie.

- A jaka tam ze mnie rodzina.

- Jeśli szukasz wymówki - zaczął poważnie Mace - to musisz znaleźć sobie coś lepszego. Przecież chyba potrafisz.

- Jakiej wymówki? - Pete aż podskoczył. - Nie muszę szukać żadnych wymówek. Jej dzieci mnie nie znoszą. Syn potwornie boi się słoni, a ja, jak może zauważyłeś, pracuję ze słoniami i z tego nigdy nie zrezygnuję. Moje dziewczęta są dla mnie tak samo ważne jak dla Tali rodzina.

- Oczywiście, ale pamiętaj, że postawę małego chłopca można łatwo zmienić. Potrzeba tylko trochę czasu i cierpliwości.

- Postawę teściowej jest zmienić znacznie trudniej.

- Co nie znaczy, że nie można tego zrobić. Przecież Irene zależy tylko na szczęściu Tali i jej dzieci, podobnie jak tobie.

- Irene nigdy nie zgodzi się na to, żebym ja uczestniczył w tym szczęściu. Zresztą, wcale nie znam się na dzieciach, nie umiem z nimi postępować. Zwłaszcza z dziećmi tak pokrzywdzonymi przez los jak one. Wiem coś o tym, bo sam taki byłem.

- Ale jakoś przeżyłeś.

- Owszem, i to w świetnej formie. Gratulacje, tato. Mace powoli wstał od stołu, zebrał talerze i wstawił je do zmywarki. W ciszy, która zapadła odezwał się pierwszy.

- Wielu mężczyzn nigdy nie zaznało miłości kobiety. Ty należysz do nielicznych, synu, którym przytrafiło się to dwa razy. Za pierwszym razem zmarnowałeś okazję, a teraz... Mogę ci tylko szczerze życzyć, żebyś skorzystał z doświadczenia i nie pozwolił, żeby to się powtórzyło.

Nie powiedział nic więcej; sięgnął po kurtkę, włożył ją i wyszedł z przyczepy. Pete zerwał się, gotów za nim biec. Jak ojciec śmie, jak on może prawić mu kazania?

Powstrzymał się i wrócił na kanapę. Czy gdyby Val żyła, potrafiłby zatrzymać ją przy sobie? Nosiła pod sercem jego dziecko. Gdyby mu o tym powiedziała, natychmiast by ją poślubił.

Ale czy kobiecie wystarcza, że ktoś się z nią żeni, bo „tak należy zrobić”? Val na pewno by nie wystarczyło. Wyjechałaby do Los Angeles i przyjęła tamtą pracę. Zawsze uważał, że ją kocha. Teraz wiedział, że nie kochał jej wystarczająco mocno. Ona wiedziała o tym od początku, dlatego tak się wtedy pokłócili. Zrzuciła mu to, on zaprzeczył, ale w głębi duszy musiał przyznać jej rację.

A co z Talą? Czy kocha ją wystarczająco mocno, by się z nią ożenić, polubić jej dzieci i całą rodzinę? Czy może woli resztę życia spędzić w samotności?

Nie, tego był pewien. Dlatego musi znaleźć sposób, żeby im wszystkim zapewnić normalne, spokojne życie. Tali, Rachel i Cody'emu. Jej dzieci należą do niej i musi ją wziąć razem z nimi. Tak jak ona weźmie go z Mace'em i słońcami.

Wstał, żeby poszukać ojca. Musi go przeprosić. Co więcej, musi po raz pierwszy w życiu poprosić go o radę.

Rozdział 16

- Co ty tam jeszcze robisz? - zapytał z niepokojem, kiedy Tala podniosła słuchawkę. - Powinnaś już być w mieście.

- Nie powiesz mi „dzień dobry” albo „tęsknię za tobą”, albo czegoś równie miłego? - spytała żartobliwie.

- Masz natychmiast opuścić farmę.

- Pete, naprawdę zaczynasz mnie niepokoić. O co chodzi?

- Jedź do miasta, i to natychmiast. Później ci wszystko wyjaśnię.

- Dobrze.

Rozłączyła się i dopiero wtedy poczuła strach. Wbrew temu, co sądził Pete, dotychczas wszystkie złe rzeczy zdarzały się na farmie podczas jej nieobecności, ale to się przecież mogło zmienić.

Tym razem spakowała rzeczy w solidną, skórzaną walizkę Adama, z którą podróżował w czasie studiów. Noc była jasna, trochę się ociepliło; jelenie i sarny pewnie przyjdą dzisiaj wcześniej.

Wtaszczyła walizkę do samochodu i już zamierzała wsiadać, kiedy usłyszała dobrze znajomy dźwięk. Odległy ryk lwa...

Chyba oszalała albo ma halucynacje. Przecież Maleńka znajduje się teraz kilkaset kilometrów stąd i pewnie śpi sobie spokojnie w nowym domu. Skąd się wziął w takim razie ryk lwa?

Usiadła za kierownicą, zablokowała drzwi i włączyła światła. A jeśli Maleńka miała towarzystwo? Czy dlatego właśnie Pete był taki zdenerwowany? Czy Hildebrandowie powiedzieli mu, że w okolicy grasuje jeszcze jeden lew? Jeleń nie potrafi umknąć polującemu lwu, człowiek też nie...

W zablokowanym samochodzie czuła się raczej bezpieczna, a do Hollandale lew nie mógłby dotrzeć; nie zdołałby się pojawić nawet na przedmieściach, przecież ktoś by go zauważył.

Chciała po drodze wstąpić do rezerwatu, ale nie miała czasu. Zadzwońi do Pete'a później, po kolacji.

Kiedy wreszcie o dziesiątej mogła to zrobić, nie zastała go w domu.

- Nie ma go, kochanie - oznajmił Mace. Poczowała, jak włosy stają jej na głowie.

- Gdzie on jest?

Próbowała mówić spokojnie, ale przerażenie dawało się słyszeć w jej głosie.

- Nie wiem, nie powiedział mi. Wyjechał w jakiejś sekretnej misji doktora Hildebranda.

- Proszę, niech zadzwoni do mnie, jak tylko wróci, dobrze? Bardzo proszę. Bez względu na porę.

Wsunęła się pod kołdrę i leżała tak, trzęsąc się ze strachu. Pete chyba nie będzie na tyle szalony, żeby sam w nocy tropić po lesie lwa. Przecież w takich warunkach człowiek nie ma żadnych szans.

Wstała z łóżka i zaczęła się ubierać. Musi go znaleźć. Natychmiast. Właśnie wciągała przez głowę sweter, kiedy zadzwonił telefon.

- Tak? Słucham - powiedziała drżącym głosem. Usłyszała głos Pete'a i zrobiło jej się słabo. Przysiadła na łóżku, obiema dłońmi chwytając słuchawkę.

- Gdzie byłeś? Tak strasznie się o ciebie bałam.

- Dlaczego?

- Znowu słyszałam ryk lwa. To nie mogła być Maleńka. Próbowaleś go znaleźć, prawda, tego drugiego?

Słyszała, jak Pete wstrzymuje oddech.

- Jeździłem i trochę nadśluchiwałem. Pokręciłem się po okolicy, nic nie znalazłem i wróciłem.

- Nie myślę się, prawda? W lesie jest jakiś drugi lew? Właśnie to ci powiedział Jim?

- Dokładnie nic nie wiem. Trudno powiedzieć.

- W takim razie, o co chodzi?

- Nie przyjeżdżaj jutro do pracy. Rano my przyjedziemy do was z Mace'em i wszystko opowiemy.

- Nie znoszę takiej zabawy w ciuciubabkę.

- Będziemy potrzebowali Irene. Chodzi o to, żeby załatwić coś z władzami miejskimi. Lepiej jak jej wszystko powiemy osobiście. Jestem prawie pewien, że dzisiejszej nocy nic nikomu nie grozi. Przez chwilę milczał.

- Kocham cię nad życie - dodał wreszcie i zaraz się rozłączył.

Wróciła do łóżka w ubraniu i tak przeleżała do rana. Czy Pete nie rozumie, że miłość to zaufanie? Czy nie rozumie, że ona boi się o niego bardziej, kiedy nie wie, co mu może grozić?

Jak Pete może ją kochać i tego wszystkiego nie wiedzieć?

- Zawiozę dzieci do szkoły i wrócę przed przyjazdem Jacobich.

Tala poinformowała już obie panie o spodziewanej wizycie i teraz zamierzała działać.

- Dzisiaj nie ma lekcji - oznajmiła Irene - bo nauczyciele mają jakieś zebranie. Mam nadzieję, że nie próbowałaś budzić dzieciaków.

Tala opadła na najbliższe krzesło.

- Ja już nawet nie znam ich planu lekcji - powiedziała z westchnieniem.

Irene uśmiechnęła się do niej smutno.

- Może powinnam rzeczywiście przenieść się do miasta - ciągnęła Tala, jakby wsłuchana w swoje myśli. - Może masz rację. Może trzeba się rozejrzeć za jakimś domem. To będzie coś skromnego, na nic więcej mnie nie stać, ale Rachel musi się z tym pogodzić. A farmę po prostu wydzierzawię; niech ktoś jej pilnuje, zanim postanowię, co z nią dalej robić.

Irene podeszła do niej i położyła dłoń na jej ramieniu.

- Nie bądź taka smutna. Przecież tak właśnie powinno być. Pomogę ci kupić dom, i to naprawdę duży i wygodny. To przynajmniej mogę dla ciebie zrobić.

Tala w milczeniu skinęła głową.

- Jeśli masz na myśli pożyczkę, to chętnie ją przyjmę, ale tylko pożyczkę. Nie chcę, żebyś mi dawała pieniądze.

- Dobrze, zrobimy jak zechcesz, ale powiedz, dlaczego nagle zmieniłaś zdanie?

- Dłużej już tego nie mogę znieść. Na próżno sobie wmawiam, że robiąc to, czego wszyscy ode mnie oczekują, pozostaję w dalszym ciągu sobą. Nie jestem sobą i nie robię tego, co chciałabym robić.

- A co chciałabyś robić? - zapytała w napięciu Irene.

- Nie wiem, sama nie wiem. Chciałabym może, żeby ktoś się liczył z moim zdaniem.

Irene nie zdążyła odpowiedzieć, bo właśnie rozległ się dzwonek. Vertie otworzyła gościom drzwi.

- Czym można panów poczęstować? - spytała. - Kawa, herbata, może coś do zjedzenia?

Pete wszedł, nie spuszczając oczu z Tali. Jego wygląd zawsze wzbudzał respekt, ale dzisiaj prezentował się naprawdę po królewsku. Król lew, przemknęło Tali przez głowę.

- Usiądźmy - powiedział. - Musimy poważnie porozmawiać.

- Cóż takiego się stało? - Vertie usiadła z miną osoby, której nic na bożym świecie nie jest w stanie zaskoczyć.

- Najpierw muszę paniom pewną rzecz wyjaśnić - rzekł Pete. - Oczywiście, jeśli Tala się zgodzi.

Tala prawie niedostrzegalnie skinęła głową.

Pokrótko opowiedział im historię znalezionej przez Talę na szosie Iwicy, wzbudzając pełne grozy westchnienia Irene i Vertie.

- Teraz Maleńka znajduje się w rezerwacie w Knoxville - zakończył uspokajająco.

- Bogu dzięki! - zawołała Irene. - Kto by pomyślał! Lew w Hollandale County! Zawiadomił pan już szeryfa?

- Jeszcze nie.

- A po co? - buńczucznie zapytała Vertie. - Nie ma po co mu mówić, skoro ta Iwica już jest daleko stąd. Zaraz o wszystkim się dowiedzą te pismaki z gazety, roztrąbią po okolicy i ludzie dobiorą ci się do tych twoich słoni, chłopcze. A tak cicho, sza, i nie ma sprawy.

Mace poruszył się na krześle.

- Chodzi właśnie o to - rzekł, pochylając się ku niej - że sprawa jest. Wiele wskazuje na to, że nasza Iwica nie była sama.

- Jak to?!

Tala przymknęła oczy. A więc naprawdę istnieje drugi lew, nic jej się nie przyśniło. Maleńka miała towarzystwo. Zaraz zawiadomią o tym szeryfa, on wezwie odpowiednie służby i zrobią z lwem porządek. Może się w to włączy związek łowiecki, a wtedy koniec. Zawsze się znajdzie jakiś myśliwy z bożej łaski, co dobrze zapłaci za takie „polowanie”. O ile najpierw ten drugi lew kogoś nie pożre...

Pete spojrzał na Vertie.

- Nie bardzo wiem, jakie prawa łowieckie obowiązują w stanie Tennessee. Chciałbym porozmawiać z kimś, kto się na tym zna.

Vertie założyła nogę na nogę.

- Całe życie polowałam, młody człowieku - rozmarzyła się, gotowa natychmiast streścić mu choć część swoich łowieckich przygód. - A mój wnuk był strażnikiem przyrody - zakończyła nieoczekiwanie.

Irene okazała się bardziej rzeczowa.

- O ile pamiętam, nikt nie składał w radzie miejskiej podania o zezwolenie na trzymanie lwa - oświadczyła. - Zwykle sypiam na posiedzeniach rady, ale coś takiego na pewno by mnie obudziło.

- Pozwolenie widocznie nie było potrzebne. Irene położyła rękę na piersi.

- Jak to? Trzymali go... nielegalnie, i on im... uciekł?

- Nie, nie sądzę, że im uciekł. Zresztą, on nie jest sam. Tala podskoczyła.

- Jak to! Jest ich więcej niż jeden?

Pete instynktownie chwycił ją za rękę. Potem puścił jej dłoń i znowu zwrócił się do starszych pań.

- W tym stanie znajduje się kilka rezerwatów dla dzikich zwierząt. Właściciele są w stałym kontakcie i wymieniają się informacjami o zwierzętach, które są źle traktowane albo porzucone. Czasem może im się przytrafić jeszcze coś gorszego...

- Jak to? Co może być gorszego? - Teraz nawet Vertie była szczerze zaciekawiona.

- Kiedy moi znajomi przyjechali zabrać od nas lwicę do swojego rezerwatu, powiedzieli mi, że od pewnego czasu w naszym środowisku pojawiają się pogłoski o nielegalnych polowaniach. Ktoś organizuje łowy na egzotyczne zwierzęta.

Irene jęknęła, Tala przyłożyła chusteczkę do ust, Vertie oniemiała.

Teraz głos zabrał Mace:

- Początkowo myśleliśmy z synem, że ta lwica Tali to tylko odosobniony przypadek, ale Jim Hildebrand powiedział mi, że ona może być jednym ze zwierząt sprowadzonych tu nielegalnie przez organizatorów tych polowań. Sporo na tym można zarobić... Nasza lwica została pewnie postrzelona w czasie ucieczki.

Vertie i Irene siedziały bez ruchu, ciche i nieme, jak dwa słupy soli.

- Po tym, co słyszałem wczoraj w nocy, myślę, że Jim się nie myli.

Pete objął Talę i przytulił ją do siebie, nie zważając na zebranych.

- Dlatego jeździłem w nocy po lesie, kochanie - rzekł łagodnie. - Nie chciałem ci nic mówić, póki nie będę pewien. Myślę, że to dlatego ktoś chciał cię wykurzyć w nocy z domu. Po zapadnięciu zmroku wielkie drapieżniki zaczynają ryczeć. W ciszy nocnej głos bardzo daleko niesie. Ktoś bał się, że usłyszysz. I usłyszałaś, ale myślałaś, że to Maleńka.

- Dlatego próbowali zepchnąć mnie z drogi, a potem podpalili stodołę? - W głosie Tali zabrzmiał lęk i niedowierzenie.

- Myślę, że organizatorzy mają ludzi wynajętych do pilnowania zwierząt. To pewnie oni próbowali cię unieszkodliwić.

- I to oni postrzelili Maleńką?

- Chyba tak. Nie zdążyli jednak jej zastrzelić, bo nadjechałaś i zabrałaś ją z szosy. Pewnie nie mają pojęcia, czy żyje, czy też nie. Mogę się założyć, że za każdym razem, jak wchodzi do lasu, dobrze się rozglądają, czy im nie skoczy z jakiegoś drzewa na głowę. Irene z wolna odzyskiwała mowę.

- To bardzo interesujące, młody człowieku, ale jakie ma pan dowody?

- Ostatniej nocy zupełnie wyraźnie słyszałem lwy.

- Skąd nadchodziły te odgłosy?

- Mogę to określić jedynie w przybliżeniu. Ale tego, co usłyszałem, jestem na tyle pewien, że powiadomiłem o wszystkim Hildebrandów. Mają tu przyjechać, ale to kwestia kilku godzin.

Vertie z wyższością spojrzała na synową.

- Gdybyś polowała, moja droga, nie zadawałabyś takich pytań. Jest niezwykle trudno określić, skąd nadchodzi głos zwierzyny, bo wszystko, ukształtowanie terenu, pora dnia i nocy, a nawet pogoda, mają na to wpływ. Niby wyraźnie słyszysz, a nie wiesz, w którą stronę iść. To strasznie denerwujące, zwłaszcza o drugiej nad ranem.

Irene wzruszyła ramionami.

- Jakoś nie mogę wzbudzić w sobie żalu za tym, że nigdy nie uganiałam się nocą za szopami. - Zwróciła się do Pete'a. - A może słyszał pan głos pumy?

- Pумы zawsze, poza okresem godowym, żyją pojedynczo, a ja słyszałem głosy kilku zwierząt. Widziałem też w lesie światła. Tam muszą być ludzie i zwierzęta. Zwierzęta siedzą w klatkach, a ludzie pilnują ich i będą tak robić do przyjazdu myśliwych. Potem zaczną je pojedynczo wyprowadzać z klatek, prosto na linię strzału.

Vertie nagle spoważniała.

- Gdzie widziałeś te światła, synku?

Coś w jej głosie sprawiło, że Pete bacznie na nią spojrzał. Vertie oparła łokcie na kolanach i wytrzymała jego wzrok.

- To było jakieś trzydzieści kilometrów od farmy Tali, tak mi się wydaje, bo droga tam jest bardzo kręta i trudno to dokładnie obliczyć. W nocy zresztą niewiele widać. Z grubsza, tam za tymi wzgórzami.

Vertie zgarbiła się i przymknęła oczy.

- Jestem starą wariatką, jestem starą głupią kobietą... Irene podskoczyła na krześle.

- Nic podobnego, nie mów tak!

- Jestem, Irene, jestem, a może i gorzej. Wszystko wskazuje na to, że oni siedzą na mojej ziemi.

W głębokiej ciszy, która teraz zapadła, Vertie spojrzała na Mace'a.

- Nie bardzo wiedziałam, co zrobić z tą ziemią, zamierzałam ją nawet sprzedać. Na razie jednak, jakiś czas temu, po prostu ją wynajęłam. Stoi tam drewniany szałas, który tatuś zbudował własnymi rękami, bo zamierzał tam polować. Nie jest to nic nadzwyczajnego, ale przespać się w nim można.

- I ktoś w nim śpi?

- Nie wiem. Myślałam, że będą tam przyjeżdżać tylko w czasie sezonu, pod koniec tygodnia, na polowanie. Nigdy tam nie zaglądałam, a powinnam. Płacą mi zbyt dobrze, żeby to nie było podejrzone.

- Kto płaci? - zapytał Mace.

Vertie zrobiła nieokreślony ruch dłonią.

- Jakiś związek łowiecki, z Charlotte albo z Richmond. Tak się jakoś dziwnie nazywają. Nawet nie przeczytałam umowy wynajmu, jest w biurze mojego adwokata.

- A skąd przychodziły czeki?

- Nie wiem. Dwa razy do roku pieniądze przesyłano na moje konto w banku.

Irene przejęła prowadzenie.

- Najlepiej będzie, jak zaraz każesz swojemu adwokatowi przefaksować nam tę umowę. Zobaczymy, co i jak. Na szczęście, mam w domu faks - wyjaśniła gościom. - Kazałam go założyć z powodu moich funkcji w radzie miejskiej.

Vertie pokornie pokiwała głową, wstała i poszła w stronę drzwi. Nagle stała się bardzo stara i bardzo mała.

- Vertie! - zawołała Irene podniesionym głosem. - Głowa do góry! Przecież to nie twoja wina. Zaraz się wszystko załatwi.

- Ale, Irene, jak sobie pomyślę o tych biednych zwierzętach... - Nieustraszona Vertie o mało się nie rozplakała.

- Ale one żyją, na razie nic im się nie stało. Pete słyszał je w nocy. - Irene po raz pierwszy użyła imienia doktora Jacobiego i Tala natychmiast zwróciła na to uwagę. - A teraz powinniśmy zadzwonić do szeryfa Craiga i poprosić, żeby postawił swoich ludzi w stan pogotowia. Musimy powstrzymać tych drani!

W drzwiach wiodących do salonu ukazał się Cody.

- Jakich drani, babciu? O kim ty tak brzydko mówisz? Irene zaczerwieniła się.

- Nie powinieneś tego słyszeć, kochanie, ale trudno.

W tym przypadku to określenie było jak najbardziej słuszne. Na ogół, jak wiesz, nie mówię tak o ludziach. - Chwyciła Pete'a za ramię. - Nie traćmy czasu. Musimy zacząć działać.

- Czy Rachel jeszcze śpi? - zapytała Tala.

- Tak, mam, jak zwykle.

- Idź do niej, każ jej wstać, i zejdźcie tu do mnie. Cody coś mruknął, ale posłuchał, Tala zaś zwróciła się do Mace'a.

- Może one rzeczywiście wszystkie są w klatkach, ale jeśli choć jedno z tych zwierząt jest teraz na wolności, to bardzo bym chciała, żeby moje dzieci znalazły się zaraz tam, gdzie jest bardzo wysokie ogrodzenie i grube żelazne pręty zakończone ostro oraz dobrze uzbrojony, doświadczony mężczyzna.

Mace skinął głową.

- Rozumiem, to bardzo dobry pomysł. Ale przecież Cody panicznie boi się słoń.

Tala przez chwilę patrzyła na niego bez słowa.

- Zaraz z nim porozmawiam. Do salonu weszła Vertie.

- Adwokat przed chwilą przefaksował mi umowę - oświadczyła. - Ta organizacja nazywa się Międzystanowe Safari. - Uniosła brwi. - Ślicznie, prawda? Czeki przychodzą z jakiegoś banku w Charlotte. Szeryfowi pewnie się uda ustalić listę członków tego „klubu”, ale to zajmie sporo czasu.

- A tego właśnie nie mamy. Pete wstał. Irene wstała również.

- Szeryf już tam jedzie - oznajmiła.

- A co my możemy na razie zrobić? - zapytała Tala. Nie otrzymała odpowiedzi, bo w drzwiach ukazała się zaspana Rachel.

Miała na sobie dzinsy i rozciągnięty sweter, a minę - znudzoną i niezadowoloną.

- Dlaczego mnie obudziłaś, mamó? Matka podeszła do niej.

- Chodźcie, chcę wam coś powiedzieć.

Tala zgarnęła swoją dwójkę jak kwoka pisklęta, wyszła z nimi do przyległego pokoju i przez chwilę milczała, uważnie im się przyglądając.

- Mamy pewien kłopot - odezwała się wreszcie. - Chciałabym, żebyście nam pomogli.

Na twarzy Cody'ego ukazało się przerażenie.

- Ale jak, mamó? Jak my możemy wam pomóc? Tala uklękła przy nim i wzięła go za rączkę.

- Ty i Rachel musicie się natychmiast znaleźć w jakimś bardzo bezpiecznym miejscu. Takim miejscem jest rezerwat doktora Jacobiego. Dlatego bardzo was proszę, żebyście tam pojechali z Mace'em.

- Obiecałaś, że następnym razem to ty pojedziesz ze mną do słoni...

- Nie pojedziesz do słoni, skarbie, nawet ich nie zobaczysz. Będziecie siedzieć z Mace'em w jego przyczepie. A ja niedługo do was przyjadę i wtedy zapoznam cię z dziewczętami, tak jak przyrzekłam.

- A gdzie będziesz przedtem?

- Jeszcze trochę muszę tutaj zostać, ale nic złego mi się nie stanie. Będę o wiele spokojniejsza, wiedząc, że wy jesteście bezpieczni. To mi bardzo pomoże.

Spojrzała na Rachel; w oczach córki dostrzegła strach.

- A co ci grozi, mamó? Coś jest w powietrzu? Jakaś choroba, wirus czy coś takiego?

Tala przecząco pokręciła głową.

- Na razie nie dzieje się nic złego i nic nikomu nie grozi. Robimy tak tylko na wszelki wypadek. Cody, zgadzasz się pojechać do rezerwatu?

Cody przez chwilę patrzył na nią bez słowa.

- Czy babcia będzie mogła z nami pojechać? - zapytał w końcu.

- Myślę, że tak, jeśli ją ładnie o to poprosisz. Chłopiec skinął głową.

- W takim razie pojedę. Ale ty przyjedziesz do nas, tak jak obiecałaś?

- Jasne. - Pocałowała go w policzek. - Jesteś bardzo dzielny chłopcem.

Kilka minut później Tala stała na ganku i patrzyła, jak Mace, Cody, Rachel i Irene wsiadają do samochodu. Pomachała im ręką na pożegnanie i odjechali.

Samochód szeryfa zjawił się zaraz potem. Craig szybkim krokiem wszedł do salonu.

- Czy ktoś mi może w dwóch słowach wyjaśnić, o co chodzi?

Pete i Vertie wszystko mu opowiedzieli.

- Jeśli to prawda, trzeba się będzie temu przyjrzeć bliżej. - Szeryf Craig podszedł do okna i zerknął na zewnątrz. - Gdzie się, u licha, podziewa ten Billy Joe? Przecież miał za mną jechać. - Wyjął nadajnik. - Billy Joe? Jesteś tam? Dlaczego on się nie zgłasza?! Co jest z tym chłopakiem...

Potem połączył się ze swoim biurem w mieście.

- Mielicie łączność z Billym od mojego wyjazdu? Przez chwilę słuchał.

- Nic takiego - odrzekł wreszcie - tylko nie wiem, co się z nim stało. Jak go zlokalizujecie, każcie mu się zaraz do mnie zgłosić.

- Nie możemy czekać - oświadczyła Vertie - nie ma co marnować czasu. Musimy natychmiast sprawdzić, co się tam dzieje.

- My? - Brwi szeryfa podjechały do góry. - Pani nigdzie nie jedzie, pani zostaje tutaj.

Vertie energicznym ruchem wyciągnęła z kieszeni spodni kluczyki od samochodu.

- Mylisz się, chłopcze, właśnie, że jadę. Znam takie ścieżki, o których wy nie macie pojęcia. Tylko ja mogę tak was poprowadzić, że będziecie sobie mogli ich obejrzeć z góry, a oni nic nie zauważą. - Wyprostowała się z dumą. - Tylko ja jedna znam tę drogę.

Zadzwoił telefon. Tala wzięła słuchawkę i zaraz oddała ją Craigowi.

- Do pana, szeryfie.

Szeryf słuchał ze zmarszczonym czołem.

- Dobrze, Mabel, zrozumiałem - odezwał się po chwili. - Poproś zaraz wszystkich moich ludzi, żeby nie porozumiewali się na

policyjnej częstotliwości. Niech używają telefonów komórkowych. Wszystkie wozy mają natychmiast jechać...

Pytająco spojrział na Vertie i podsunął jej słuchawkę.

- Na skrzyżowanie Hoskins z Miller's Hollow - powiedziała.

- Słyszałaś, Mabel? W porządku, kończę, cześć. Odłożył słuchawkę i spojrział po zebranych.

- Zaraz po telefonie Irene poprosiłem sekretarkę, żeby się dowiedziała, czy w okolicznych hotelach nie zatrzymały się czasem jakieś grupki mężczyzn. Samotnych facetów, bez rodzin.

- I co? - spytał Pete.

- W ciągu ostatnich dwóch dni zjawilo się u nas ze dwudziestu panów w dobrych samochodach i z taką ilością broni, że można by rozpętać trzecią wojnę światową. Wszystko wskazuje na to, że jeśli coś ma się stać, to stanie się szybko.

- Jedziemy - oświadczył Pete. Craig powstrzymał go ruchem dłoni.

- Jeszcze chwileczkę, doktorze. Jak wygląda takie polowanie? Jeśli oni wypuszczą te wszystkie tygrysy i lwy do lasu, to z pewnością nie damy rady tego połapać. Moi ludzie nigdy jeszcze czegoś takiego nie robili. Mogą być poważne kłopoty.

Pete pokręcił głową.

- Nie będzie takiej potrzeby. Zwykle to się odbywa mniej więcej tak: myśliwi z naładowaną bronią okrążają klatkę i wtedy wypuszcza się zwierzę. Wałą do niego jak do kaczki.

- Przecież to nie ma nic wspólnego z polowaniem! To masakra! - zawołał szeryf.

Vertie była już przy drzwiach.

- Nie zamierzam do tego dopuścić! - oznajmiła. Tala stanęła przy niej.

- Ani ja.

Pete spojrział na nią ze zdziwieniem.

- Jak to? Dokąd się wybierasz?

- Jadę z Vertie, to chyba jasne.

- Nie. Ty jedziesz do rezerwatu, do dzieci. Tala pokręciła głową.

- Dzieci są bezpieczne, a nam z Vertie też nic się nie stanie.

Wszyscy ludzie szeryfa będą nad nami czuwali.

- Nie powinnaś się w to wtrącać.

- Całe życie w nic się nie wtrącałam. Nic tylko siedziałam przy telefonie i drżałam o los ludzi, których kochałam.

Gdy podniosła głowę, zobaczył, że ma oczy pełne łez.

- Naprawdę nie rozumiesz, że siedzieć bezczynnie i czekać na wiadomość, czy coś się nie przytrafiło ukochanemu mężczyźnie, to znacznie gorzej, niż być przy nim w chwili zagrożenia?

Objął ją mocno i pocałował. Tala oderwała się od niego, złapała torbę i pobiegła do drzwi.

- Vertie, jedziemy! Weźmiemy mój samochód, ma napęd na tylne koła.

Cztery samochody policyjne zablokowały skrzyżowanie z Miller's Hollow. Tala wolno przejechała obok nich i skręciła w polną drogę, którą jej wskazała Vertie.

Opuściła szybę, próbując złowić jakiś dźwięk. Nie usłyszała ani lwa, ani tygrysa, ani co ważniejsze - żadnych strzałów.

Jechały powoli pod górę, a za nimi sunęły policyjne wozy ze zgaszonymi światłami, bez sygnału, starając się robić jak najmniej hałasu.

- Zaraz się znajdziemy na zboczu, tuż nad taką małą dolinką. Jest tam mnóstwo drzew i nikt nas nie zobaczy.

Tala zaparkowała, wysiadła cicho i przystanęła w gęstych krzakach. Po chwili poczuła na ramieniu rękę Pete'a.

- Wracaj do samochodu - szepnął, patrząc gdzieś ponad jej ramieniem.

Już miała go posłuchać, gdy jej wzrok pobiegł śladem jego spojrzenia.

- O Boże... - usłyszała głos Pete'a.

Wyjrzała zza krzaków i zobaczyła niewielką łączkę w otoczeniu sosen i dębów. Na łące stało kilkanaście metalowych klatek. W środku nerwowo krążyły lwy i tygrysy, groźnie porykując. Obok, nad małym strumykiem, tym samym, który przepływał przez jej posiadłość, stało sześć namiotów w ochronnym kolorze. Kilkunastu mężczyzn w ubraniach koloru khaki siedziało przed namiotami na składanych krzeselkach. Obok leżały strzelby i karabiny. Prawdziwy arsenał.

- Rany boskie! - szepnął Craig. - Musimy ich tak podejść, żeby niczego nie spostrzegli, bo inaczej może być gorąco. Jak rozumiem, są napaleni, żeby strzelać do dzikiego zwierza, a nie do przedstawicieli prawa, ale kto ich tam wie... Mają przewagę, jeśli idzie o uzbrojenie.

- Może byśmy lepiej zawiadomili policję stanową i poczekali, aż przyjadą - rzekł cicho jeden z policjantów.

- Nie mamy czasu - rozwiął jego nadzieje Pete. - Ci tutaj w każdej chwili mogą zacząć zabijać zwierzęta.

Craig westchnął.

- A piękne z nich sztuki. Ma pan rację, doktorze, nie ma na co czekać. Jest pan uzbrojony?

- Tak, mam broń naładowaną nabojami obezwładniającymi, Mace mi przygotował. Niedługo powinni się zjawić Hildebrandowie, a oni mają ciężką artylerię, mogącą obezwładnić całe stado.

Szeryf wycofał się z krzaków.

- Powiem moim ludziom, żeby nie strzelali, dopóki nie padnie pierwszy strzał ze strony tych tam, na łące. A pani, Vertie i ty, Talu, wracajcie do samochodu i uciekajcie stąd.

Vertie skinęła głową i z powrotem weszła na ścieżkę prowadzącą do samochodu. Tala ruszyła za nią. Nagły wystrzał sprawił, że przystanąła jak wryta.

Po polance biegł z krzykiem Billy Joe.

- Zwijać obóz! Zwijać obóz! Zaraz tu będzie policja! Z najbliższego namiotu wyszedł mężczyzna ze strzelbą przewieszoną przez pierś.

- Oxley! - szepnął Pete.

- A jaką ma oryginalną strzelbę! Nigdy nie widziałem takiej dwururki - zawtórował mu szeryf.

Na polanie rozpętało się piekło.

- Wypuść je! Wypuścić wszystkie z klatek! - krzyknął Oxley.

Craig strzelił w powietrze.

- Policja! Stać, bo strzelam! Jesteście aresztowani! Oxley runął w las. Pete z krzykiem pobiegł ku polanie.

- Nie strzelać do zwierząt! Nie strzelać do zwierząt! Tala złapała Vertie za ramię i popchnęła ją w stronę samochodu. Chciała, żeby starsza pani jak najszybciej znalazła się w bezpiecznym miejscu.

Z tyłu gonił ją tumult krzyków, strzałów i odjeżdżających w popłochu samochodów. Kurz wzniecony przez biegnących za zbiegami policjantów oślepił ją i przez chwilę nic nie widziała. Czuła się jak na placu boju.

Raz po raz padały strzały. Przerażone drapieżniki zaczęły ryczeć. Nagle silny cios rzucił ją na ziemię.

- Gdzie masz samochód? Samochód!

Zobaczyła nad sobą wykrzywioną wściekłością twarz Vince'a Oxleya.

- Vertie! - krzyknęła. - Uciekaj!

Oxley rozpoznał ją i na ułamek sekundy się zawahał.

- Uciekaj! Vertie! - zawołała i wbiła paznokcie w łydkę napastnika, przytrzymując go w ten sposób w miejscu.

- Niech cię szlag! - Kopnął ją i pomyślała, że zaraz ją zastrzeli albo zatłucze kolbą.

Skuliła się i usłyszała, jak Vertie zapala silnik. Chociaż raz w życiu Vertie jej posłuchała i nic jej teraz nie grozi. Oxley złapał ją i uniósł z ziemi.

- Potrzebny mi samochód, i to już - syknął.

- Skąd ci wezmę? Jest tylko wóz patrolowy... Pociągnął ją za sobą. Wrzawa na polanie zaczęła przycichać, i wtedy poczuła na sobie wzrok Oxleya.

To był zupełnie inny człowiek; nie był ani uroczy, ani dobrze ułożony, ani... Gdy w jego oczach dostrzegła zwierzęcą nienawiść, złożyła błagalnie dłonie.

- Nie zabijaj mnie, proszę, jestem potrzebna swoim dzieciom. Pojadę z tobą...

- A niech cię szlag! - syknął.

Rozdział 17

Poczuła, jak wielka siła wyrzuca ją w powietrze i ciska na ziemię niczym kukłę. Oxley rzucił ją jak połamaną zabawkę i pognął w stronę policyjnego samochodu.

Pozbierała się z wielkim trudem. Bolało ją ramię, bolały ją zębra, ale żyła! Nie zastrzelił jej, nie roztrzaskał jej głowy kolbą. Usłyszała ryk zapuszczanego silnika; samochód ruszył jak rakieta. Czy to możliwe, żeby nikt nie pilnował policyjnego wozu?

Musi zawiadomić szeryfa o ucieczce, Oxley nie może umknąć! Ciężko dysząc, ruszyła w stronę obozowiska. Starła się trzymać drzew, żeby nikt jej po drodze nie zauważył. Podczas panicznej ucieczki mógłby się na nią natknąć kolejny niefortunny myśliwy.

Gdy wyszła na otwarty teren, ujrzała policjantów otaczających kilkunastu mężczyzn, klęczących z rękami do góry. Nawet z tej odległości słyszała, że niektórzy mówią coś o adwokatach. Pete stał przed jedną z klatek; była otwarta.

O Boże! Chyba nie zabili żadnego ze zwierząt?

Tala przyłożyła ręce do ust.

- Pete! - krzyknęła. - Pete! Szeryfie! Słuchajcie! Vince Oxley uciekł! Pojechał w tamtą stronę! Policyjnym samochodem!

Pete spostrzegł ją i ruszył ku niej biegiem.

- Tala! Co ty tu robisz!

- Wpadłam na Oxleya.

Złapała się za bolące ramię. Szeryf krzyknął coś do jednego z policjantów, który natychmiast poszedł w stronę Tali. Był od niej o jakieś dziesięć metrów bliżej niż Pete, kiedy nagle zastygł w bezruchu.

- Boże... - Na młodej twarzy policjanta ukazało się przerażenie.

Pete skamieniał również; policjanci i więźniowie patrzyli w jej kierunku jak zahipnotyzowani. Wszyscy spoglądali takim wzrokiem jakby gdzieś, za plecami Tali, ujrzeli ducha.

- O co chodzi? - zapytała półgłosem.

- Nie ruszaj się - polecił cicho Pete - nie rób żadnego gestu. Przede wszystkim nie oglądaj się pod żadnym pozorem.

- Co tam jest? - szepnęła.

- Nie mogę go zastrzelić - odpowiedział równie cicho policjant.

- Co tam jest? To... Oxley?

- Nie. - Szept policjanta doszedł do niej cichy niby wiatr. - Za panią stoi największy, najczarniejszy lampart, jakiego w życiu widziałem. Gdybym mógł do niego strzelić, trafiłbym jak do tarczy... Ale nie mogę...

- Nawet tego nie próbuj, mógłbyś zranić Talę - ostrzegł go Pete.

Poczuła, że nogi się pod nią uginają.

- Pete, co ja mam robić? - spytała zamierającym szeptem.

- Mam lepsze pole widzenia niż on. - Pete ruchem głowy wskazał policjanta. - Teraz, bardzo powoli, uniosę pistolet, a kiedy powiem „już”, rzuć się w lewą stronę i uciekaj, jak szybko możesz.

- A co... on teraz... robi?

- Stoi za tobą i rusza ogonem. Jest przestraszony.

- Nie tylko on...

- Wyciągnę cię z tego, nie bój się.

Pete powolnym ruchem, obiema dłońmi, uniósł pistolet. Tala spojrzała w czarny otwór lufy.

- Gotowe. Już!

Usłyszała trzask strzału i wiatr w uszach. Skoczyła w lewo, upadła i potoczyła się w dół ze wzgórza.

Słyszała ryk zwierzęcia i osłoniła rękami głowę, czekając na atak. Już niemal czuła ostre zęby lamparta na swoim karku.

Poprzez szum w uszach dobiegł ją krzyk szeryfa:

- Nie zatrzymuj się! Uciekaj! Uciekaj!

Rzuciła się pędem ze wzgórza, bojąc się obejrzeć. Dopadła Craiga i schroniła się w jego ramionach. Potem oderwała się od niego i podbiegła do Pete'a.

Młody policjant stał jak zahipnotyzowany, ze wzrokiem utkwionym w czarny kształt leżący u jego stóp.

- Za kilka minut obudzi się, trzeba go zaraz wciągnąć do klatki. - Pete objął Talę, przytulił i lekko kołysał.

Objęła go kurczowo, a potem spojrzała na swoją rękę, którą pokrywała krew.

- Pete, jesteś ranny.

Popatrzył na postrzępiony rękaw kurtki.

- Musnął mnie łapą, kiedy padał. A jak ty? - Odsunął Talę od siebie i spojrzał na nią z niepokojem. - Nic ci się nie stało? Oxley nic ci nie zrobił?

- Nie zdążył.

Szeryf podszedł do nich.

- Chyba trzeba będzie panu zrobić zastrzyk, doktorze - powiedział. - Jackson, wezwijcie pogotowie.

- Chyba nie z mojego powodu.

- Owszem, mamy i innych poszkodowanych. Jeden ma anginę, dwóch stan przedzawałowy, a jeszcze jeden złamał sobie nogę, jak zwiewał. Pozostałych załadowaliśmy do naszych wozów. Nie złapaliśmy tylko jeszcze tego kretyna, Billy'ego Joe. - Szeryf uśmiechnął się ponuro.

- Nie moja głowa, nim już się zajmie policja stanowa. Sześciu moich ludzi zostawiam tutaj, a reszta będzie konwojowała tych zakichanych „myśliwych” do aresztu. Ty, Frank - zwrócił się do młodego policjanta zapatrzonego w leżące u jego stóp zwierzę - pojedziesz ze mną. Musimy dopaść tego spryciarza Oxleya. - Szeryf pokręcił z niedowierzaniem głową. - A to dopiero łobuz. Czy to nie szczyt wszystkiego, rąbnąć na dokładkę wóz policyjny?

- A co z Vertie? - zapytała Tala.

- Pojechała do krzyżówki, zaalarmowała moich ludzi i skierowała ich tam, gdzie natknęłyście się na Oxleya, ale zdążył nawiąć. Daleko nie ucieknie, spokojna głowa, zaraz go złapiemy. Prócz nas tropi go policja stanowa.

- On ma jeden z pańskich wozów, może podsłuchiwać rozkazy - powiedział Pete. - Będzie znał każde wasze posunięcie.

- Nic mu to nie pomoże. Ale jest jeszcze coś, jeszcze jeden problem. Trochę większy, doktorze.

Tala spojrzała na uśpionego lamparta.

- Taki duży jak ten? Szeryf skinął głową.

- Przeszkodziłoby tym łobuzom i nie zdążyli otworzyć wszystkich klatek, ale, jak mówią ci pomocnicy, trzy tygrysy zdążyły pójść w las.

Pete jęknął.

- Na szczęście mamy tego tutaj. Dwóch moich ludzi zaraz go zanieś do klatki, zanim się ocknie - ciągnął Craig. - Bardzo bym nie chciał alarmować okolicznych mieszkańców, ale chyba trzeba będzie im powiedzieć, żeby zamknęli dzieciaki i zwierzęta w domu.

- Niech się pan na chwilę wstrzyma - przerwał mu Pete. - Jediną farmą w bezpośredniej okolicy jest farma Tali, a tam nikt nie mieszka.

Możemy sprowadzić tygrysy do klatek, zanim ktokolwiek się dowie, że przez jakiś czas hasały na wolności.

- Jakim cudem zagnamy je do klatek?

- Włożymy do klatek po kawałku surowego mięsa. Zwierzęta są przestraszone i głodne. Nie sądzę, żeby tamci panowie dobrze je karmili. One teraz rozpaczliwie szukają miejsca, gdzie by się schronić. Przyjdą do siebie dopiero po pewnym czasie.

- A jak nie zechcą wejść do klatek? - Szeryf nie wyglądał na przekonanego.

- Mace przywiezie nam dodatkowe naboje usypiające. Miał dość czasu, żeby przygotować dawki odpowiednie do rodzaju i wagi zwierzyny. Ponadto Hildebrandowie mają specjalne wielkie strzelby na grubego zwierza. Przy odrobinie szczęścia może nam się uda załatwić sprawę bez niepokojenia okolicznych mieszkańców.

Tala pociągnęła go za rękaw.

- Pete, najpierw trzeba opatrzyć ci ramię. Pete pogładził ją po policzku.

- Będziemy mieli na to dużo czasu, kiedy zwierzęta znajdą się w klatkach. Pomyśl, co byś czuła, gdyby chodziło o Maleńką.

- Ale kiedyś sam powiedziałaś, że ludzie są ważniejsi niż zwierzęta, pamiętasz?

- Wcale nie zmieniłem zdania, ale tym razem to nie jest kwestia wyboru. Musimy im pomóc. Te zwierzęta nie zrobiły nic złego i jeśli istnieje szansa, żeby je uratować, musimy z niej skorzystać. Rozumiesz?

Rozumiała, ale wiedziała również, że Pete naraża się na wielkie niebezpieczeństwo, że ryzykuje życie. Robi to na własną odpowiedzialność, tak jak to zawsze robił Adam. Ale przy tym zawsze najbardziej cierpieli ci, którzy go kochali...

Poczuła na sobie wzrok Pete' a. Zrozumiała, że jeszcze nie podjął ostatecznej decyzji i że czeka na jej zdanie.

- Gdyby coś ci się stało, Tala, chyba bym tego nie przeżył. Dlatego wiem, co teraz czujesz. Kocham cię i musimy wspólnie dokonać wyboru. Mam tam iść czy zostać?

Wiedziała, że policjanci nie mają pojęcia o zwyczajach i zachowaniu drapieżników. Znajdą się w ciemnym lesie i zaczną strzelać na wszelki wypadek. Może nawet powystrzelają się nawzajem...

Jeśli Pete z nimi pójdzie, zapobiegnie chaotycznej strzelaninie. Jeśli trzeba będzie podjąć decyzję o życiu i śmierci któregoś ze zwierząt, Pete podejmie decyzję najwłaściwszą.

Skinęła głową.

- Dobrze - powiedziała. - Trzeba to zrobić, ale przyrzeknij mi, że będziesz bardzo ostrożny, a gdybyś musiał wybierać między sobą a którymś z tych tygrysów, wybierzesz siebie i wrócisz do mnie cały i zdrowy.

- Obiecuję.

Uśmiechnęła się do niego przez łzy i poczuła przejmujący ból. Chyba miała złamane żebro.

- W porządku. - Pete sięgnął po telefon komórkowy szeryfa. - Proszę mi to na chwilę dać. Zadzwonię do ojca, żeby tu przyjechał. Irene na chwilę może sama zostać z dziećmi.

- Zaraz do nich pojedziemy z Vertie - obiecała Tala.

- Ale wyglądacie! Zupełnie jak desant piechoty morskiej! - Ze wzgórza dobiegł ich wesoły głos Jima Hildebranda.

Szli ku nim oboje, z karabinkami przerzuconymi przez ramię. Pete klasnął w dłonie.

- Jak dobrze, że jesteście. Jim, mamy do złapania cztery wielkie koty, które zbiegły do lasu, i tylko kilka godzin zmierzchu.

- Dobrze sobie!

Szeryf wskazał dłonią uśpionego lamparta.

- Już tylko trzy. Pan doktor tego unieszkodliwił na miejscu.

- W samą porę - dodała Tala.

- Zdażyli zabić jakieś zwierzę? Zranili któreś? W jakim one są stanie? - gorączkowo dopytywał się Jim.

- W całkiem niezłym. Nie zdażyli ich skrzywdzić. Wszystkie są bezpieczne, z wyjątkiem tych, które wypuścili z klatek.

Craig spojrział na Jima z niepokojem.

- Myśli pan, że uda nam się je złapać?

- Pójdzie jak po maśle. - Jim pogłaskał karabinek. - Mam dla nich coś ekstra, będą po tym smacznie spały. A prócz tego powiedziałem Mary Ann, żeby wzięła dla nich coś na ząb i... Jeśli pan pozwoli, szeryfie, przejmujemy teraz dowodzenie.

Na twarzy Craiga widać było wyraźną ulgę.

- W porządku. A ja się zajmę poszukiwaniem mojego zbiega. Został mi jeszcze jeden.

Pete z Talą poszli w stronę samochodów. Tuliła się do niego, modląc się w duchu, żeby zmienił zdanie i zrezygnował z wyprawy do lasu.

- Może nie jesteś aż tak bardzo potrzebny Jimowi... - szepnęła.

- Wszyscy jesteśmy mu potrzebni. Mace też, możesz mi wierzyć.

Kiedy weszli na wzgórze, Pete jeszcze raz spróbował zatelefonować do rezerwatu. Po pięciu sygnałach włączyła się automatyczna sekretarka.

- Tato? - powiedział. - Jeśli tam jesteś, odbierz telefon. Chwilę odczekał, a potem zwrócił się do obecnych.

- Pewnie jest w gabinecie i przygotowuje naboje. Potem znowu zwrócił się do telefonu.

- Tato, Jim i Mary Ann już tu są. Trzy wielkie sztuki rozbiegły się po lesie. Spotkamy się w rezerwacie albo po drodze i wszystko od ciebie zabierzemy.

Tala objęła go ramieniem.

- Zatrzymaj się na chwilę w rezerwacie - poprosił. - Niech ojciec opatrzy ci rękę.

- Nie potrzeba, wszystko jest dobrze. Już nawet przestała krwawić. Miałem gorsze rany; moi pacjenci nie zawsze potrafią docenić, co dla nich robię.

Spojrzał w stronę policjanta stojącego przy samochodzie policji stanowej.

- Kogo tam macie w środku? Czy to Billy Joe? Trudno uwierzyć, że on też brał w tym udział.

Szeryf Craig podszedł do nich, wzruszając ramionami.

- Zamieniłem z nim kilka słów. Ten idiota strasznie żałuje, że dał się w to wpakować. Prawie mi płakał w mankiet. Ale zdążył powiedzieć coś bardzo interesującego.

Szeryf uważnie spojrzał na Talę.

- Co go do tego skłoniło? - zapytała.

- Pieniądze. Powiedział mi, że to ludzie Oxleya zepchnęli cię z szosy, i to oni próbowali puścić z dymem twoją stodołę. Oxley im kazał. Nie chciał, żebyś w nocy słyszała zwierzęta.

- Od początku nie bardzo mi się podobał - z wahaniem rzekła Tala - ale nigdy bym nie przypuszczała... Robił wrażenie uczciwego człowieka.

Craig spojrzał na Pete'a, potem na Talę.

- Kochanie, to nie wszystko. Nie wiem, jak ci to powiedzieć i nie mam pojęcia, jak to powiedzieć Irene, ale on rzucił w krzaki swoją strzelbę, zanim ukradł samochód...

Tala poczuła, jak kolana się pod nią uginają. Szeryf przez chwilę milczał, a potem dodał poważnym głosem:

- Nigdy tego nie mówiłem, ale w laboratorium określili kaliber i rodzaj broni, z jakiej zastrzelono Adama. Dokładnie odpowiada temu, co miał przy sobie Oxley.

Świat przed jej oczami zawirował. Tala zachwiała się; Pete podtrzymał ją. Z półciężarówki nadbiegła ku nim Vertie.

- Talu, dzięki Bogu, że nic ci się nie stało! Nie chciałam cię tam zostawiać, ale pomyślałam, że lepiej będzie...

- Postąpiłaś bardzo słusznie.

Nie mogła się pogodzić z tym, co usłyszała od szeryfa. Oxley? Vince Oxley? To z jego broni zabito Adama? A ona spędziła z nim całe popołudnie. Był u niej w domu, stąpał po jej ziemi...

Głęboko odetchnęła.

- Tego dnia, kiedy oglądaliśmy domy - zwróciła się do szeryfa - Oxley powiedział mi, że nigdy nie widział mojej farmy, ale zanim ją zobaczył, pochwalił jej położenie, wspominając coś o potoku i wzgórzu. Wtedy z niczym tego nie skojarzyłam, ale teraz... Jak on mógł o tym wiedzieć, skoro nigdy tam nie był?

Rozdział 18

Pojechali samochodem Tali. Prowadził Pete, a Tala i Vertie siedziały obok niego. Szeryf Craig i jeden z policjantów podążali za nimi dwoma policyjnymi wozami. Reszta ludzi szeryfa transportowała więźniów do miasta. Na razie o Oxleyu nie było nic wiadomo, lecz Craig miał pewność, że nie uda mu się opuścić granic stanu Tennessee.

- Zostawimy ciebie i Vertie w rezerwacie, a ja z ojcem pojedziemy do lasu land - roverem - odezwał się Pete. - W tym czasie Ann i Jim pewnie już będą mieli wszystkie zwierzęta pod kluczem. Zdążą je wyłapać przed moim powrotem.

- Tak tylko mówisz, żeby mnie pocieszyć. - Tala przytuliła się do niego. Oczy miała smutne.

- Wiem, co mówię, dobrze znam Jima. On myśli jak wielki drapieżnik, dlatego tak dobrze je rozumie.

Dojechali do terenów rezerwatu i posuwali się i teraz wzdłuż wysokiego żelaznego ogrodzenia. Za zakrętem Pete gwałtownie zahamował. Szeryf zrobił to samo i wyskoczył z samochodu.

Dziesięć metrów przed nimi stała Sweetie.

- Jak ona się wydostała? Ktoś musiał zostawić otwartą bramę!

Pete otworzył drzwi półciężarówki. Słonica uniosła trąbę i zaryczała, a potem zaczęła osuwać się na kolana. Tala wyskoczyła na ziemię i podbiegła do niej.

- Ona chyba jest ranna.

- Nie. Robi tak, żeby dać do zrozumienia, że mam na nią wsiąść. Chce mnie gdzieś zawieźć.

Pete złapał słonicę za uszy i szybko wdrapał się na jej grzbiet, ona zaś, kiedy tylko poczuła na sobie jego ciężar, natychmiast się wyprostowała.

- Boże, ale ona wielka... - Vertie z zadartą głową śledziła ruchy zwierzęcia.

Słonica odwróciła się i truchtem pomknęła w stronę bramy prowadzącej na teren rezerwatu. Poruszała się szybko i zwinnie, jakby nieświadoma swojej wagi i zwalistości.

- Ale to potrafi biegać... - westchnął z podziwem szeryf Craig. - Niby takie nieruchawe, a jak chce...

Tala wskoczyła do samochodu.

- Ona szukała Pete'a, bo coś się tam stało i chciała go ostrzec.

Jej ręce drżały, całe ciało dygotało. Sweetie błyskawicznie minęła bramę i zatrzymała się tak nagle, że Pete o mały włos nie przeleciał jej przez głowę. Tala w ostatniej chwili wcisnęła hamulce, unikając wyrżnięcia w potężny zad słońca.

- Sweetie! Noga! - zawołał z góry Pete.

Słonica posłusznie zgięła nogę i Pete ześliznął się po niej na ziemię. Szara trąba uniosła się w górę i coś im wskazała.

Po lewej stronie bramy stała Sophie, patrząc na nich i całym ciałem tarasując drogę.

- Mamo! Zostań tam!

Głos Rachel doszedł Talę nie wiadomo skąd; z bliska, ale dziewczynki nie było widać.

- Rachel? To ty? Cody? Gdzie jesteście? - W głosie Tali brzmiała rozpacz.

Vertie wyrosła tuż obok niej.

- Gdzie oni są? Dlaczego nie ma Irene? Gdzie jest Irene?

- Mamo, tu jesteśmy! - Rachel pomachała ku nim zza grubej jak kolumna nogi Sophie. - Nic nam się nie stało! Wszystko w porządku!

Nie można było tego samego powiedzieć o służbowym samochodzie szeryfa. Stał naprzeciwko bramy wjazdowej pracowicie obrabiany przez Belle.

Trzecia słonica, pochyliwszy wielki łeb, podłożyła kły pod pojazd od strony pasażera i najwyraźniej próbowała go przewrócić. Samochód przez chwilę stawiał opór, potem się zachwiał i wreszcie... niczym metalowa zabawka wylądował na dachu. Przypominał teraz ogromnego żuka leżącego na plecach.

Belle odsapnęła z zadowoleniem i skierowała małe czarne oczka na coś, co szamotało się we wnętrzu pojazdu.

- Wypuście mnie stąd! Wyjmijcie mnie! Zróbcie coś z tym bydlakiem!

Głos należał do Oxleya, a kły do Belle. Natychmiast też zrobiła z nich użytek. Samochód zakołysał się niebezpiecznie, rozległ się dźwięk wyginanej blachy.

- Zabierzcie ją stąd! - wrzasnął z histerią w głosie uwięziony.

- On ma broń - powiedziała Rachel. - Musicie na niego uważać.

Tala zasłoniła sobą Vertie.

- Cholera jasna! - warknął szeryf. - Musiał znaleźć moją strzelbę. Leżała pod siedzeniem.

Belle nie ustawała w wysiłkach zmiążdżenia wroga. Samochód trzeszczał, blacha wyginała się, przez stłuczoną szybę widać było białą jak kreda twarz Oxleya.

- Ona mnie zabije! Zabierzcie ją! Niech ktoś mnie stąd uwolni!

Craig pochylił się.

- Wyrzuć broń, Oxley - powiedział wprost w rozbite okno samochodu - to może doktor Jacobi zrobi coś, żeby przestała cię tarmosić. Tylko on może ją powstrzymać.

- Wypuście mnie! Zróbcie coś!

- Jesteś aresztowany, głupcze. Ona cię wykończy, jeśli zaraz stamtąd nie wyleziesz z rękami na karku.

- Nie mogę wyjść, póki ona tu jest. Wyciągnijcie mnie! Szeryf spojrział na Pete'a.

- Doktorze, czy może pan coś zrobić? Oczywiście pod warunkiem, że on się podda. - Niemal to wykrzyczał, żeby Oxley mógł wszystko usłyszeć.

Pete odparł równie głośno:

- Sam nie wiem. Jest naprawdę wściekła, a takie słonie są bardzo niebezpieczne.

Szeryf znowu skierował głowę w stronę uwięzionego.

- Może zaczniemy od tego, że nam opowiesz, jak to było ze śmiercią Adama Newsome'a.

- Nic o tym nie wiem.

- Billy Joe mówi co innego. Zdążył już nam opowiedzieć swoją wersję wydarzeń.

Belle, jakby na potwierdzenie słów szeryfa, kilka razy z całej siły „dziobnęła” samochód kłami. Oxley wpadł w panikę i zaczął wrzeszczeć:

- Dobrze! Już dobrze! Wszystko wam opowiem! Ale to był wypadek. Nikogo nie chciałem zabić. Wypuście mnie stąd, a wszystko wam powiem.

- A broń? Najpierw oddaj moją strzelbę.

Po chwili strzelba wysunęła się przez rozbite okno i wylądowała na ziemi.

- Teraz chyba możemy spróbować poprosić Belle, żeby przestała, prawda, doktorze?

Pete nabrał powietrza, włożył ręce do kieszeni i podszedł do słonicy.

- Spisałaś się na medal, kochanie - powiedział łagodnym głosem.
- A teraz odsuń się trochę, żebyśmy mogli wyjąć stamtąd tego drania.

Belle spojrzała na niego małymi chytrymi oczkami, w których była chęć walki aż do ostatecznego zwycięstwa.

- Wiem, że masz ochotę go rozgnieść jak robaka - ciągnął Pete. - Wiem również, że to by było najwłaściwsze wyjście, ale nie możemy tego zrobić. On nam przedtem musi to i owo opowiedzieć.

Belle pochyliła się, jakby się szykowała do nowego ataku. Pete wyjął ręce z kieszeni.

- Koniec, moja droga. - Jego głos stał się stanowczy i władczy. - Przestań, natychmiast! Powiedziałem stop.

Belle znieruchomiała, chwilę pomedytowała, a potem niechętnie odsunęła się od samochodu. Ani na chwilę nie spojrzała na swego pogromcę.

Oxley został wyciągnięty z wraka i oddany w ręce policjanta. We włosach miał odłamki szkła. Płakał.

- Niech szlag trafi... Niech go szlag, tego cholernego słonia...

Pete spojrzał na niego z błyskiem w oczach.

- Zamknij się, Oxley! Jeszcze jedno słowo, a poproszę wszystkie trzy, żeby się tobą zajęły.

Przerażony Oxley omal nie wskoczył na policjanta. Gdy w końcu szeryf zapakował go do policyjnego wozu, zza nogi Sophie ukazała się Rachel.

Tala podbiegła do córki i chwyciła ją w ramiona. Pete ukląkł tuż obok.

- Rachel! Córeczko! A gdzie Cody?

- Tam. - Rachel ruchem głowy wskazała słonia. - Nie chce wyjść.

Drobne ciało chłopca było prawie niewidoczne za szarą kolumną. Obiema rączkami obejmował nogę słonia, przyciskając czoło do grubej, spękanej skóry. Oczy miał zamknięte. Sophie leciutko zakołysała nogą, jakby chciała go uspokoić.

Tala ukląkła obok synka i objęła go.

- Cody! Misiaczkule! Już wszystko dobrze, nic się nie stało. Jesteś bezpieczny.

Cody jeszcze mocniej przytulił się do nogi Sophie.

- Ona nas uratowała - wyszeptał. - Ja go kopnąłem, on zaczął strzelać, a ona nas uratowała.

Sophie delikatnie pogładziła trąbą ramię chłopca. Pete ukląkł obok Tali i położył rękę na jego ramieniu.

- Jesteś już bezpieczny, synku. Nic ci nie grozi.

- A co z babcią? - spytała Vertie, podbiegając do nich.

- Rachel, czy babci nic się nie stało?

Rachel pokręciła głową.

- Nie, jest tam, w domu, z doktorem Mace'em. - Jej głos się załamał i nagle zaczęła pochlipywać. - Mamo, on nas chciał zabrać, mówił, że w ten sposób zyska na czasie. Chciał wypuścić słonie na drogę i uciec, ale Sweetie zatarasowała bramę i nie wypuściła go. Chciał ją zabić, ale wtedy Belle uderzyła w samochód, on się przestraszył, a my uciekliśmy, a ona wtedy walnęła znowu...

Cody uniósł oczy na Pete'a.

- O mało mnie nie złapał, jak uciekałem, ale Sophie zasłoniła nas sobą i myśmy się schowali. - Przeniósł wzrok na matkę. - Ona nas uratowała, uratowała nam życie... Ja ją kocham - szepnął w ekstazie.

- Potem Sweetie wyszła za ogrodzenie i myślałam - dodała Rachel - że on nas pozabija, ale Belle waliła go i waliła...

Szeryf otarł pot z czoła.

- Ale numer... - mruknął. - Nigdy w życiu nie słyszałem nic podobnego.

Pete rozejrzał się.

- A gdzie ojciec? I Irene?

Cody był gotów wszystko mu wyjaśnić.

- Kiedy doktor Mace zobaczył policyjny samochód, powiedział, że to jedzie szeryf i trzeba mu otworzyć bramę. I otworzył, ale to wcale nie był szeryf. - Głos chłopca zadrżał. - To był ten... człowiek, mam. On zamknął babcię i pana doktora tam, w domu.

- Zostań tu, Pete. - polecił szeryf - sam do nich pójde. Trzeba będzie czymś rozwalić zamek. Mam narzędzia w samochodzie.

Vertie otrząsnęła się z letargu; teraz znowu była dawną starą Vertie.

- Jeśli ten... człowiek zrobił coś złego mojej Irene, rozwalę mu łeb. Nie powstrzymacie mnie tak łatwo jak Belle.

Pete nie oponował. Szeryf zawołał policjanta.

- Wyjmij, co trzeba z mojego bagażnika. - Spojrzał w kierunku rozbitego pojazdu i zmienił zdanie. - Albo lepiej weź coś od siebie. Mój bagażnik nie da się otworzyć.

Cody wreszcie opuścił swe bezpieczne schronienie i wyszedł z za nogi słonia.

- Panie doktorze - szepnął, obejmując Pete'a za szyję - ja bardzo przepraszam.

- Przepraszasz? Za co?

Chłopiec wymamrotał coś, co tylko Pete usłyszał. Z uśmiechem poklepał Cody'ego po ramieniu.

- Nic dziwnego, że się ich bałeś. Przecież wcale ich nie znałeś.

Cody podniósł głowę.

- Ja się wcale nie boję Sophie, ona nas obroniła. Tala ucałowała swoje dzieci.

- Nie będziesz się bał ani Sweetie, ani Belle, kiedy je lepiej poznasz.

Sophie z powagą kiwnęła głową i cofnęła się o krok. Dopiero wtedy Pete zobaczył krew na jej nodze.

- Ona jest ranna.

Cody znowu przyłgnął do nogi słonicy.

- On do niej strzelił. Myślałem, że nie trafił.

Tala przytuliła dzieci, odsuwając je z drogi Pete'a, który podszedł zobaczyć, skąd płynie krew.

Słonica była ranna w ucho. Strzepywała nim niecierpliwie, jakby chciała przegnać ból.

- Zrób coś... - Cody o mało się nie rozplakał. - Zrób coś, żeby ją nie bolało.

- To nie jest groźna rana - pocieszył go Pete. - Kula nie drasnęła głowy, rozdarła jej tylko ucho, a ponieważ to bardzo ukrwione miejsce, stąd tyle krwi. Swoją drogą, musi ją bardzo boleć.

Cody spojrzął na matkę, po jego buzi popłynęły łzy.

- Słyszysz? Bardzo ją bolało, ale nie przestała nas bronić. On mógł ją zastrzelić, a ona się nie cofnęła, bo chciała nas ratować.

W tej samej chwili w progu domu ukazała się Irene. Cała i zdrowa, natychmiast wylądowała w ramionach Vertie. Mace powolnym krokiem szedł za nią. Pete ruszył ku niemu biegiem.

- Tato, nic ci się nie stało? Mace pochylił głowę.

- Nie ma co - odezwał się smętnie. - Świetnie się spisałem, doskonała ze mnie niańka. A mieli tu być bezpieczni...

Irene oderwała się od Vertie i chwyciła Pete'a za ramię.

- Co z dziećmi? Gdzie są dzieci?

- Tutaj, babciu! - zawołała Rachel. Irene obsypała wnuki pocałunkami.

- Boże, jak ja się strasznie zdenerwowałam! Co za człowiek! Jak można być aż tak podłym! A ja go nigdy o nic...

Jej wzrok nagle padł na zdemolowany samochód.

- A co tu się stało? - spytała zdumiona.

- To długa historia - odparła Tala.

Pete chciał odejść na bok, ale słonie mu nie pozwoliły. Belle i Sweetie podeszły do Sophie i delikatnie zaczęły trąbami dotykać jej ucha. Potem jednocześnie, jak na dany znak, zwróciły się ku Pete'owi. Po kolei położyły na nim trąby i pochyliły głowy w niemym podziękowaniu.

Tala jak zaklęta patrzyła na rozgrywającą się przed jej oczami scenę; słonie nigdy go tak nie traktowały. Patrzyła zafascynowana, jak Pete z rozjaśnioną twarzą gładzi trąby swoich słoni. Teraz już naprawdę swoich dziewcząt.

- Nareszcie - szepnął Mace - nareszcie. - I głośno dodał: - A teraz zapraszam wszystkich do przyczepy. Wypijemy sobie po kubku gorącej słodkiej czekolady.

- Pomogę ci ją zrobić - zaofiarowała się Tala.

Teraz, kiedy niebezpieczeństwo minęło, Cody odzyskał werwę. Chwycił Irene za rękę i pociągnął ją w stronę przyczepy.

- Babciu, zaraz ci wszystko opowiem. Szkoda, że tego nie widziałaś, strasznie się bałem, ale kopnąłem go, a on chciał nas pozabijać, ale przyszła Sophie i nas zasłoniła, a on...

Rachel pogardliwie wzruszyła ramionami.

- Teraz zanudzi wszystkich na śmierć, będzie tak gadał i gadał. - Wzniosła oczy do nieba. - Co za beznadziejny facet! - Potem nagle się uśmiechnęła. - Idziemy, mamó?

- Za chwilę, córeczko.

- Nie przejmuj się, opiekunek nam nie brakuje. - Rachel spojrzała na słonice. - Niektóre są nawet całkiem wyrośnięte.

Ledwo drzwi przyczepy zatrzasnęły się za gośćmi, Pete chwycił Talę w ramiona i uniósł wysoko nad ziemią.

- Nie wiem, co bym zrobił, gdyby im się coś stało!

- Ale nic się nie stało, i to dzięki twoim dziewczętom. Zrobiły to dla ciebie, bo cię kochają.

Pete z za jej ramienia zerknął na swoją trzódkę.

- Chyba nareszcie mnie zaakceptowały, i to w znacznej mierze dzięki tobie. Dzięki tobie i dzięki twoim dzieciom. Vertie też chyba mnie polubiła, a nawet Irene jakby zaczęła mnie tolerować. Dzięki tobie kocham i chyba jest we mnie dość uczucia, żeby nim obdarować innych ludzi. Ty nauczyłaś mnie kochać świat. - Pocałował ją czule, a potem postawił na ziemi, nie wypuszczając z objęć. - A teraz muszę ci coś wyznać, zanim się do reszty speszę.

- No, słucham...

- Wiesz, ja nie mam pojęcia o tym, jak postępować z dziećmi.

- Twój goryl też nie wiedział, i jakoś się nauczył - przypomniała mu.

Pete skrzywił się.

- Niby tak, ale ja mam więcej lat niż Millie i jestem facetem. Ale gdyby tak się udało przekonać twoje dzieci, że nie jestem groźnym potworem i nie zjem ich na śniadanie, a przy okazji szepnąć Irene, że postaram się zapewnić ci godziwe życie, to... czy byś wtedy za mnie wyszła? Tala szeroko otworzyła oczy.

- Mówisz poważnie? I wiesz, co mówisz?

- Chyba tak. Kiedy zrozumiałem, że Rachel i Cody wpadli w łapy Oxleya, przeraziłem się tak samo jak wtedy, kiedy zobaczyłem tego lamparta za twoimi plecami. Nigdy nie będę ich ojcem, ale bardzo bym chciał być częścią ich życia. I twojego, jeśli się na to zgodzisz.

Tala zarzuciła mu rękę na szyję.

- Zgadza się! Tak! Tak! Tak!

Całował ją bardzo długo, a potem odsunął się od niej.

- Musimy do nich iść. Furda czekolada, ale przecież mieliśmy z tatą zapolować na tygrysy!

Rozdział 19

Tydzień później szeryf Craig zasiadł przy stole Irene w saloniku rodowej rezydencji Newsome'ów.

- Jestem państwu winien kilka słów wyjaśnienia - oznajmił, nakładając sobie na talerzyk drugi kawałek słynnego cytrynowego ciasta Lucindy. - Dotyczą one okoliczności, w jakich zginął Adam.

Vertie, Irene i Tala usiadły naprzeciwko i zawisły wzrokiem na jego ustach. Pete położył ramię na oparciu krzesła Tali.

- Oxley stanie przed sądem - mówił dalej szeryf - oskarżony o zabójstwo drugiego stopnia. Jego adwokaci uprzedzili go, że żaden sąd w Ameryce go nie uniewinni, jeśli wypłynie sprawa tych nieszczęsnych polowań, które organizował.

Irene poruszyła się na krześle.

- Ma bardzo zdolnych adwokatów - powiedziała z sarkazmem w głosie.

- Oxley przysięga, że zastrzelił Adama przypadkowo, ale wszystkie okoliczności sprawy i zeznania Billy'ego Joe pozwolą na oskarżenie go o morderstwo z premedytacją. Wszystko wskazuje na to, że Oxley spędzi w więzieniu około dwudziestu lat.

Tala ujęła dłoń Irene. Bardzo chciała, by szeryf skończył swoją opowieść przed powrotem dzieci ze szkoły. Rachel i Cody nie powinny słyszeć wszystkich szczegółów dotyczących śmierci ojca. Sama im powie to, co uzna za stosowne.

Craig sięgnął po filiżankę z herbatą.

- Do tego dojdzie jeszcze kłusownictwo, posiadanie broni bez zezwolenia, porwanie, bezpośrednie zagrożenie życia dzieci... Jest tego tyle, że nie mam czasu ani siły przytaczać tu wszystkiego.

- Ale dlaczego? Po co on to wszystko robił? - zapytała Vertie. - O ile wiem, jest bardzo bogaty. Jego dziadek i ojciec mieli mnóstwo pieniędzy, przynajmniej raz w roku jeździli na safari do Afryki.

Szeryf zmrużył oko.

- Przez co uszczuplili nieco rodzinny majątek i Oxley odziedziczył mniej, niż się spodziewał. Odziedziczył natomiast wspaniałą oryginalną strzelbę, z którą jego dziadek polował w Afryce na grubego zwierza, na słonie i nosorożce... Oxley też miał ochotę zapolować na coś większego, ale przy okazji chciał zarobić i nie miał ochoty fatygować się w tym celu aż do Afryki. Postanowił sobie dobrać kilku kompanów o podobnych potrzebach i tak właśnie

powstało Międzystanowe Safari. Oxley zapewniał klientom trofeum myśliwskie za jedyne dwadzieścia tysięcy dolarów.

- Raczej sporo - podsumowała z przekąsem Irene.

- Potem miało być taniej, na razie interes dopiero się rozkręcał. Oxley potrzebował pieniędzy na urządzenie wszystkiego. Zamierzał kupić teren, ogrodzić go, zamaskować, przekupić kogo trzeba. Musiał szybko mieć duże pieniądze.

- I to wszystko na mojej ziemi, kosztem mojej łatwowierności - rozczuliła się nad sobą Vertie.

- Pani ziemia doskonale się do tego nadawała, dokoła nikt nie mieszkał. Była co prawda farma Tali, ale Billy Joe powiedział Oxleyowi, że Tala pracuje w nocy i nie będzie im przeszkadzać. Niestety, jednego z lwów nie udało się im upilnować.

Wzrok Tali złagodniał.

- I tak spotkałam Maleńką.

- Strzelali do niej i myśleli, że ją zabili, ale nie mogli odnaleźć ciała. Zresztą, marni z nich tropiciele.

Na krótką chwilę zapadła cisza.

- A jak zginął Adam? - odważyła się zapytać w końcu Vertie.

- Oxley zaczął montować całą sprawę jakieś dwa lata temu, a Billy Joe przez cały ten czas był z nim w zмовie. Pewnego dnia, kiedy się zapuścili na tereny leśne...

- Moje, położone na mojej ziemi - westchnęła Vertie. Szeryf spojrział na nią przeciągle i pokiwał głową.

- Obawiam się, że właśnie tak, proszę pani. Vertie wytarła łzy z oczu.

- Wolalabym nigdy nie odziedziczyć tej ziemi.

- Przecież to mogło stać się gdziekolwiek, miejsce nie ma tu nic do rzeczy - rzekła łagodnym głosem Tala.

- W każdym bądź razie - ciągnął szeryf - pewnego dnia poszli do lasu. Chcieli postrzelać do zwierząt z tej zabytkowej strzelby, mimo że sezon łowiecki dawno się skończył. Oxleya nic to nie obchodziło. Nie posiadał nawet karty łowieckiej. Kiedyś już miał z tego powodu przykrości w Karolinie Północnej. Adam ich zaskoczył. Billy Joe zeznał, że musiał go rozpoznać, bo nawet nie wyjął broni.

Tala przymknęła oczy. Nie chciała tego wszystkiego słuchać, ale musiała. Zacisnęła wargi.

- Niech pan mówi dalej, szeryfie.

- Oxley przysięga, że wpadł w panikę i chciał uciekać, ale przypadkowo nacisnął na cyngiel i broń sama wypaliła. Nie trzyma się to kupy i żaden sąd nie weźmie tego pod uwagę jako okoliczności łagodzącej. Jednym słowem, strzelił i zabił Adama.

Pete delikatnie pogładził ramię Tali. Tala mocniej ścisnęła dłoń teściowej.

- Billy Joe pomógł mu wywieźć Adama z lasu i potem Oxley go szantażował. Na szczęście, w czasie śledztwa nikogo nie dopuszczałem do informacji, nawet moich własnych ludzi, dlatego ten głupiec niczego się nie domyślał. Wolałem wszystko, czego się dowiedziałem, zatrzymać dla siebie. I tak, po pewnym czasie, Oxley uznał, że nic mu nie grozi.

- A ja zaprosiłam go na kolację... - Vertie pustym wzrokiem zapatrzyła się przed siebie.

- A ja próbowałam nim zainteresować Talę... - Irene wzdrygnęła się. - Ale przestańmy to rozpamiętywać i wyrzucać sobie nie popełnione grzechy. Nie zrobiliśmy nic złego, a ten człowiek tak.

Vertie znowu głęboko westchnęła.

- Irene ma rację - powiedział Pete. - Zresztą, gdyby nie pani pomoc, Vertie, nie udałoby nam się uratować tych wszystkich zwierząt.

- Pańskim ludziom również należą się gratulacje - dodał, zwracając się do szeryfa. - Nigdy dotąd nie mieli do czynienia z dzikimi zwierzętami, ale zachowali się świetnie. Nikt nie wpadł w panikę.

- Miał pan rację, doktorze. - Szeryf z uznaniem spojrzał na swego rozmówcę. - Rzeczywiście nie było sensu zawiadamiać o wszystkim mediów, ludzie tylko by się przestraszyli i byłoby nam trudniej działać. A tak tygryski zaraz ustawiły się w kolejce do klatek, kiedy tylko poczuły mięso, które pan i Hildebrandowie tam włożyli. Wyglądało na to, że od tygodnia nic nie jadły.

Vertie wzruszyła ramionami.

- I pewnie tak było. Na domiar wszystkiego ci ludzie jeszcze je głodzili. - Jej twarz posmutniała, rozłożyła bezradnie ręce. - Nie wiem, czy kiedykolwiek sobie to wybaczę. Taka stara, a taka głupia...

- Możesz sobie to wybaczyć już teraz - energicznie przerwała jej Irene, po czym spojrzała na szeryfa wzrokiem, który mówił, że Irene

Newsome nie przestała być sobą. - A panu bardzo dziękujemy, że nam pan to wszystko powiedział.

Szeryf zrozumiał, wstał i gospodyni odprowadziła go do holu. Kiedy wyszedł, wróciła do salonu. Nie wchodząc, przystanęła w progu, jakby się nad czymś zastanawiała.

- Vertie - rzekła stanowczo - weź się w garść. Muszę mieć w swoim domu moją dawną Vertie, denerwującą i nie do wytrzymania. Nie chcę tego litującego się nad sobą, rozmazanego stworzenia, słyszysz? Nie taka mi jesteś potrzebna. Zresztą, to zupełnie do ciebie nie pasuje.

Vertie uniosła głowę.

- W twoim domu? Ciekawe... Ten dom należał do mnie na długo przed twoim pojawieniem się w naszej rodzinie.

Irene szeroko się uśmiechnęła i z ulgą przestąpiła próg.

- Lepiej, tak jest znacznie lepiej.

Weszła do salonu, usiadła obok Tali i ujęła ją za rękę.

- Jak się czujesz? Wszystko w porządku? Tala powoli skinęła głową.

- Tak. Czuję się lepiej, niż mam prawo się czuć. Irene odetchnęła z ulgą.

- To bardzo dobrze, bo z tego co widzę, ty i doktor Jacobi macie jeszcze niejedno do zrobienia. Chyba nam się w rodzinie szykuje jakiś ślub.

Epilog

- To są naprawdę najbardziej niesamowite druhny, jakie w życiu widziałam - oświadczyła Irene, unosząc dłoń obciążoną wytworną białą rękawiczką. - Ciekawe, swoją drogą, co ludzie powiedzą. Słonie na czele orszaku ślubnego! Tego jeszcze w naszym mieście nie było.

- Ashley uważa, że to bardzo szykowne i oryginalne - rzekła Rachel tonem osoby wygłaszającej prawdę ostateczną - a ona już się na tym zna.

Cody wywrócił oczami.

- Chodźmy już, babciu, bo mama mnie zadusi tą wstążką.

Wymknął się z rąk Tali, próbującej zawiązać mu krawat, i odsunął się na bezpieczną odległość.

- One nie będą maszerować w orszaku. Będą sobie stały spokojnie za nowym ogrodzeniem - wyjaśnił przy okazji. - Może nikt ich nie zauważy...

- A ja bym chciała, żeby maszerowały. Ashley mówi, że... - Rachel umilkła, widząc wyraz twarzy brata, matki i babki. - Nie wiem tylko, dlaczego Pete nie pozwolił mi zawiązać im wstążeczek na ogonach - dokończyła. - Zdaniem Ashley to by bardzo elegancko wyglądało.

- Może i tak, ale w cyrku - nie mogła się powstrzymać Tala. - Pete nigdy by się na to nie zgodził. Zresztą one natychmiast by zerwały te wasze wstążeczki i wdeptały je w błoto.

Cody zrobił krok do tyłu, widząc, że matka nie odstąpiła od zamiaru zawiązania mu krawata.

- Cody, misiaczku, chodź do mnie. Chciałabym, żebyś ładnie wyglądał.

Chłopiec z ociąganiem posłuchał jej prośby i już po chwili krawat ozdobił jego świeżo wyprasowaną koszulę.

- Teraz wyglądasz naprawdę cudownie.

- Nie znoszę tego - wzdrygnął się Cody. - Dlaczego ja się muszę tak strasznie męczyć? Przecież to nie mój ślub, tylko twój.

- Ale ty jesteś moim ukochanym synkiem. Rachel, jakby nigdy nic, podjęła swój przerwany monolog:

- Zupełnie nie rozumiem, dlaczego Pete nie pozwolił zabrać ich na ślub. Tylko ten jeden jedyny raz. Tak by pięknie wyglądały przed ołtarzem. Ashley... nigdy nie będzie miała słoni - zakończyła

niespodziewanie z błyskiem w oku. - Tylko ja jedna! Tylko ja jedna w całej szkole!

Tala spojrzała na córkę.

- Bardzo się cieszę, że się cieszysz, ale teraz mogłabyś nareszcie się przebrać. Twoja sukienka leży w sypialni na łóżku. Ubierz się i usiądź spokojnie na krześle jak prawdziwa dama. A co do słoni... Przecież one nigdzie by się nie zmieściły, w żadnym pomieszczeniu. Przecież nie możemy całej uroczystości przenieść na dwór, bo jest za gorąco.

Rachel postanowiła zmienić temat.

- I bardzo dobrze, że nie mam falban przy tej sukience. Nikt już nie nosi falban, umarłabym ze wstydu, gdybym miała falbany.

- Czyli bardzo dobrze się złożyło, że nie masz falban. Masz za to pierwsze pantofelki na wysokim obcasie i będziesz wyglądała jak dorosła kobieta.

Rachel błyskawicznym ruchem wskoczyła w pantofelki, zupełnie jakby wkładała tenisówki.

- No i w końcu mamy prawdziwy wielki dom - stwierdziła z zadowoleniem. - Podoba mi się. Stoi co prawda na terenie rezerwatu dla słoni, ale może być.

- Na szczęście Pete kazał zrobić to nowe ogrodzenie - wtrąciła Irene. - Słonie nie mogą już wychodzić na drogę i straszyć gości - dokończyła z westchnieniem ulgi.

Tala spojrzała na nią z uśmiechem.

- Gdyby wtedy nie wyszły na drogę, nie wiadomo, jak by się skończyła ta cała historia z Oxleyem - przypomniała teściowej, wkładając kolczyki z pereł.

- Masz rację - zgodziła się Irene. - A jeśli chodzi o wasz dom, to bardzo mi się podoba. Jest duży, przestronny, i bardzo tu jasno.

Tala z przyjemnością rozejrzała się po wielkiej sypialni. Szerokie okna wpuszczały do środka promienie słońca i cień zielonych liści drzew. Rachel i Cody mieli na piętrze własne pokoje z łazienkami; był również osobny apartament, w którym w każdej chwili mógł zamieszkać Mace, gdyby kiedykolwiek zdecydował się wyprowadzić z przyczepy. Na razie mieszkali w nim Jim i Mary Ann Hildebrandowie, przybyli na uroczystości ślubne.

Dom umeblowano antykami z siedziby Newsome'ów, starymi wiejskimi meblami z farmy Tali i nowoczesnymi sprzętami, które wybrali i kupili sami nowożeńcy.

W sypialni Rachel postawiono drewniane łóżko, które zrobił dla niej ojciec, a Cody miał u siebie fotel na biegunach, prezent od Adama na swoje trzecie urodziny.

Tala uśmiechnęła się do teściowej.

- Wiesz, teraz, kiedy Adam ma swój ukochany rezerwat dla jeleni i saren, myślę, że wreszcie spoczywa w spokoju.

Irene zarumieniała się z emocji.

- Już się nie mogę doczekać, kiedy się zjawią pierwsi goście. Chciałabym, żeby młodzi ludzie zainteresowani ochroną przyrody mogli tu u nas stawiać pierwsze kroki. Twoja farma to wymarzone miejsce na rezerwat przyrody, do tego doszła ziemia Vertie, i zrobił się naprawdę ogromny obszar. - Irene dyskretnie otarła łzę. - Rezerwat Przyrody imienia Adama Newsome'a - powiedziała z dumą. - Jak wiesz, nie jestem snobką, ale uważam, że to całkiem nieźle brzmi. Adam byłby dumny, że doprowadziłaś do końca jego dzieło. Zrealizowałaś jego marzenie.

Tala milczała zamyślona.

- Nigdy mi nie powiedziałaś - ciągnęła Irene - ile władze stanowe zapłaciły ci za farmę, ale gdybyście kiedykolwiek potrzebowali pieniędzy, to pamiętaj, że ja zawsze jestem gotowa.

Tala z uśmiechem pokręciła głową.

- A ty, jak zwykle, próbujesz mi wciskać pieniądze. Daję ci słowo, że mamy wszystko, co jest nam potrzebne, chociaż nie mogę wykluczyć, że dzieciaki po dawnemu będą cię bez przerwy na coś naciągały. Teraz, kiedy Pete przejął praktykę po doktorze Wiskowskim, powodzi nam się bardzo dobrze. A ja jesienią postanowiłam wrócić do szkoły.

Irene pytająco uniosła brwi.

- A kto się zajmie... no, tymi waszymi dziewczętami? Tala mrugnęła filuternie okiem.

- Jak to kto? Dzieci. Rachel i Cody. Przybędzie nam zresztą nowa panienska. Na imię ma Bertha, jest ogromna i bardzo nieśmiała. Zjawi się zaraz, jak tylko wrócimy z podróży poślubnej.

- Mamo, my się nią zaopiekujemy! - Rachel i Cody podskoczyli radośnie, jednogłośnie wyrażając wielki entuzjazm.

Tala roześmiała się.

- Doceniam wasze dobre chęci, ale będziemy się wspólnie zajmować naszymi dziewczętami. My razem z Pete'em, Mace'em, a może nawet ochotnikami ze szkoły, w której będę uczyć.

- Jak zwykle, bierzesz na siebie za dużo obowiązków naraz - rzekła Irene z naganą w głosie. - A już myślałam, że coś się zmieni.

- Wcale nie biorę tak dużo. - Tala obrzuciła uważnym spojrzeniem dzieci. - Teraz możecie zejść na dół i poczekać tam na mnie. My z Irene też zaraz idziemy. A gdzie Vertie?

- Pewnie już siedzi w pierwszym rzędzie - powiedziała Rachel i wzięwszy za rękę Cody'ego, wyszła na korytarz.

Tala spojrzała na teściową, a potem lekko się do niej przytuliła.

- Bardzo ci jest smutno? - szepnęła. Irene uśmiechnęła się rzewnie.

- Nie, kochanie. On jest zupełnie inny niż Adam, ale jest bardzo miły i przez te pół roku zdążyliśmy się polubić. No i zbudował dla ciebie ten wspaniały dom. - Rozejrzała się dokoła, a potem nagle posmutniała. - Szkoda tylko, że już nigdy nie będę cię miała w swoim domu.

- Będiesz miała Rachel i Cody'ego przez całe dwa tygodnie, kiedy my będziemy w Tajlandii, a potem w każdy weekend. To ci gwarantuję - pocieszyła ją Tala.

Irene chciała wiedzieć jeszcze jedno.

- Jesteś pewna, że chcesz resztę życia spędzić ze słoniami? - zapytała cicho.

- Nie tylko ze słoniami, Irene. Z Pete'em i z dziećmi, z Mace'em, z Vertie i z tobą. I oczywiście ze słoniami, ale w takiej właśnie kolejności. - Z ogrodu dobiegły dźwięki muzyki. - Czas na pannę młodą. Idę już, Irene.

Irene przyłożyła chusteczkę do oczu.

- Zawsze będę uważała, że jesteś moja...

Tala szła do ołtarza jak we śnie i jak we śnie przeżyła to, co nastąpiło potem. Czuła, że Pete jest przy niej. Czuła jego delikatne dłonie wkładające jej obrączkę, i czuła, że ona czyni to samo. Wszystko było jak we śnie, lecz działało się naprawdę. To była jawa i wszystko było tak, jak należy.

Przez ostatnie sześć miesięcy razem wznosili swój nowy dom, razem wypracowywali trudne reguły życia rodzinnego, urządzali

rezerwat imienia Adama i pomagali Hildebrandom powiększyć siedzibę drapieżników, których liczba znacznie się powiększyła o sztuki pochodzące z nieszczęsnej „kolekcji” Vince'a Oxleya. Małeńka miała teraz towarzystwo i nie mogła narzekać na samotność.

Razem pracowali, razem odpoczywali, kochali się "jak burza" i "jak leniwie płynący strumień", coraz lepiej się poznawali i coraz lepiej rozumieli.

Wspięła się na palce, żeby Pete mógł ją pocałować. Kiedy ich usta się zetknęły, powietrze zawibrowało od ryku trzech słońic. Dziewczęta z uniesionymi w górę trąbami dawały znać o swojej obecności. Tala oderwała usta od ust Pete'a i wybuchnęła śmiechem. Usłyszała szmer głosów zebranych gości.

- Czy one protestują? - zapytała szeptem męża. Pete wziął ją w ramiona.

- Nie, to moja część rodziny wyraża zgodę i poparcie.